NOWY

PARNAS POLSKI

ZAWIERAJĄCY

POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA,

EDWARDA ODYŃCA,

JULIANA KORSAKA,

ALEXANDRA CHODŻKI,

BOHDANA ZALEWSKIEGO,

ANTONIEGO GORECKIEGO

i

MASSALSKIEGO.

ODDZIAŁ PIERWSZY

POEZJE

Adama Mickiewicza.

W POZNANIU,

NOWA DRUKARNIA POMPEJUSZA I SPÓŁKI.

1832.

Z Biblyoteki
Jedrzeja Krzyżanowskiego.

Z Księgozbioru
Jędrzeja Krzyżanowskiego

Z Księgozbioru
Jędrzeja Krzyżanowskiego



Mickiewicz

ur. r. 1798.

Mickiewicz –

On wojuje – ron uprgnął
On nie wraca – mozi zginął
Panno szkoda mtodych lat
Od Xiozcia jedric swat.

POEZYE

Adama Mickiewicza

Pięć Tomów w iednym
z portretem Autora

Nowa powiększona i przerobiona Edycya



w Warszawie
u S. H. Merzbach.
w Poznaniu
u J. J. Heine & Spół

1883
1832
= = 57

1832
1883

100966 L-P

Przemowa.

Jestto dawna i bardzo zbawienna dla artystów przestroga, ażeby wystawiając dzieła sztuk pięknych na widok publiczny, spokojnie w milczeniu oczekiwali sądu doskonałych znawców, według którego-by miarkować mogli o wartości pracy dokonanéj, a dla przyszłych brać pożyteczne upomnienia i naukę. Lecz jeśliby który, doświadczeniem cudzém nauczony, przewidywał, że dzieło jego z góry potępione bydź może za to, że te a nie inne wybrał do naśladowania wzory, do téj a nie innéj przyłączył się szkoły; wtedy powinienby usprawiedliwić się, dla czego w wyborze przedmiotu dla sztuki swojéj, odważył się pójśdź przeciwko mniemaniu pewnéj liczby widzów, słuchaczów lub téż czytelników. Przetoż ogłaszając zbiorek niniejszy ballad i pieśni gminnych, uważanych zwyczajnie za gatunek poezyi romantycznéj, zostającéj pod klątwą, rzucaną dziś przez wielu poezyi arbitrów, teoretyków, a nawet samychże mistrzów; uczułem potrzebę wstępnie przemówić, wprawdzie nie jako artysta, lecz imieniem tych artystów, których rodzaj pracy był téż i mojego ćwiczenia się przedmiotem. Mniemam zaś, że uczynię zadosyć powinności lub potrzebie, gdy zamiast zbijania zarzutów strony przeciwnéj, wystawię rzecz moję we właściwéj czystości; gdy zamiast bronienia poezyi romantycznéj, wywiodę jéj początek, oznaczę charakter, tudzież wymienię wzory celniejsze. Aby zaś pokazać dowodnie, jak rodzaj poezyi romantycznym zwany powstał, doskonalił się i na udzielny, w sobie skończony ukształcił się nareszcie, potrzeba wyłącznych okoliczności, wpływających nań, czyli tworzących go, szukać i odróżniać między mnóstwem innych okoliczności, tworzących inne poezyi rodzaje. Należy poszukiwać zwyczajnéj zawisłości i następstwa zdarzeń; jak za odmianą uczuć, charakteru, opinij narodowych, zachodzi odmiana w saméj poezyi, która najpewniejszém bywa znamieniem wiekowe-

go usposobienia ludów. Tym sposobem zamiar opisania saméj poezyi romantycznéj, wciąga mimowolnie do uwag nad innemi jéj rodzajami; albo raczéj zniewala przebiegać historyą powszechną poezyi, przynajmniéj ile rzecz przedsięwzięta wymaga, a granice przemowy dozwalają.

Nie wszystkie wszakże narody zastanawiać nas mogą; ze starożytnych *grecki* naprzód i najmocniéj zwracać powinien uwagę. Naród ten, co do płodów imaginacyi, ich początku i rozwijania się, musi mieć, jako naród, podobieństwo z innemi narodami. Lecz jeżeli Grecy podobni są w téj mierze do innych, są tylko naturą rzeczy wszystkim pospolitéj; ta zaś sama rzecz, uważana co do kształtu i przeznaczenia, jakie przyjmowała u Greków, odznacza ich i wynosi nad wszystkie inne narody. Wszystkie w dzieciństwie mają podostatek baśni rozmaitych. Fenomena przyrodzenia zadziwiające, lecz słabemu jeszcze pojęciu niedostępne, tłumaczone więc potwornie; na tłumaczenie ich wymyślane siły tajemne, duchy, mianowicie pod ludzką i zwierzęcą postacią; uczucia takoż i namiętności uosobiane i częstokroć w akcyi wystawiane; zdarzenia nawet prawdziwe zmyśleniem zdobione, oto jest poczęści, co stanowi świat bajeczny, wszystkim może narodom spólny. Tworzy go młoda, ognista, lecz nieukształcona imaginacya; pomaga w tém język zwyczajnie z początku gruby, zmysłowy, wyobrażenia oderwane pod postacią rzeczy zmysłom malujący. Ale ten świat bajeczny u Greków rozleglejszy, bogatszy, rozmaitszy był niż u innych narodów; bo też imaginacya grecka żywsza i płodniejsza była, niż gdziekolwiek; i język grecki giętkością, obfitością, zmysłowością przewyższał inne. Wszakże nie dosyć na tém. Świat ten bajeczny niezadługo stał się przedmiotem rozmaitym, nieprzebranym i bardzo stósownym do sztuk pięknych, w całém wysokiém [illegible] znaczeniu. Albowiem zbieg szczęśliwy okoliczności sprawił, że w Grecyi więcéj niż gdzieindziéj pojawiało się razem talentów twórczych, które samą powodowane naturą, ich ziemi właściwą, zwracały uczucie i imaginacyą ku poszukiwaniu tego, coby było delikatne, foremne, piękne, równie w poezyi jak muzyce, tańcu, malowidle i innych sztukach. Nadto, Grecy długo swobodni, weseli, życie publiczne wiodący, czystą narodowością w całéj mocy przejęci, największych cnót liczne przykłady mający, niemogli nie kształcić się moralnie w wysokim stopniu; kształcili więc drugi oddział władz, które łączą się w charakter moralny. Naostatek, umysły greckie podniesione, ciekawe, wytrwałe, wcześnie poszukiwać zaczęły prawdy; ćwiczyły się nieustannie rozumowaniem, rozmaitą w niém a najczęściéj oryginalną postępując drogą; tym sposobem obudzał się duch filozoficzny, nawykano myśléć porządnie i głęboko, czyli tym sposobem kształcił się, wzmacniał i u-

stalał rozsądek. Gdy więc wszystkie władze umysłowe w ścisłéj harmonii doskonalone były; gdy żywa imaginacya miarkowaną była przez delikatność uczucia i dojźrzałość rozsądku, mogła więc w dziele sztuki wydawać wielkość przy prostocie, foremność przy rozmaitości, piękność przy łatwości. Tak sposobiony talent twórczy sztukmistrza greckiego, zwracał się ku staremu światowi bajecznemu, i umiał go wkrótce na nowy przetworzyć. Odrzucił wszystko, co było grube, potworne, rażące; wyobrażenia różnorodne i pomieszane uszykował, powiązał i w porządną ułożył całość. Te zaś wyobrażenia w całość układane, jakkolwiek oderwane czyli umysłowe, zawsze wyrażane były pod postacią rzeczy zmysłowych; ale rzeczy tak doskonałych i skończonych w sobie, jakie przymioty umysłem tylko czyli idealnie pojęte i wystawione bydź mogą. Tym sposobem ze świata bajecznego powstał ideał świata zmysłowego, czyli świat mitologiczny. Stworzył go, jak uważaliśmy dotąd, talent sztukmistrza, rozwinięty pośród harmonijnego kształcenia się wszystkich sił umysłowych, już z saméj natury niepospolitych. Świat ten nie był bez celu i przeznaczenia. Mistrze albowiem greccy wystawując w dziełach sztuk pięknych przedmioty ze świata mitologicznego brane, starali się wpływać na podnoszenie i doskonalenie w całym narodzie tych wszystkich sił umysłowych i zdolności, jakie jużto świat rzeczony tworzyły, już na utworzenie jego wpływały. Gdy zaś talent twórczy sztukmistrza greckiego był wypadkiem równowagi pomiędzy imaginacyą, uczuciem i rozsądkiem; stąd dzieła sztuk pięknych u Greków miały pewną wymiarkowaną foremność równie w układzie jak zewnętrznem wydaniu, który przymiot i charakter sztuk pięknych zowie się stylem greckim albo *klassycznym*. Styl ten panował za wieku *Peryklesa* i dotknął się jeszcze czasów *Alexandra W.* Cośmy powiedzieli ogólnie o talencie sztukmistrza i charakterze sztuk pięknych u Greków, to wszystko oczywiście stósuje się do talentu poetyckiego i poezyi w szczególności; dodajmy tylko, że poeta był zawsze w sztuce swojéj swobodniejszy niż inni sztukmistrze, i mógł rozmaitszym sposobem, tudzież do większéj massy narodu skutecznie przemawiać. Jakoż poeci greccy, w najświetniejszym okresie swojéj sztuki, zawsze śpiewali dla gminu; pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmyśleniem i wydaniem przyjemném; wpływały więc silnie na utrzymanie, wzmacnianie, owszem kształcenie charakteru narodowego. Następnie, ze zmianą okoliczności, gdy uczucia, charakter i energija narodu słabnąć poczęły, jużto koleją czasu, już wpływem cudzoziemców, już przez klęski publiczne, utratę znaczenia i swobód krajowych; wtedy i talent poetycki przestawał być wielkim, i poezya traciła dawny swój charakter i wysokie przeznacze

Poeci rozstawali się z ludem, nic już w polityce nieznaczącym i gardzonym, i przenosili się na dwory samowładzców, gdzie składali pochlebstwa, lub też słabo, niesmacznie, więcéj uczenie niż poetycko, naśladowali dawniejsze wzory klassyczne, jak przykłady poświadczają z wieku *Ptolomeuszów*. Tym sposobem poezya, która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudytów lub próżniaków.

Po Grekach, Rzymianie są drugim sławnym w starożytności narodem, którego i w dziejach poezyi pominąć nie należy. Naród ten wszakże nie wiele nas pod tym względem zastanawiać może; bo jego obyczaje pierwiastkowe i życie, mniéj pomyślną dla poezyi miały postać i kierunek. Ludy latyńskie, jako z natury dzikie i surowe, przez długi czas wojenne i zaborcze, jeżeli miały poezyą narodową, ta w grubéj zostawać musiała prostocie, z małym lub bez żadnego wpływu na cywilizacyą tych ludów. Nie rychło, za otworzeniem się związków z Grekami, poezya grecka przemawiać zaczęła do uczucia rzymskiego; byłoto mianowicie w czasie poniżenia ludu, a ustalania się przewagi możnych, u których artykułem głównym poloru wyższego stała się taż znajomość języka greckiego i literatury. Zjawiły się wkrótce liczne talenta poetyckie w Rzymie, lecz które tłumaczyły tylko lub naśladowały wzory greckie, zachowując całkiem ich i nawet formy poezyi greckiéj. Same wyobrażenia mitologiczne całkiem były przenoszone, albo mieszane tylko z mitami krajowemi. Czytano więc poezyą po łacinie, ale poezyą grecką w słowa łacińskie przybraną. Nadto, czytała ją sama tylko klassa możniejszych, nader szczupła cząstka narodu. Tym sposobem w narodzie rzymskim nie było właściwie poezyi: bo nie było poezyi narodowéj, którąby wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełniać mogła była właściwego jéj przeznaczenia. Tak więc u Rzymian kultura obca, od Greków pożyczona, przerywała bieg naturalny kultury narodowéj; i poezya grecka położyła tamę właściwéj poezyi rzymskiéj, która, może bydź, iżby się jeszcze była rozwinęła.

Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacyą i zdobydź się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich bydź mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinije, wyobrażenia mityczne i podania; lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć; wpłynąć na uobyczajenie ludów; charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinieniu się w tym sposobie talentu poetyckiego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z

drugiemi; udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka, sprawiły, że mitologija północna, jakkolwiek, po niektórych stronach, w poezyą bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak: wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnéj, pięknéj i harmonijnéj jedności czyli systematu świata mitycznego; zawsze tam przebijała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże saméj przyczyny język tych ludów długo był nieokrzesany; mógł bydź śmiały w wyrażeniach, ale mniéj dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyślnie, aż się nareszcie nieco ustalić musiał; ztąd i poezya idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe; tak nazwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknéj, Grecyi i Rzymianom obcy; ścisłe przestrzeganie praw honoru; uniesienia religijne; podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcijan pomieszane razem; oto jest, co stanowi w wiekach średnich *świat romantyczny*, którego poezya zowie się téż romantyczną. Poezya ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko mieyscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minnesängerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie czyli język, zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został *romanckim;* skąd poszło, że późniejsi i ową poezyą i duch czasu, romantycznemi mianowali.

Zlanie się ostateczne ludów germańskich i skandynawskich z dawném plemieniem Rzymian, starcie się wyobrażeń i uczuć nowego świata z wyobrażeniami i uczuciami dawnych, musiało znowu wywrzeć wpływ na charakter ludzkości, a stąd i na charakter poezyi. Skoro poznano lepiéj wzory klassyczne Greków i Rzymian, poeci uczeni nie mogli bydź na nie obojętni, a korzystając z nich rozmaitym sposobem, utworzyli różne szkoły, różne poezyi gatunki. Jedni biorąc przedmioty z dziejów dawniejszych, chcieli je zupełnie tak co do istoty, jak i co do formy sposobem Greków traktować (Trissino), a niedosyć jeszcze s klassyczną literaturą oswojeni i niedosyć przejęci duchem starożytności, naśladować tylko umieli układ, podziały czyli wewnętrzne formy starożytne; drudzy stósując się do usposobienia wieku, w którym ży[ł] woleli brać przedmioty ze [świ]ata romantycznego, szykować [ich] sowny układ, starając się [o] szczególne części, tudz[ież] wykształcać podług wz[orów] żytnych (*Ariosto*); i[nni] średnią niejako udal[ą] rzecz i treść czyli m[ate]cie romantyczną po[d] pod formy klassy[czne]

niéj co się tycze proporcyi w układzie i ozdób w zewnętrznem wydaniu (*Tasso*).

Śród takiéj rozmaitości, każdy s poetów, oceniając ich pod względem sztuki, tyle celu swojego dopiął, ile mu talent i potrzebne usposobienie wystarczało. Ale jeśli zwrócimy uwagę na lud, dla którego pisali, okaże się oczywiście: że dzieła, w których starano się duch i postać grecką zachować, nie mogły bydź powszechnie smakowane, przy mało upowszechnionéj znajomości literatury starożytnéj; że poeci opiewający zmyślenia narodowe sposobem przyjemnym, byli najupodobańsi i torowali drogę tym, którzy do świata romantycznego zaprowadzali coraz większy porządek, harmoniją i okrasę.

Rodzaje poezyi teraz wyliczone, jako powstałe w nowym stanie rzeczy ówczesnéj Europy, musiały być nowe, i od starożytnych całe różne. Naprzód rozwinęły się one u Włochów, gdzie, obok narodowéj poezyi, nauki starożytne wcześniéj i pomyślniéj uprawiano.

Wsąsiedniéj Włochom Francyi ...odówczas zniknęła narodowa ...czna poezya. Trubadurowie ...anccy przenieśli się na ...ujących, i nie długo tam ...naczenie pomiędzy lu... We Francyi xiążęta ...ko przyjmując polor ...życia, nie wiele znaj... w pieniach wiej... ...ch, do dworskie-go tonu źle przypadających. Wkrótce za ugruntowaniem władzy królewskiéj i nadwerężeniem feudalnego systematu, cały interes narodowy przeniósł się na dwór królów. Wszystko tam musiało stósować się do etykiety łagodzonéj nieco francuzką lekkością; *kotterie* prywatne przyjęły ton dworu, którego cechą było, przestrzeganie form etykietalnych, dyssymulacya prawie dyplomatyczna, grzeczność ujmująca wprawdzie, ale ceremonialna, ściśle podług miejsca i osób wyrachowana. Obok towarzyskiego poloru, z postępem nauk wzrastało oświecenie. Zapał do starożytności, ożywiający Włochy, udzielał się przy częstych związkach Francuzom. Coraz mocniéj zajmowało uczonych, a za nimi całą oświeceńszą klassę, wszystko, co było greckiém i rzymskiém; nie żeby zgłębiano historyą tych narodów, i z niéj wyciągano ważne w polityce i moralności prawdy, ale starano się naśladować Greków i Rzymian; naśladowanie zaś według rozumienia Francuzów owoczesnych, polegało na przybraniu powierzchowności i tonu starożytnego.

W takim stanie rzeczy kto chciał podobać się Francyi, tojest Paryżowi, powinien był ostrość swojego indywidualnego charakteru stósować do mody panującéj, ażeby się nie wydać pedantem i dziwakiem; musiał trzymać w karbach swój talent, miarkować imaginacyą i uczucie, gdyż wszelkie gwałtowne unie-

sienie, obrażało przyzwoitość dworską, poszukującą raczéj dowcipu i rozsądku; potrzeba mu było nareszcie w dziełach sztuki, podług mody i zwyczaju, naśladować Greków i Rzymian, tyle przynajmniéj, ile dworacy *Henryków* i *Ludwika*, naśladowali *Katonów* i *Flaminiuszów*.

Poeci więc idąc za popędem wiekowym, zwrócili uwagę nie tak na naturę i na charakter ludzi, jako raczéj na charakter społeczeństw paryzkich; wyśmiewali trafnie i zręcznie uchybienia przeciwko przyzwoitości, obyczajowi i modzie, etykietę panującą na pięknym świecie, wprowadzając do świata imaginacyi, podciągali wszystko pod prawidła rozsądnie ułożone i wydane ozdobnie; bawili nareszcie widowiskami dwór i Paryż. Powstały tym sposobem i kształciły się satyry, tudzież rodzaj dydaktyczny. A jako kultura ówczesna francuzka, nosząca cechę poloru przy podniesieniu i wyćwiczeniu władz wyższych, rozsądku i dowcipu, była zupełnie różną od kultury greckiéj i wieków średnich, tak i świat poetycki francuzki, utworzony zbiegiem innych okoliczności, działaniem umysłów inaczéj kształczonych, okazał się w nowéj całe postaci, od świata mitologicznego i romantycznego nieskończenie różny. W pierwszym widzieliśmy skojarzoną harmoniją i równoważące się niejako uczucie, imaginacyą i rozsądek; w drugim przemagały władze niższe; a ostatni, tojest francuzki, któryby światem stósunków towarzyskich, światem konwencyonalnym nazwać można, jest pod panowaniem rozsądku, dowcipu, i formalności.

Nie mogły więc znaleźć tam miejsca, żadne zmyślenia śmiałe i wznoszące się nad zakres rzeczywistości, wszelkie podania nazbyt z baśniami powikłane. Szukano raczéj przedmiotów historycznych; a czyli je brano ze starożytności, czyli z wieków średnich, naginano zawsze do trybu francuzkiego. Kiedy w takiéj sferze ćwiczyły się sztukmistrzów talenta, rozwijanie się ich co do mocy i kierunku postępowało drogą nową, sobie tylko właściwą. W poezyi, na którą tu szczególniéj zwracamy baczność, zdaje się, iż imaginacya francuzka nie ważyła się sama przez się żadnego uczynić kroku, i pospiesza tylko na usługi innym władzom umysłu. Powołana od rozumu, okrasza ile możności prawidła dydaktyczne i fakta historyi; w rodzaju opisowym trzyma się gościńca wytkniętego od rozwagi systematycznéj i zawsze krążąc blisko ziemi, maluje nasuwane sobie przedmioty z natury rzeczywistéj, albo właściwiéj mówiąc, zdejmuje z tych przedmiotów portrety, wykończone wprawdzie co do kolorytu, ale co do układu zbyt architektoniczne, zbyt wzorom swoim podobne i przez to obumarłe; jeżeli czasem podlatuje wyżéj, szuka tylko w krainie zmyślenia materyałów, z których dowcip

tworzy zimne, coraz upodobańsze budowy lub emblemata allegoryczne. Równie skrępowana była druga władza, tojest uczucie. W materyach tyczących się moralności i obywatelstwa, usta poetów francuzkich powtarzają tylko to wszystko, co rzetelnie czuły serca poetów greckich, jak retorowie alexandryjscy powtarzali *Perykłesa* i *Demostenesa*; gdzie szło o wydanie delikatniejszych uczuć serca, pisarze z wieku *Ludwika XIV.* tchną zawsze duchem romantycznéj sentymentalności, ale zbyt wyrafinowanéj, zbyt wykwintnéj; w obudwu zaś razach ton namiętny miesza się z rozumowaniem i dowcipem w maximach i antitezach. Utworzone tym sposobem dzieła sztuki, co do istoty francuzkie, miały formę grecką, nie od sztukmistrzów wszakże, ale od teoretyków starożytnych przejętą*) i częstokroć zmienioną. W tragedyi naprzykład interes zasadzający się u Greków na mocném wystawieniu charakterów, patetyczności lirycznéj i klassyczném oddaniu; w dramatyce francuzkiéj zależy od pewnego uszykowania i wikłania akcyi; prosty więc układ grecki zastąpiła tak nazwana intryga dramatyczna. Nakoniec pod względem zewnętrznéj okrasy, tojest stylu, jeśli stawimy obok siebie rodzaje: klassyczny, romantyczny i francuzki, a materyą, treść i układ dzieła uważać będziemy za duch i ciało poezyi; styl da się porównać do ubioru i okażą się znowu różniące odpowiednie charakterowi wieków i ludów.

Szata grecka poważna a razem lekka i powiewna, naginała się i układała rozmaicie, do najmniejszych ciała poruszeń, stąd w sztukach obrazowych tak ważną jest częścią dzieła draperya grecka, od wszystkich artystów przyjęta; tyle przydaje posągom lub obrazom wydatności i powabu. Mowa Greków, podobne mająca przymioty, stanowi ważną część ich poezyi, czyli tak nazwany styl klassyczny, odrębnie nawet od saméj rzeczy uważany. Wieki średnie nie tak gustowne, uderzały przecież swoim charakterystycznym ubiorem. Wielkie płaszcze goralów szkockich, stalowa odzież rycerska, pióra i barwy familijne, ze znakiem krzyża albo wstęgą odróżniają bohatyra czasów krucyaty. — W stylu poetyckim romantycznym równie panuje śmiałość w składniach mniéj giętkich, obok prostoty jakiś hart i tęgość, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrzępienie. Wreszcie strój francuzki zbyt jest prosty i jednostajny; zarówno służy bohatyrom, radcom stanu i tancerzom, drobnemi tylko rozróżniony ozdóbkami; do zatrudnień życia towarzyskiego najstósowniejszy i dla tego powszechnie przyjęty, sztukmistrzom wszakże okazał się niewygodnym. Artyści dramatyczni

*) Kornel w walkach ze Scuderim i w rosprawach s tego powodu nigdy nie cytuje Sofokla i Eurypidesa, ale poetyka tak często jest na placu, że zniecierpliwiony Wolter woła w komentarzach: „ach! jakże mnie nudzicie swoim Arystotelesem."

mowcy w ubiorze francuzkim muszą swoje poruszenia i akcyą zewnętrzną bardzo miarkować, gdyż każdy gest gwałtowniejszy, draperyą niezłagodzony, wyda się zbyt ostrym i rażącym. Rzeźbiarz i malarz nie śmié posągu lub obrazu po francuzku ustroić; wszelka albowiem piękność składu i proporcyi ciała, pod tym ubiorem zakryć się i zniknąć musi. Też same są właśnie przymioty i niedostatki mowy francuzkiéj; można w niéj wydać każdą myśl i uczucie, byleby niezbyt śmiałe i gwałtowne; gdyż dla niedostatku odmian w składni i wyrażeniach, wszelkie niepospolitości nadto uderzają; poprawna i jasna w wykładzie umiejętności ścisłych, w rozmowie potocznéj łatwa i wygodna, a stąd upowszechniona, jest znowu, dla zbytniéj regularności, nadto niewolniczą i zawsze jednostajną, czyli się nią rozum, czy serce tłumaczy.

Jaką zatém widzieliśmy różnicę między światem mitologicznym, wieków średnich i konwencyonalnym; pod tylu względami poezya francuzka różni się od klassycznéj romantycznéj. Pienia Greków ożywiał duch publiczny, romantyków rycerski, poetów *Ludwika* XIV. dworactwo. Piérwsi przemawiali do całégo oświéconego narodu, drudzy do wojowników i do gminu, ostatni mieli na celu zabawę klassy oświeceńszéj tylko. Grecy wykształcili mowę poetyczną do najwyższego stopnia doskonałości; poeci romantyczni język nieokrzesany zdobili śmiałą imaginacyą i gorącém uczuciem; francuzka poezya w zewnętrznych ozdobach wynękana, nie miała właściwego stylu; była zawsze prozaiczną.

W historyi poezyi europejskiéj z kolei nastąpić powinien naród Wielkiéj Brytanii, z charakteru swojego od innych bardzo różny, odcięty morzem, a ztąd na obce wrażenia mniéj wystawiony, żywe uczucie i imaginacya wojennych Szkotów i Saxonów, nie mogły nie zajmować się poezyą silnym sposobem. Mitologija tego narodu przez druidów i bardów więcéj niż gdzieindziéj była wyrobiona. Lubo zaś wprowadzenie nauki chrześcijańskiéj zniszczyło ludu tego mniemania religijne, z religiją wszakże na ziemi greckiéj i rzymskiéj rozkrzewioną i do Anglii szczepem przeniesioną, nie przeszła tak łatwo Greków i Rzymian poezya. W Anglii, w stanie jéj feudalnym, dawne zwyczaje i dawny dla poetów narodowych szacunek, dochowały się czyściéj i dłużéj, niż gdzieindziéj. Lud mający udział już w życiu politycznem, już w wyprawach wojennych niemal ciągłych, lubił pienia rycerskie, ożywiane uczuciem narodowém i do miejscowych okoliczności stosowane. Dukowie możni, i panujący feudatarijusze, w poezyi bardów dzieje przodków swoich znajdowali. Dla tego w Anglii dłużéj niż u innych narodów kształcona była poezya gminna, a Szkocya zachowała ją do ostatnich czasów. W ta-

kim stanie i usposobieniu ludu Wielkiéj Brytanii, poeci owocześni stosując się do opinii i potrzeby powszechnéj, pienia narodowe powtarzali i kształcili. Na ten sposób utworzyła się szkoła *Szosera* (Chaucer) i nie innym duchem tchną takoż dzieła dramatyczne, wpływające następnie na charakter narodowy. *Szekspir* wielki, słusznie nazwany dzieckiem uczucia i wyobraźni, kształcony jedynie na wzorach narodowych, zostawił wdziełach swoich dobitną cechę genijuszu indywidualnego i wiekowego usposobienia. Znawca głęboki serca ludzkiego, malował w śmiałych i prawdziwych rysach naturę człowieka, w nowo utworzonym rodzaju poezyi dramatycznéj, którego głównym jest charakterem walka namiętności z powinnością; jedno z wyobrażeń świata romantycznego. Mniéj szczęśliwy był *Szekspir* w traktowaniu przedmiotów z dziejów greckich i rzymskich; bo dla mało upowszechnionéj wtedy znajmości historyi i literatury, niepodobna było trafiać doskonale w charakter i w ducha dwóch starożytnych narodów. *Szekspir* znając człowieka, nie znał Greka, Rzymianina, ani Anglika. Tymczasem zaprowadzał się w Anglii polor towarzyski. Na dwór Saint James przeniosła się etykieta wersalska, a z nią smak francuzki. Szkoła więc *Szosera* i *Szekspira* ustępować musiała przed rozumującym *Popc*, wymuskanym *Adissonem* i dowcipnym *Swiftem*. Naśladowcy tych znamienitych pisarzy, coraz liczniejsi i coraz gorsi, zrządzili upadek poezyi angielskiéj, z którego ledwo dźwignęła się w wieku dzisiejszym za zjawieniem się dwóch geniuszów: *Waltera Skotta* i *Bajrona*. Pierwszy poświęcił swój talent dziejom narodowym, wydając powieści gminne świata romantycznego, klassycznie wyrobione: potworzył poemata narodowe i został dla Anglików *Ariostem*. *Bajron* ożywiając obrazy uczuciem, stworzył nowy gatunek poezyi, gdzie duch namiętny przebija się w zmysłowych rysach imaginacyi. *Bajron* w rodzaju powieściowym i opisowym jest tém, czém *Szekspier* w dramatycznym.

Te rozmaite charaktery poezyi, któreśmy przebiegali, zdaje się, że wszystkie rozwinęły się w szkole niemieckiéj, jako najpóźniéjszéj. — Od połowy przeszłego wieku poczęły wielkie genijusze spółczesn jaśnieć po Niemczech. Rozległ przed niemi otworzyło się pole, liczne przybywały ułatwienia za postępem niewymownie szybkim nauk i całéj kultury w krajach niemieckich, mianowicie północnych. Przez upowszechnianie znajomości gruntownéj języków starożytnych i oraz nowożytnych, można było korzystać zarówno ze wzorów greckich, włoskich, francuzkich i angielskich. Poeci więc niemieccy biorąc przedmioty już ze świata klassycznego, już romantycznego częstokroć od jednych duch i i tę, od drugich formy i wydani miarkując to wszystko podług

dywidualnych usposobień; nie dziw, że w płodach swoich ukazali się rozmaici i do siebie niepodobni. Ma jednak szkoła niemiecka pewny stały charakter, u różnych poetów mniéj lub więcéj wydatny. Niemcy bowiem, od czasów mianowicie reformy, skłonni będąc do uniesień i sentymentalności; dumając nad ulepszeniem bytu moralnego ludzi i społeczeństw: filozofując przez głębsze pojęcia umysłowe, usposobili się do dawania uczuciom i wyobrażeniom formy coraz bardziéj oderwanéj i ogólnéj. Nadto, duch ożywiający Niemców, jest kosmopolityczny, nie tak skierowany ku jednemu krajowi lub narodowi, jako raczéj zajmujący się całą ludzkością; w malowaniu delikatniéjszych uczuć serca, sentymentalność rycerska do czystości prawie umysłowéj podniesiona. Świat więc poetycki Niemców, nazwać można światem idealnym umysłowym, od świata mitologicznego różnym; jego cechy najdobitniéj wydają się w płodach wielkiego *Schillera*.

S tych dziejów poezyi, jakkolwiek zbyt krótko i ogólnie przebieżonych, widzieć można, iż rodzaj romantyczny nie jest zgoła nowym wymysłem, za jaki niektórzy chcą go uważać, ale powstał równie jak inne ze szczególnego usposobienia ludów; że dzieł właściwie romantycznych, w całém znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego i wszystkie zaś twory późniejsze romantycznemi nazwane, z istoty lub z układu, z formy lub stylu, należą częstokroć do innych, bardzo od siebie różnych poezyi rodzajów. Jeśli, niedając względu na takową rozmaitość, ustanowimy podział ogólniejszy, ten okaże się absolutnym i niewłaściwym. Niektórzy pisarze, w całéj literaturze poetycznéj, widzą tylko klassyczność i romantyczność, i dzieła wszystkich poetów, od *Orfeusza* do *Bajrona*, uważając za klassyczne lub romantyczne, po prawicy lub po lewicy kładą. Wtenczas z jednéj strony Iliada staje obok Henryady, hymny na cześć bohatyrów olimpijskich, przy odach Francuzów do potomności, do czasu i t. p.: na drugiéj zaś stronie *Heldenbuch* i *Niebelungen*, spotkają się z boską komedyą *Danta* i pieśniami *Szyllera*. Wiele dzieł nareszcie, jako Messyadę, sonety *Petrarka*, Jerozolimę wyzwoloną, Hermana i Doroteę *Göthego*, i całą poezyą francuzką, niepodobna zgadnąć, gdzieby na tym strasznym sądzie odesłano. Taką korzyść przynoszą dla poetyki, podziały ogólne i nieoznaczone. Wszakże i w szczegółach podobnie można wprowadzić zawichrzenie, jeśli klassyfikując poetów, krytyk, jak Nestor homeryczny, cały tłum na narody podzieli. *) Wszystkich pisarzów jednego plemienia, np. Niemców, obwoła za romantyków, równie *Lessynga* jak *Schillera*, *Wielanda* i *Göthego*, *Hagedorna* i *Bürgera*. Tros Italusve fuat; albo też

*) Dzieł tłumy na narody. Iliada.

jednemu pisarzowi każe bydź koniecznie romantykiem, np. *Göthemu*; chociaż jego Ifigenia w Taurycie, sądem znawców, ze wszystkich dzieł nowoczesnych, najbliżéj do rodzaju klassycznego Greków przystępuje; chociaż jego Tasso łączy duch romantyczny ze stylem klassycznym; chociaż tenże Göthe we wszystkich prawie dziełach swoich ukazuje się coraz innym i nieskończenie rozmaitym. Cała niestósowność podziałów i nagłych wniosków stąd pochodzi, że piszący o poezyi, pochwyciwszy od teoretyków niemieckich wyrazy *klassyczność* i *romantyczność*, podszywają pod nie własne swoje wyobrażenia; póty więc twierdzenia ich zrozumiałemi dostatecznie nie będą, póki pomienieni pisarze nie zaczną używać wyrazów technicznych, w znaczeniu powszechnie przyjętém; albo nie wytłumaczą się s tego, jakie im nadają. Bo jeśli klassyczność i romantyczność weźmiemy w znaczeniu *Schlegela*, *Buterweka*, *Eberharda*, którzy pierwsi te wyrazy do teoryi wprowadzili i oznaczyli; jeśli za charakter poezyi romantycznéj uznamy przebijające się w niéj cechy ducha czasu, sposobu myślenia i czucia ludów w wiekach średnich; natenczas powstać przeciwko romantyczności, nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wypowiadać wojnę uczoną narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci. Nadto, jako w teraźniejszym Europy stanie, wiele zatrzymało się opinij, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich; tak i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniéj lub więcéj cechy romantyczności. Chcąc w poezyi cechę tę zupełnie zniszczyć, potrzeba wprzódy zmienić charakter narodów, co nie jest w mocy teoretyków, albo dowieśdź, iż przedmioty z wyobrażeń i uczuć świata romantycznego, nie dają się szczęśliwie poetyckim sposobem traktować; przeciwko czemu mówią przykłady tylu wzorowych romantycznych sztukmistrzów *). Jeżeli zaś odrzucamy definicye teoretyków niemieckich, i do romantyczności przywięzujemy inne jakieś wyobrażenie; jeśli np. zasadzamy jéj istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu diabłów, wtenczas zarzuty przeciwników takiéj romantyczności, będą słuszne i nie zbite.

Dla uniknienia podobnych dwuznacznych twierdzeń, lepiéjby było w pochwałach albo naganach jakiego rodzaju, wymienić zaraz pisarzów i dzieła, tudzież ich zalety lub uchybienia. Wszakże ocenianie krytyczne niedosyć jest opierać na saméj części prawidłowéj krytyki. Chcący albowiem podług ułamku poetyki *Arystotelesa* wyrokować *o Homerze, Ariosście, Klopsztoku, Szekspirze* podobnym będzie do sędziego, któryby podług praw *Solona* albo XII tablic stanowił w sprawie Greka, Włocha,

*) Nietylko w poezyi, ale i w sztukach obrazowych krytyka odróżnia rodzaj romantyczny. W malarstwie naprzykład szkoły włoskiéj, madonna i wyobrażenia aniołów, są wyjęte ze świata romantycznego i do ideału podniesione.

Niemca i Anglika. Nie idzie zatém, aby krytyka sztuk pięknych nie miała pewnych i stałych zasad; ale jako w świecie moralnym są jedne prawa wrodzone sumnieniu każdego poczciwego człowieka, w każdym czasie i narodzie: drugie od prawodawców, stosownie do okoliczności stanowione, za zmianą ducha czasu i obyczajów zmieniać się mogące; tak i w świecie imaginacyi są istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki, we wzorowych dziełach, jakiegokolwiek bądź rodzaju, zachować umié i powinien; kiedy dalsze przepisy krytyczne, z uwag nad dziełami wyciągnione, albo wyciągnąć się jeszcze mające, za zmianą usposobień umysłowych, a stąd i za zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą. To wszystko jeśli ma na oku estetyczna krytyka, odnosząc zawsze dzieła do czasu i ludzi, uniknie stronniczéj natarczywości w wytykaniu błędów sztuki jednego rodzaju; dla krytyków zaś rozważających sztukę nie tylko estetycznie, ale też historycznie, filozoficznie i moralnie, wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą, wszystkie są tworem ludzi; ze wszystkich wyczytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniéj s tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia. Ważnym więc i mocno zajmującym w każdym względzie okaże się, tak cały rodzaj romantyczny, jak i szczególny jego gatunek, poezya gminna: o niéj zostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć; obszerniejszą bowiem wiadomość o poezyi gminnéj a mianowicie o poezyi gminnéj narodowéj na inny raz zostawiamy.

Wspomnieliśmy wyżéj, iż w wiekach średnich krążyły między ludem powieści i śpiewy: charakter ich bydź musiał mniéj lub więcéj jednostajny, całemu rodzajowi właściwy; przedmioty brane z dziejów rycerskich, ozdobione zmyśleniami; uczucia dla płci pięknéj w wyrazach czułości, albo wesołych żartach, mowa naturalna i prosta, strofami do śpiewania stosowana. Pod tym ogólniejszym rodzajem, zawierało się mnóstwo szczególnych gatunków różnego nazwania. Śpiéwki, sagi, lais, virelais, sarvantois i t. p. najliczniejsze i najbardziéj upowszechnione były ballady i romanse. U Włochów naprzód podobno zjawiło się imie ballady (canzone a ballo), nadawane bez różnicy wszelkim piosenkom pospolicie wesołym, co sam wyraz *ballare* (tańczyć) oznacza. U Hiszpanów, gdzie poezya gminna bardzo kwitnęła, znano ją tylko pod imieniem *romansów* (romanças). Francuzi odróżniali wprawdzie balladę od innych gatunków, ale nie tak z istoty i charakteru, jako raczéj pod względem budowy strof i wiérsza. Stąd wiele piosnek *Marota*, które do madrygałów i romansów liczyćby należało nazywano *balladami*; stąd *Boalo* powiada, iż często ucinek dowcipny albo rym osobliwszy, stanowi całą

żaletę tego gatunku poezyi. Inny wcale charakter, wyraźny i stały, ma ballada brytańska; jest to powiastka, osnowana z wypadków życia pospolitego, albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna. Od gór szkockich i irlandzkich roznieśli Bardowie i Minstrele ten gatunek na płaszczyzny Anglii, a poeci narodowi lubili ballady gminne zbiérać, poprawiać, albo na ich wzór podobne tworzyć. Literatura angielska liczy więcéj dwóchset zbiorów tego rodzaju. Wszakże z czasem, kiedy duch poezyi londyńskiéj zmieniać się i na inny sposób kształcić się począł, zjawiły się ballady od gminnych wcale różne, wesołe i dowcipne, (*Cowleja*, *Prayora*), a często dawną balladę trawestujące (*Swifta*). Smak ten przecież trwał niedługo; wprzódy nieco *Rowe*, a następnie *Gay*, *Dawid Mallet*, szczególniéj zaś *Persy* i *Walter Scott*, dawny rodzaj poważnych ballad szkockich do świetności przywrócili. Podobna jest historya ballady u Niemców, gdzie ten gatunek, wielu liczący poetów, nie był jednak, tak jak w Anglii, upowszechnionym, i różnym co do charakteru i stylu podpadał zmianom. W drugiéj dopiero połowie przeszłego wieku (1773) *Bürger* sławną Lenorą i wielu innemi wzorami obudził mnogich naśladowców. Odtąd literatura niemiecka, po angielskiéj, jest najbogatszą w ballady: Jaśnieją w tym rodzaju sławne skądinąd imiona: *Stolbergów*, *Kosegartena*, *Höltego*, *Göthego* i *Schillera*. Ostatni jednak zdaniem *Buterweka* nieco się oddalił, mianowicie w stylu, od naturalności i prostoty właściwéj balladom szkockim.

Podobne są do ballad romanse (romance, *romanza*), szczególniéj w Hiszpanii i Francyi upowszechnione; tém wszakże różnią się od ballady, iż poświęcone są czułości; mniéj więc do nich wpływają zmyślenia dziwne, a forma pospolicie dramatyczną bywać zwykła; styl zaś jak największą naiwnością i prostotą zalecać się powinien.

DO CZYTELNIKA

O KRYTYKACH I RECENZENTACH WARSZAWSKICH.

Krzyknęli! niepozwalam! uciekli na Prage.

POWRÓT POSŁA.

Poezye w niniejszém wydaniu zawarte, prawie wszystkie już dawniéj publiczności znajome, przypierwszém ich ogłoszeniu zwróciły uwagę recenzentów i stały się przedmiotem licznych nagan i pochwał. Czytałem z równém uczuciem jedne i drugie, i milczałem. Powody milczenia mojego łatwo odgadnie każdy, kto zna stan teraźniejszy krytyki literackiéj

w Polsce, i ma wyobrażenie o ludziach wdzierających się na urząd krytyków. Atoli kiedy powtarzam wydanie dzieł, tyle razy, tylu piórami rozbieranych, i te dzieła bez żadnych prawie odmian, puszczam na świat, w stanie rodziméj ich niedoskonałości, lękam się, aby czytelnicy moi nie myślili, że przez zatwardziałość serca, właściwą autorom krytykowanym chorobę, uparłem się nie korzystać z uwag, co większa z uwag drukowanych w gazetach, i to jeszcze w Warszawie. Jeżelim grzeszył, niechcę wymawiać się w obliczu recenzentów niewiadomością; winienem téż przez grzeczność wyłożyć im powody uporczywego trwania w błędach: bo recenzenci, jakiekolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klassy ludzi czytającéj książki. przynajmniéj polskie, która to klassa w naszym kraju nieliczna, ma prawo niezaprzeczone do szczególnéj autorskiéj grzeczności.

Pierwszy, ile mi wiadomo, rozbiór poezyj moich, umieszczono przed laty sześciu w Astrei w piśmie peryodycznem warszawskiém. Redaktor, Franciszek Grzymała, pochlebne dla poety wyrzekł zdanie: przyznaje mu *talent*, nie skąpi dlań wyśmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnéj, o posłuszeństwie dla krytyki i t. p. Co się tyczy zalet i wad dzieła pod względem sztuki, Franciszek Grzymała, z powołania publicysta i statysta, nie śmié wdawać się w rozsprawy literackie i niewiedząc sam, czy mu poezye moje podobać się mają lub nie? pyta się o to uczonych warszawskich, wyglądając od nich poważnéj urzędowéj recenzyi. Ukazywały się następnie krótkie ogłoszenia lub uwagi w innych pismach, aż nakoniec zjawił się wyglądany od Franciszka Grzymały krytyk w osobie Franciszka Salezego Dmochowskiego.

Redaktor Biblioteki polskiéj, przyznaje również autorowi poezyj *talent*, z równą hojnością udziela mu rad ogólnych moralno literackich. Nieszczęściem z ogólnéj, uwagi trudno jest artyście korzystać. Malarzowi np. wystawiającemu swój obraz pod krytykę, nie wiele usłużą goście chociaż z miną znawców ciągle powtarzać będą, iż należy pracować, iż należy uczyć się rysunku, wydoskonalać koloryt i. t. p. Były wszakże i szczegółowe zarzuty, oskarzano mnie głównie o psucie stylu polskiego, wprowadzeniem prowincyonalizmów i wyrazów obcych. Wyznaję, że nie tylko nie strzegę się prowincyonalizmów, ale może umyślnie ich używam, Prosiłbym zwrócić uwagę na różne rodzaje poezyi w dziełach moich zawarte, i każdego z nich styl podług innych sądzić prawideł,

W balladach, pieśniach, i w ogólności we wszelkich poezyach na gminném podaniu opartych, szczególny charakter miejscowy nosze-

cych, wielcy poeci starożytni i nowocześni używali i używają prowincyonalizmów, to jest wyrazów i wyrażeń od ogólnie przyjętego książkowego stylu różniących się. Ze pominę dawne greckie dyalekty dość rzucić okiem na dzieła Burnsa, Herdera, Getego, Skota, Karpińskiego, Bogdana Zaleskiego. Nasz Trembecki, śmielszy od nich, w rodzaju dydaktycznym opisowym, najbardziéj od poezyi gminnéj oddalonym, użył wyrazów *chwost*, *socha* i t. p. zapewne nie przez nieznajomość języka. Wszystko tu zależy od szczęśliwego użycia. Nie przeczę, iż mogłem albo zbytnie, albo nie w miejscu, albo niestósownie prowincyonalizmy wprowadzać: o to mię obwiniać każdemu wolno: z tego usprawiedliwać się nié mam prawa. Głęboka znajomość języka i smak wytrawionych znawców, wyrokują o nowościach grammatycznych: wyroki te publiczność z czasem zatwierdza lub odrzuca. Sąd w podobnéj sprawie jest daleko trudniejszy niżli się recenzentom zdaje. Tu, ażeby się ze zdaniem odezwać, trzeba powagi literackiéj. Pan Ordyniec, teoretyk, mając za sobą dykcionarz i grammatykę, podkréśla prowincyonalizmy lub nieszlachetne wyrażenia Trembeckiego; my parafianie, w sporach, które smak tylko rozstrzyga, zdajemy się raczéj na autora Zofijowki. Ogólny wyrok recenzentów przeciwko prowincyonalizmom jest wypadkiem metody, przejętéj od starych gazeciarzy francuzkich. Oni to, mając siebie za stróżów języka, co krok odwołują się do słownika Akademii. Rzeczywiście miło jest recenzentom i pewnym czytelnikom myśléć, że nabywszy słownik, mają w kieszeni trybunał, gotowy rozstrzygać najdelikatniejsze spory, tyczące się poetyckiego wysłowienia.

Jeżeli o dawniejszych poezyach moich ogólne tylko wydano zdanie, za to Sonety, aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedyńczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń, grammatycznie, retorycznie i estetycznie rozbierane i sądzone były. Odczytałem dwadzieścia przeszło recenzyj, że pominę satyry i parodye. Oto jest naprzód treść zdań ogólnych: Poezya polska (mówi p. M. M.) dotąd ograniczała się do tłumaczeń i naśladowań francuskich; Mickiewicz pierwszy nadał jéj cechą narodowości, on stał się twórcą poezyi oryginalnéj. — Poezya polska, odpowiada P. Fran: Salezy Dmochowski, dotąd była narodową, postępowała ciągle ku doskonałości, a najwyższym jéj utworem, miazgą i treścią narodowości, miało być poema o ziemiaństwie, od lat kilkunastu w Warszawie oczekiwane. Mickiewicz pierwszy tę cechę narodowości zdziera i niszczy, zasady smaku wstrząsa, styl kazi i literaturze polskiéj powtórnym grozi upadkiem. — Cieszymy się, woła lwowski wydawca moich Sonetów, że Mickiewicz zaniedbał ballady, które gmin sam najlepiéj u-

kłada, a wprowadził do naszéj literatury rodzaj zupełnie nowy. Sonety dają mu niezaprzeczone prawo do nieśmiertelności. — Żałujemy, woła inny recenzent, że Mickiewicz, dotąd uprawiający poezyą narodową, ballady i powieści, zaniedbał je, i obrał sonety, rodzaj literaturze naszéj zupełnie obcy. — Forma sonetu, zdaniem dziesiątego recenzenta, jest swobodna, szlachetna i piękna: jedynastemu zdaje się być niewolniczą, trudną i niewdzięczną: piętnasty gardzi sonetami, jako wymysłem wieków średnich barbarzyńskich: dwudziesty dowodzi, że Horacyusz nawet pisał coś nakształt sonetów.

W szczególnych uwagach taż sama zdań rozmaitość. Zwrotki i wyrażenia, dziwiące jednych górnością i harmonią mowy, drugich gorszą pospolitością zdań i drapiącém uszy wierszowaniem. Tenże sam sonet jednych rozczula, dla drugich wesołéj parodyi staje się przedmiotem, ci go nie rozumieją, tamci objaśniają długim kommentarzem, inni pojmują autora, a uskarżają się na ciemność wykładacza.

W takiéj zdań różności zastanowił nas szczególnie jeden zarzut; powtórzyło go zgodnie wielu recenzentów a najobszerniéj rozwodzi się nad nim Franciszek Salezy Dmochowski. Ten zarzut tyczy się użycia wyrazów cudzoziemskich, oryentalnych. Redaktor biblioteki polskiéj, zaczyna zwyczajem swoim od uwag ogólnych, sprawiedliwych, ale już przed ogłoszeniem recenzyi jego, nieco znajomych: np. że poezya wschodnia od europejskiéj różna, bardzo różna: że poezyą wschodnią naśladować trudno, bardzo trudno. Kto nie zna taktyki recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadoméj rozsprawiać ogólnemi zdaniami, które w literaturze zamiast znaku *x* używają się, sądziłby, że P. Dmochowski jest wielkim oryentalistą. Niedługo wszakże, zostajemy w błędzie: widzimy zaraz, że tenże P. Dmochowski, nietylko nazwisk właściwych gór i rzek nie wiedział, co dowodzi małą jeografii sąsiednich krajów znajomość, ale nie rozumiał wyrazów Allah, drogman, minaret, namaz, izan. Zdaje się nam, że nawet w Warszawie, gdzie literatura wschodnia mało liczy uczniów, taka niewiadomość recenzenta dziwić musi publiczność. Przytoczone wyrazy arabskie lub perskie, tyle razy w dziełach Getego, Byrona, Mura, użyte i objaśnione były, że o nich czytelnikowi europejskiemu wstyd nie wiedzieć; tym bardziéj wydawcy pism periodycznych. W opisie poetyckim miast naszych, któż nie wspominał o kościołach i wieżach: w opisie miasta wschodniego, jak pominąć minarety? Jak je wytłumaczyć po polsku, czyli mówiąc słowy recenzentów, jak je wytłumaczyć na język Sarbiewskich, Kochanowskich, Śniadeckich, Twar-

dowskich*). Dał wprawdzie Franciszek Salezy Dmochowski dziwny przykład przepolszczenia obcych wyrażeń i wyrazów, kiedy w wierszach swoich mówiąc o Peleuszu ojcu Achillesa, nazywa go władzcą *małego w Tessalii powiatu*, i tym sposobem jednego z znajpotężniejszych królów Grecyi bohaterskiéj, robi naszym powiatowym marszałkiem. Ale ja takiéj, właściwéj poważnym klassykom nowości, jako poczynający pisarz romantyczny, użyć nie smiałem.

Prowincyonalizmy i cudzoziemczyzna, tudzież niepoprawność wiersza, szczególnie przeraziły recenzentów. Stąd powszechna trwoga, abyśmy znowu nie wpadli w barbarzyństwo wieku literatury jezuickiéj. Pozwalamy, wołają nakoniec recenzenci, naśladować pisarzów angielskich, co do swobody form, ale niechże pisarze nasi naśladują ich styl czysty i poprawny. Byrona, Getego, Skotta, nikt nie obwiniał o skażenie mowy, odzywa się zgodnie z całym chórem, Salezy Dmochowski. Gdyby krytycy raczyli kiedykolwiek zajrzeć w dawne niemieckie i nowsze angielskie recenzye, przekonaliby się, że wszyscy od nich przywodzeni poeci, ulegali tymże samym zarzutom. Recenzye wspomnione już i na francuskie przetłómaczono. Obaczmy co mówi *Mercure du XIX siecle*: Les poètes anglais le plus renommés, parmi nous, Walter Scott, Southey, Moor, ne daignent pas corriger leurs vers; ils bravent non seulement les règles de la mésure, mais encore celles de la grammaire; ils font de la langue anglaise une véritable polyglotte, où sont admis les mots de tous les idiomes parlés. Byron jette au hasard ses inspirations sténographiées sur le papier sans daigner ensuite y rattacher son attention, mettant les négligences au rang des licences, systeme qui est sans doute celui du vrai poète: car c'est avec ce dedain, que chez nous, M. de Lamartine a modulé ses Méditations, que ses amis et M. Tastu son libraire sont obligés de revoir. (Journal de St. Pétersbourg 1828). Utyskiwania podobne nikogo dziwić nie powinny. Retorowie szkolarze, od czasów Dante aż do Lamartina, zawsze byli jednostajni w charakterach i zdaniach, zawsze, czytając poetów, z dobroduszném narzekali westchnieniem, że poeci mający talent, nie posiadali ich nauki. Krzyki retorycznych alarmistów wzmagają się peryodycznie w epoce wielkich odmian literackich. W Niemczech, w piérwszéj połowie przeszłego wieku, literatura ledwie nie tak, jak u nas ubogą była. Gotszed, sławny podówczas grammatyk lipski, wierszopis gładki bez talentu, retor krótkiego wzroku i ciasnego pojęcia, uważał naśladowniczą szkołę poetów szląskich za klassyczną, wiersze zaś samego Gotszeda, miały być wia-

*) Sarbiewski nie pisał po polsku; Sniadeccy nie pisali poezyj: a w dziełach Twardowskiego więcéj cudzoziemskich wyrazów, niż we wszystkich sonetach.

śnie najwyższym utworem klassyczności i narodowości niemieckiéj. W duchu jego szkoły, Lessyng, Klopsztok, Gete, należeli do nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. Ta walka mniemań, utrzymała w pamięci imie Godszeda, o którego dziełach już niesłychać. Teatrem podobnych sporów, była daleko dawniéj Hiszpanija, kiedy szkoła włoska wprowadziła do tego kraju nową poezyą. Podobneż spory ukończyły się przed oczyma naszemi w Anglii, a dotąd toczą się w Francyi. Wróżby więc o bliskim upadku literatury i smaku w Polsce zdają się być bezzasadne, przynajmniéj nie ze strony romantycznéj zagraża niebespieczeństwo. Dzieje literatury powszechnéj przekonywają, że upadek smaku i niedostatek talentów, pochodził wszędzie z jednéj przyczyny, z zamknięcia się w pewnéj liczbie prawideł myśli i zdań, po których wytrawieniu, w niedostatku nowych pokarmów, głód i śmierć następuje. Tak upadła literatura bizantyńska, dziedziczka najbogatsza pomników Grecyi; bo zarówno odgrodziwszy się od Franków i Arabów z postępem wieku, nowych form przyjąć niechciała. Podobne wycieńczenie w przeszłym wieku dotknęło francuską literaturę. U nas, za czasów jezuickich, zły smak rozszerzali właśnie ludzie najlepiéj znający prawidła retoryki, właśnie professorowie retoryki i kaznodzieje. Powszechna ciemnota pochodziła nie z wprowadzenia obcych nauk, ale z ich pilnego strzeżenia się. Kiedy Konarski dowodził potrzebę języka francuskiego, uczniowie i stronnicy jezuitów oburzali się na tę nowość, równie jak dziś uczniowie i stronnicy szkoły warszawskiéj na literaturę angielską i niemiecką.

Widzi czytelnik, że z pomiędzy licznych wad mnie wytkniony ch, dwie tylko usprawiedliwić chciałem, to jest użycie prowincyonalizmów i obcych wyrazów. Zdania recenzentów o piękności, lub niedorzeczności myśli moich, złym lub szczęśliwym wyborze form, o harmonii lub twardości wiersza, zostawiam bez odpowiedzi sądowi publiczności. Daleki od sceny zaburzeń literackich, nienależący do żadnéj koteryi, czytam recenzye w lat kilka po ich ogłoszeniu, przytoczyłem je w tym jedynie celu, abym pokazał czytelnikom, że nie tak łatwo, jak się zdaje, dzieła podług uwag gazeciarzy poprawiać. Chcieli wprawdzie niektórzy recenzenci oszczędzić pracy autorowi i podjęli się sami poprawiać wyrazy, wyrażenia, a nawet całkowite wiersze. Taka wspaniałomyślność recenzentów, teraz w europejskiéj peryodycznéj literaturze bezprzykładna, należy do cnót starożytnych, w gazeciarstwie warszawskiém dziedzicznych. Nieszczęściem różnię się w zdaniu z recenzentami co do poprawy, przytaczam niektóre z nich zostawując wolny wybor czytelnikowi. Pan S. w sonecie „Ranek i Wieczór“ zamiast *błysnęła w oknie: uklakłem*, radzi pisać,

stanąłem jak wryty. Pan Franciszek Salezy Dmochowski: zamiast *ziemnych krawędzi*, życzyłby widzieć: *nadbrzeżne płaszczyzny*, albo *piaszczyste płaszczyzny*. Szkoda, że w opisanéj przezemnie ziemi nie było płaszczyzn piaszczystych. Pan J. K. zamiast: *a gdy serce spokojne zatapia w niém szpony*, poprawia: *i gdy zmysły spokojne nurza w sercu szpony*. Tę ostatnią poprawę powinienbym przyjąć; potrzebę jéj usprawiedliwia dostatecznie recenzent naprzód tém: 1) „Że hydra pamiątek czyli działalność duszy z obudzonych w niéj przykrych wspomnień, zaczém działalność jéj względem własności czucia nieprzyjemną lecz przykra, jest w organizacyi życia naszego moralnego to jest rzeczą niezaprzeczoną.“ Broń Boże, aby autor, Sonetów zaprzeczył tak jasnéj prawdzie, dowiedzionéj w cztérech równie jasnych kategoryach i w długiéj rosprawie o hydrze pamiątek, co wszystko znajdzie czytelnik ciekawy w Gazecie Polskiéj 1827 r.

Kończąc niniejszą przemowę, kiedy raz jeszcze rzuciłem okiem na wyżéj przytoczone rozbiory i uwagi; ton stanowczy recenzentów warszawskich, głębokie ich przekonanie o swojéj nauce i o ważności wszystkiego co wiedzą; powaga, jaką dotąd nad umysłami pewnych czytelników mają słowa: — jego pochwalono w gazecie, jego zganiono w gazecie, — bez względu kto chwalił lub ganił, wszystko to pokazało mi całą różnicę między naszym unizonym stanem pisarzów prowincyonalnych, a poważną recenzentów warszawskich hierarchiją. Przypomniałem szczęściem, że mam niejakie prawo do przywilejów téj kapitule służących. Przed kilkunastu laty, gdym był studentem, drukowałem także w Pamiętniku warszawskim tchnącą klasycznością recenzyą, przytaczałem obficie list do Pizonów, i kurs Laharpa, co dotąd w onéj kapitule uchodzi za niepospolitą erudycyą i dostateczną na urząd krytyką kwalifikacyą. Ośmielam się więc, zapominając na chwilę że zostałem tylko poetą, przybrać dawny charakter recenzenta i spółkollegom moim, przynajmniéj za ogólne zdania i moralne przestrogi zapłacić podobną monetą, to jest ogólnemi uwagami i obrokiem duchownym. Poeta bez obszernéj, wielostronnéj nauki, jeśli nie utworzy arcydzieł piérwszéj wielkości, stanowiących w literaturze epokę, może przecież w szczególnych pomniejszych rodzajach szczęśliwie sił doświadczać; jeśli nie pozyska europejskiéj sławy, może w kraju swoim, w prowincyi swojéj czytelników i wielbicieli znaleźć, Inaczéj rzecz się ma z teoretykami: ci z powołania uczeni być muszą. Im więcéj tworzy się dzieł sztuki i obszerniejsze w teoryi odkrywają się widoki, z tym większą usilnością talent swój krytyczny doskonalić powinni i zawsze w równi z wiekiem postępować. Im zawilsze stosunki towarzyskie, tym więcéj praw i zwyczajów, tym uczeńsi muszą być prawnicy z po-

wolonia i sędziowie. Dziwną sprzecznością w literaturze naszéj mieliśmy uczonych poetów i mówców, ale teoretycy nasi, zacząwszy od grammatyków aż do estetyków, żyli tylko kąskami prawideł wyniesionych ze szkoły, zresztą ciemni i pełni przesądów z niewiadomością połączonych. Historya literatury naszéj ma tu niejakie z polityczną podobieństwo. Mieliśmy dobrych żołnierzy, zacnych obywateli, ale, w ostatnich szczególniéj czasach, wdzierali się do stanowienia praw i administrowania wojska, ludzie bez żadnéj nauki i doświadszenia: w równie nędznym stanie było prawoznawstwo i administracya literacka. Już Mroziński gruntownie ocenił wysławionych w Warszawie grammatyków: retorowie oczekują jeszcze téj smutnéj pogrzebowéj posługi. W kilku przynajmniéj słowach porównajmy ich z autorami. Trębecki na poetę był uczonym mężem, znał filologicznie starożytną literaturę, francuską zgłębił, ojczystą Zygmuntowską przeczytał i cenić umiał. Dzieła Krasickiego okazują różnostronne kształcenie się poetyckie na wzorach łacińskich, włoskich i francuskich. Niemcewicz w pierwszych zaraz pracach nie ograniczał się naśladownictwem, utworzył sam nowe formy historycznéj komedyi i historycznych śpiewów*), nie podług retoryki Dekoloniusza, ale stosownie do potrzeb czasu. Mowcy za Stanisława Augusta żyjący, politycznem i

*) Na początku szesnastego wieku a może i wcześniéj, przedstawiano u nas dyalogi, misteryę, to jest historye z pisma świętego i mitologii wyjęte. Była więc gotowa popularna forma dramatu. Gdyby wówczas który poeta z talentem wziął się za podobne przedmioty, wybrał z nich dramatyczniejsze, formę przedstawienia udoskonalił i styl uslachetnił, utworzyłaby się może powoli sztuka dramatyczna narodowa, jaką szczycą się Hiszpanie i Anglicy. Jan Kochanowski, ukształcony we Włoszech, wzgardził widowiskiem nie tak kształtném i drama podług wzoru greckiego napisał, dla narodu nieinteressujące, a przez zły wybór formy dla poezyi nawet niewdzięczne. Przecież Kochanowski ma tę wielką zaletę, że znając starożytność grecką lepiéj niż późniejsi klassycy, starał się ją wiernie oddać. Grecy Kochanowskiego przypominają bohaterów Homera; Grecy naszych klassyków są istotami urojonemi. Żaden z krajowych krytyków nie zwrócił na to uwagi. Cieszono się tylko, że Odprawa posłów jest sztuką regularną. Przy odrodzeniu się nauki, w saméj tylko Warszawie kwitnęła literatura, a tam już nie czas było wskrzeszać dyalogi. Julian Niemcewicz, czy to głębokiém nad sztuką rozmyślaniem, czy instynktem właściwym talentowi, przeczuł potrzebę wieku i wpadł na szczęśliwą myśl wystawiania osób historycznych, zachowując im koloryt miejscowy i rysy epoki w któréj żyli, mowie nawet dla powiększenia illuzyi starożytny Zygmuntowskiéj epoki nadał charakter. (Drama Kazimierz Wielki.) W podobnéj myśli, lubo znacznie przedtym, napisał Gete drama Götz von Berlichingen i sprawił epokę w literaturze. Teraz w Francyi sceny historyczne wróżą nowy dla Europy rodzaj dramatyczny, od formy greckiéj, Szekspirowskiéj i Kalderonowskiéj różny. Niemcewicz nie mógł ani tak szczęśliwie idei swojéj rozwinąć, ani takich sprawić skutków, bo Getemu już Herder i Lessyng utorowali drogę, a do Francyi wpływ Niemców, podniesione historyczne nauki, wpływ romansów Walter Skota i ogromna liczba memoarów ułatwiły wstęp temu nowemu dramatycznemu rodzajowi. U nas teraz, nawet po pracach Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycya historyczna, epopeja lub drama na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów, kiedy jeszcze tak mało pomniejszych narodowéj poezyi rodzajów rozwinięto. O tych ro-

cywilnem kształceniem się usiłowali wyrównywać obcym i ciągle iść z postępem wieku. Przeciwnie teoretycy z litością na mowców wołali: „isti homines, me hercule, habent talentum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non illuminant orationem figuris, ubi est hypotyposis, aposiopesis, prosopopoeja, sustentatio, praetermissio?“ U późniejszych zostały się też same formy, też same prawidła, jakie w czasie upadku oświecenia w Polsce panowały. Uczeńsi przymieszali tylko nieco s francuskich elementarnych xiążek. Piramowicz, jeden z najuczeńszych, w czasie kiedy wysokie o sztuce myśli Lessynga, Homa, Hotczesona, Borka, Smita, zajmowały Europę Piramowicz nie może wyjrzeć za granicę retoryki szkolnéj; Xiądz Golański i Franciszek Dmochowski w prozaicznych i wierszowanych teoryach, śmieją się sobie z Szekspira, *pewnego Angielczyka*, którego teatr, jak tego łatwo dowieść można, ani w oryginale, ani w tłómaczeniu nie był im znajomy: natrząsają się z Kalderona, *pewnego wierszopisa z zaśnieżnéj Pireny* i z Lopez de Vega, lubo ich dzieł w oczy nawet nie widzieli. Zuchwałość taka pochodzi z dotąd trwającego u nas przesądu, że można nieznane dzieła bez krytyki na cudzą wiarę sądzić, naprzykład Kalderona na wiarę Boala, a Szekspira podług wyroków Woltera.

Nie małéj trzeba odwagi, mówi uczony Mroziński, ażeby się targnąć na grammatyczną Kopczyńskiego powagę. Niemniéj trzeba męstwa, choć może nie tyle nauki, ażeby Franciszka Dmochowskiego krytyczne usposobienie i działanie ocenić. Jest to patryarcha krytyków warszawskich i wzór ich szkoły. Jak niegdyś w Paryżu nazywano Laharpa Kwintylianem francuskim, a w Warszawie Kopczyńskiego Lomondem (dla uczczenia) tak Dmochowski nazwany był Laharpem*), a w Wilnie Słowacki Dmochowskim. Dziedziczenie tytułów w linii prostéj i kollateralnéj było bardzo w modzie. Powstać przeciw Franciszka Dmochowskiego krytycyzmowi w Warszawie, jest to, że powiem słowami Byrona, rozprawiać w Konstantynopolu w meczecie Sofijskim o niedorzecznościach Alkoranu, spuszczając się na swiatło i tolerancyą ulemów. Za-

dzajach niektórzy teoretycy dotąd jeszcze dziwne mają wyobrażenie. Myślą naprzykład, że miejsca pospolite, maxymy i morały, z równą emfazą od Greków, Rzymian, Turków i Amerykanów na teatrze francuskim deklamowane, potłumaczone na polskie gładkim wierszem, jeśli się zaczynają od słów: „Jakiż mię zapał porywa — Muzo wspieraj mój lot i t. p.“ robi się z tego narodowa oda, jeżeli zaś pokrajane w dyalog włożą się w usta Samborom, Jaxom, robi się narodowe drama, jeżeli na koniec wychodzą na świat w kształcie poematu noszącego tytuł na a d a, zaczynającego się od „ja śpiewam“ z przydaniem potrzebnych allegoryj i tak nazwanych machin, tworzą wtenczas narodową epopeja.

*) Zdania własne Laharpa o literaturze starożytnéj, nigdy żadnéj u uczonych nie miały powagi; zdania jego o literaturze francuskiéj powierzchowne i częstokroć fałszywe wytykają sami Francuzi, mianowicie Wilmen.

pewna, jako tłumacz poezyj, Dmochowski nie małe położył w literaturze zasługi. Sięgał on jeszcze czasów Stanisława Augusta i właśnie charakteryzuje epokę przejścia z oryginalnalnéj i silnéj poezyi do lękliwego, niewolniczego naśladownictwa. Talent tłómacza Iliady, lubo pozbawiony mocy oryginalnéj, zachował pewną śmiałość i życie, przynajmniéj w tłómaczeniach puszcza się na obszerne i wielkie przedsięwzięcia. Przy miernéj znajomości łaciny i literatury francuskiéj, Dmochowski zwyczajem augustowskich pisarzy, znał jeszcze dawną ojczystą Zygmuntowską literaturę: chociaż do języka poetyckiego stosował więcéj niż należało prawidła grammatyki francuskiéj, niezupełnie jeszcze zaślepiony czuł i cenił śmiałość, bogactwo i rozmaitość stylu Zygmuntowskiéj epoki, dziwi się nowym Trębeckiego wyrażeniom i mimo małych uchybień, oddawał sprawiedliwość wielkim i licznym Karpińskiego zaletom. We własnych pismach pracą i usilnością doskonalił styl swój, zrazu niedbały, ciężki i twardy. Wielka jest pod tym względem różnica między sztuką rymotworczą a przykładem Homera. W ostatnich zwłaszcza pieśniach Iliady, wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe i lubo wszelkiéj śmiałości poetyckiéj pozbawione, nie zamieniają się w rymowaną prozę*). Tenże Dmochowski jako uczony, jako krytyk, niskie bardzo zajmuje w naszéj nawet literaturze miejsce, a śmiałość która go w poetycznych pracach do wyższych podniecała przedsięwzięć, w krytyce dała zgubny przykład coraz zuchwalszym następcom. Dmochowski pracował nad tłómaczeniem Iliady w epoce, kiedy prolegomena Wolfa o Homeridach zwróciły powszechną filologów uwagę. Wielki spór literacki, może najważniejszy w dziejach krytyki nowożytnéj, dzielił uczonych angielskich i niemieckich, zajął nawet Francyę, gdzie nauki starożytne w nędznym były stanie. Nasz tłómacz Iliady, wielkiego, wiele lat pracy kosztującego dzieła, tyle tylko o Homerze w przedmowie powiedzieć umie, ile w podróżach Anacharsysa wyczytał. Ze wszystkich uczonych o Homerze piszących, od Wolfa do Benjamina Konstant, nikt jeszcze nie odwoływał się do powagi Bartelemi. Cóż powiedzieć o przypiskach do Iliady, gdzie Homer z Wirgiliuszem, Tassem i podobno z Wolterem porównywany i to w jaki sposób? Oto pojedyńcze okresy lub wiersze powyrywane, potłumaczone i obok siebie postawione. Jeśli można odgadnąć zamiar tłómacza, chciał on dać wyobrażenie o różnicy talentu, czyli stylu tych poetów, obnosząc jak ów architekt cegiełki ze świątyn Iliady i Jerozolimy wyzwolonéj. W dziewiętnastym wieku zdaje się, że czytamy

* Styl poezyj homerycznych, tek opowiadania właściwy Iliadzie, niknął albo si zupełnie odmienił w tłómaczeniu. Dmochowski ani historycznie ani krytycznie poezyj homerycznych nie rozumiał.

pedantskiéj pamięci Vossiusza rosprawy i dziecinne jego na podobnych zasadach oparte zdania. Szkoła poetycka Dmochowskiego, to jest naśladowców i tłómaczów s francuskiego spółczesnych i późniejszych, o ile pomnażała się liczbą, o tyle ścieśniała widoki, ograniczała się w nauce i drobniała w talentach. Łacina do reszty wyszła była z mody, o greczyznie mówić przestano i tym więcéj broniono klassyków, im więcéj zaniedbywano klassyczne języki. Nakoniec literatura francuska, cząstka literatury powszechnéj, stała się alfą i omegą naszych uczonych. Zamiast Iliady, Eneidy, Raju utraconego, tłómaczono dziesięcioletnią pracę Delila, Leguve, Kolardo, następnie różne ody, epitry, tragedye i komedye zachwalone w dziennikach paryskich. Po długim przeciągu czasu, kiedy już o tych tworach w Paryżu zapomniano, wychodziły one u nas i wzbudzały entuzyazm krytyków. Co do stylu, wszyscy prawie tłómacze długą wprawą doszli do tego, że wszyscy równie poprawni, równie od prowincyonalizmów i nowych wyrażeń wolni, wszyscy dobrze piszą wiersze. Wiersze te dziwnie do siebie podobne, zdają się z jednego kruszczu, z jednéj pochodzić mennicy. Sprawdziło się filozoficzne przysłowie, że chcąc dwie rzeczy zupełnie do siebie podobnemi uczynić, naprzód im życie odjąć potrzeba. Czy to tłómaczenia Moliera, czy Iliady, Miltona czy Leguve, jeden wszędzie tok wiersza, styl, ledwie nie rymy. Franciszek Salezy Dmochowski nazywa to ciągłym postępem narodowéj poezyi. Nie ujmujemy zasługi ostatnim tłómaczom, oni wszyscy razem ledwie nie dokonali w Polsce tego, co Defokonpre jeden dla Francyi zrobił, lubo Defokonpre i ważniejsze dzieła i w większéj liczbie potłómaczył.

Smutniejszy jeszcze widok, jeśli być może smutniejszy, przedstawia szkoła krytyczna w téj epoce. Jéj *corpus juris* składały kursa literatury w liceach i prytaneach francuskich na ówczas używane, przedmowy znajdujące się na czele dzieł Kornela, Rasyna i Woltera, rozbiory (*Examen du Cid, du Polyeucte etc.*) i komentarze wspominające jeszcze o sporach ze Skiuderym i Szaplenem, uwagi retoryczne i grammatyczne nad wierszami francuskiemi. Tak bogato w wiadomości opatrzeni krytycy, zaczynali pospolicie od nadania autorom pewnych tytułów; jednego zowiąc polskim Kornelem, drugiego Pindarem, innego znowu xiążęciem mowców lub poetów. Szczęśliwszym dostawało się kilka razem donacyi i tytułów. Któryś z młodych recenzentów warszawskich nazwał to dowcipnie literacką maskaradą. W ocenieniu szczegółowém autorów i ich porównywaniu powtarzały się wiecznie owe szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny, górny i t. p. Jeżeli który z Ixów zastanawiając się nad tra-

gedyą wzniósł się do wyższych spekulacyj, do rospraw o trzech jednościach i pokazał, że jednéj lub drugiéj braknie w sztuce, jeśli dostrzegł że między sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł że w téj lub w owéj scenie trzeba sobie wyobrażać przysionek zamiast sieni, zdumiewano się nad talentem i wiadomościami takowego Ixa. W wyroku o stylach albo raczéj o stylu, bo jeden tylko styl, znano, do jednego dążono, wyłączną powagę miały retoryczne i grammatyczne o wierszach francuskich przepisy. Najwięcéj też lubiono krytykę drobiazgową, bo po wygadaniu się o trzech jednościach, o poetykach Horacego i Boala, już się uwag ogólnych przebierało. Okresy więc, wiersze szczególne, wyrazy, całą zajęły uwagę. Zabawnie było widzieć recenzentów obracających spólnemi siłami jedno wyrażenie lub wiersz, często niegodny uwagi, ciągnących go mozolnie na forum krytyczne, jak mrówki Karpińskiego tuszę muchy lub ćwierć robaczka i ledwie nie upadających pod tak wielkim ciężarem *).

W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie **) w jakiém krytycy z sobą i z autorami żyli uszanowanie z jakiém zobopólne wyroki przyjmowali i skrupula-

*) Zob. w Gazecie Polskiéj 1827 siedm artykułów o przekładzie jednéj zwrotki z Lefran Pompinian. Lefran Pompinian ze wszystkiemi swemi dziełami ledwie zasługuje na wspomnienie w literaturze francuskiéj.

**) Autor historyi literatury nie poważa się dzieł oceniać. „Miałemże, powiada dla osób zwłaszcza żyjących o wszelkich zapomnieć względach? przez słuszności związki towarzyskiego pożycia uczynić tego nieśmiałem. Natomiast zdania obce, zwłaszcza tak przyzwoitych sędziów jakimi są: Ludwik Osinski, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam.“ Wybierzmy losem niektóre: Stanisław Potocki o tłómaczeniu Iliady mówi: „Dmochowski przelał myśli Autora (Homera) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy pieśni z dawniéjszych tłómaczeń (więc nie czytał przedtém Iliady) bez jakiéjś tęsknoty (?). Przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem.“ Czytałże kto podobne zdanie w jakiéjkolwiek historyi literatury? Jest to właśnie jeden ze szczególnych charakterystycznych przymiotów Iliady, że w niéj nigdzie Autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć że pieśni téj cudownéj Epodei, są to myśli Autora (Homera) o wojnie Trojańskiéj. Xiądz Baka pisał wierszém Uwagi o śmierci nie chybnéj. Jego biograf twierdzi żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad Rajem utraconym. Nie obrażę tą uwagą szanownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mowca i zasłużony mąż ojczyznie nie utraci przez to sławy, że się niepotrzebnie wdawał w retorykę i krytykę. Szanowalibyśmy słabość męża i pokrylibyśmy milczeniem jego uchybienia, ale mógłże professor literatury w Warszawie Osiński przytaczać owe zdanie jako nader ważne, a professor historyi powtarzać je jako nader poważne — Str. 306. „Trembecki prawdziwy okazał talent rymotworczy, łączy bowiem w poezyach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego, a słodyczą Safony.“ Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym że jest razem Mozartem, Rossinim, Humlem, i Orfeuszem! albo o malarzu że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa! O charakterze poezyj Safony wiemy tylko z podania, bo dzieł jéj ledwo drobne zostały ułamki. Odaria duo integriora et cetera carminum fenstnla. Grodeck.) Wyjaśniać zalety Trembeckiego porównywając charakter jego poezyj do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość ciemną. Dodajmy, że słodkość nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony:

tność z jak je dosłownie z ust do ust, z pióra do pióra przelewali. Zdanie Xiędza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiégo przytacza Ludwik Osiński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historyi literatury Bentkowskiego, skąd w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu pewna liczba zdań niemających gdzieindziéj żadnéj wartości, jak na Zmudzi ciągle krążą stare talary holenderskie i orty.

Téj krytycznéj szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszém i zabawniéjszém względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza białego zmieniło: oni na poetyce szkolnéj jak na kotwicy stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuskich, najmniéj w Francyi czytanych. Możnaby ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucyi, któréj nie rozumieli, obstających za władzą hetmańską i liberum veto, i mimo przyjętéj w ościennych krajach nowéj taktyki przeciwiących się zagranicznemu autoramentowi, i przekonanych, że oprócz kawaleryi narodowéj wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych klassyków:

Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty.

Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została. Dzisiaj, ze wschód pominę, w saméj Europie

---

przyznawano jéj vim, gratiam i na koniec dulcedinem. Zdanie o Trembeckim zasługuje na uwagę. Trudno jest w mniejszéj liczbie wyrazów zawrzeć więcéj niedorzeczności. Str. 303. Kniaźnin w pieśniopisarstwie nie poślednie trzyma miéjsce, imaginacya żywa, obrazy dowcipne (?) i bardziéj przez swą łachotliwość niż śmiałość wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebianie zmysłności znamionują poezye Kniaźnina.“ Nie wymienił Bentkowski który to s przyz woitych sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok. O Józefie Lipińskim słowa St. Potockiego. „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył jest tak dobrze wyrobione, że małém być przestaje.“ Nieznamy dobrze języka matematycznego, ale zdaje się nam że to co przestaje być małem przechodzi w mniejszość lub nicość. Józéf Lipiński nieszczęśliwie wyrabiał tłómaczenia Wirgiliusza i Tassa. Dawniéj Simonowicz naśladował i częściami tłómaczył Bukoliki, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównywając dawne tłómaczenia mniéj poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym i prozaicznym wierszem, najlepiéj możnaby pokazać manierę nowéj szkoły i dowieść jak wiele nasi tłómacze na francuszczyźnie tylko zaprawieni przynieśli szkody mowie ojczystéj. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdob stylu, zdjęto, że tak powiem, szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów. Inne zdania są lakoniczniejsze np. Str. 312. „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirykiem (?). Tamże. „Kozmian prawdziwym okazał się poetą lirycznym.“ —

tylu narodów, tak bogate literatury stoją otworem. Sami Francuzi, wyrzekłszy się wmawianéj przez szkołę Woltera swojéj wyłącznéj cywilizacyi, uczą się, tłomaczą, nowe tworzą rodzaje. Nasi uczeni, opzócz literatury francuskiéj do połowy ośmnastego wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boala i wtenczas mniéj potrzebne, albo niezgodne, a zatém szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klassyczności, jakże niesumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni nie umiejąc łaciny, nie mając pojęcia o greczyznie, chcą uczyć Anglików i Niemców jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile formy jéj naśladować wolno. Dziś kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych zajmuje uwagę Europy, ażeby je sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi, trzeba talentów i różnostronnéj nauki Szleglów, Tika, Simondego, Hazlita, Gizo, Wilmona, i redaktorów Globu. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły Xiędza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego. Jedni śmieją się z Getego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłómaczono, czytano i ceniono: drudzy cieszą się że *nie nmieją po hollendersku i nie czytają Lessinga*: inni radzą nawet wyciągnąć *kordon zdrowia*, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy. Téj blokady rozumu, acz potrzebnéj do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niéj w saméj Warszawie niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza obcych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawowierni klassycy przytaczają imiona Getego, Mura, Byrona: imion tych wielkich nie należałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klassyczny. Rosprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezyi w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem, można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiéj już się nie godzi. Recenzenci klassyczni warszawscy stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy nieczytając nawet gazet zagranicznych wyrokują o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów. Szczęśliwi! — *Pisałem w Petersburgu* 1828 *r.*

Objaśnienie niektórych wyrazów.

Bisior, rodzaj materyi przedniejszéj od purpury.

bułat, szabla z głownią szeroką, szabla turecka.

buta, pycha.

car, podbiał, lepieżnik ziele.

cmoknąć, mlasnąć, jak np. głaszcząc konia; zatém wciągać w siebie powietrze ściśnionemi usty.

czabr, ziele satureia hortensis.

czeremcha, smrodynia, pocierpka, krzewina do rodzaju porzeczki należąca.

czern, pospólstwo, mnóstwo, chrześcianie.

dąbrowa, gaj dębowy.

dosiwek, koniec siewu.

dożynek, wieniec.

drzewce, kopia, pika.

duby smalone, (baje, bezsensa) bredzić (pleść).

dżuma, powietrze zaraźliwe.

giaur, imie zelżywe, które Turcy chrześcijanom dają.

imo, mimo.

jaskier, żabinek kwiat.

jemioła, roślina pasorzytna, rośnie na dębach.

kołczan, sajdak, pochwa na strzały.

korowód, wiedzenie tańca, réj, więc taniec czyli krążenie.

krasawica, piękność. — *kucya*, wilia bożego narodzenia.

kysz, a kysz! toż samo co *a sio!* płosząc ptastwo.

łęk, część wyniosła siodła czyli kula.

martwica, z rossyjsk, upiór.

miano, imie. — *obłęk*, okrąg.

minarety, wysokie okrągłe wieże na meczetach, s których muessyni (publiczni obwoływacze), Turków pięć razy na dzień do modlitwy wzywają.

minstrele: obchodzący w średnich wiekach angielscy i szkoccy spiéwacy, którzy na arfie lub lutni grali.

niewód, sieć wielka.

nienie, teraz.

obszar, szeroki plac, przestrzeń.

ostrów, kępa lub wysep na rzece, jeziorze, stawie; trawą, chrostem lub drzewem porosła.

przybór, wyraz ten objasnilem przez przywłoki; bo mi go jeden z ziomków autora tak wyłożył; jednakże lubo znaczenie to jakokolwiek odpowiada myśli w str. 3. Kol. I. wyrażonéj; stémwszystkiém wcale się nie da zastósować do miejsc na str. 119 i 155. Kol. I. znajdujących się, s których raczéj wnosić należy, że wyraz ten znaczy przysposobienie, przygotowanie.

przybory, przywłoki czyli skrzydła niewoda.

puszyk, (puszk) zdrobn. od niem. *pusch*, największe piérsze ptasze; najwyższa część, tojest wierzchołek.

rapa, znaczy toż samo co *rafa*, tojest skała pod wodą statkom niebezpieczna.

rozhowor, rozmowa.

rozłog, i *rozłoga*, obszar, przestrzeń.

ruczaj, potok, struga.

sioło, wieś.

smug, rzęd, linia. — *szczelina*, rysa, szpara.

stołowanie, posowa.

strop, pułap, sufit.

świetlica, z rossyjsk, izba.

tumanić, zasępić; w zadumienie wprawić.

tok, naczynie rzemienne, w które jeździec kopią wstawia.

wrzkomo, niby, jakby.

zażynek, początek żniw.

zgliśko, miejsce, na którém palą umarłych.

zrąb, ściany drewniane domu, na których dachu niedano; w dzwonicy wiązanie do dzwonów, zatém:

zrąbnica, dzwonica.

BALLADY i ROMANSE.

PIÉRWIOSNEK. *)

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek piérwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

Ja.

Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze niesucha.
Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi śrzonu ząbek,
Lub chłodnéj rosy perełka.

Kwiatek.

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
...ż w jesieni całe grudnie.
... dla bogów szukasz datku,
... y dla druha lub kochanki,
... wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

Ja.

W podléj trawce, w dzikim lasku
Urosłeś o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?
... to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.
Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek.

Powitają przyjaciele
Mnie wiosny młodéj aniołka;
Przyjaźń ma blasku nie wiele
I cień lubi jak me ziółka.
Czym kochanki godzien rączek
Powiédz niebieska Marylko!
Za piérwszy młodości pączek
Zyskam piérwszą... ach! łzę tylko.

*) Primula veris.

ROMANTYCZNOŚĆ.

Methings i see . . . where?
— In my Mind's Eye.
Shakespear.

Zdaje mi się, że widzę . . . gdzie?
Przed oczyma duszy mojéj.

Słuchaj dziéweczko!
— Ona nie słucha. —
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie nie ma żywego ducha,
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
— Ona nie słucha. —

To jak martwa opoka,
Nie zwróci w stronę oka:

To strzela w koło oczyma;
To się łzami zaleje;
Coś niby chwyta, coś niby trzyma;
Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!
„Ach! i po śmierci kocha!
„Tutaj, tutaj, pomaleńku,
„Czasem usłyszy macocha!

„Niech sobie słyszy, już nie ma ciebie!
„Już po twoim pogrzebie!
„Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
„Czego się boję mego Jasieńka?
„Ach to on! lica twoje, oczki twoje!
„Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały jak chusta,
„Zimny, jakie zimne dłonie.
„Tutaj połóż, tu na łonie,
„Przyciśnij mnie, do ust usta!

„Ach jak tam zimno musi bydź w grobie!
„Umarłeś! tak, dwa lata!
„Weź mię, ja umrę przy tobie,
„Nie lubię świata.

„Źle mnie, w złych ludzi tłumie,
„Płaczę, a oni szydzą;
„Mówię, nikt nie rozumie;
„Widzę, oni nie widzą!

„Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
„Nie, nie ... trzymam ciebie w ręku.
„Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku?
„Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie!

„Mój Boże! kur się odzywa,
„Zorza błyska w okienku.
„Gdzie znikłeś! ach! stój Jasieńku!
„Ja nieszczęśliwa.“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści.
Bieży za nim, krzyczy, pada;
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze!“ krzyczy prostota,
„Tu jego dusza bydź musi.
„Jasie bydź musi, przy swéj Karusi,
„On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.

„Słuchaj dzieweczko!“ krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła;
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
„Nic tu nie widzę dokoła.

„Duchy karczemnéj tworem gawiedzi,
„W głupstwa wywarzone kuźni.
„Dziewczyna duby smalone bredzi,
„A gmin rozumowi bluźni.“

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawiędź wierzy głęboko,
Czucie i wiara silniéj mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

Martwe znasz prawdy, nie znane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miéj serce, i patrzaj w serce.

ŚWITEŹ.

BALLADA.

DO MICHAŁA WERESZCZAKI.

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiéj stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzy konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzer
W wielkiego kształcie ob
Gęstą po bokach puszczą oc
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna z pod twoich stopy
Pod niebo idzie równina,

Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręgu,
W jakiéjś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba bydź najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą,
Drżę cały kiedy bają o tém starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nie raz śród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą.
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiém robić mieście,
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkiém dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna,
Dano więc na mszą w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty.
Przeżegnał, pracę pokropił.
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się s szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół s sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.

Prężą się liny, niewód idzie s cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiémże jakie złowiono straszydło?
Choć powiém, nikt nie uwierzy.

Powiém jednakże; nie straszydło wcale,
Żywa kobiéta w niewodzie,
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży: a gdy jedni s trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem.

„Młodzieńcy, wiécie że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty zuchwały, i twoja gromada,
Wrazbyście poszli w głębinie;
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie:

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje téj cudnéj topieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świteź i w sławne orężem ramiona,
I w krasne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.

Nie śmił widoku ten ostęp ponury,
Przez żyzne wskróś okolice,
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległéj granicy,
Do oica mego napisze:

Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzysze.

Skoro przeczytał Tuhan list książęcy,
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec;
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: jaż własnych mieszkańców
Dla obcéj zgubię odsieczy?
Wszak wiész, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?

Ojcze, odpowiém, lękasz się niewcześnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie,
Widziałam jego Anioła.

Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi, póki mężе za granicą,
Ja bronię żony i córy.

Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zginmy lepiéj, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!"
Broniłam, lecz próżny opór;
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

Gotowa zbrodnia; czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy;
Panie! zawołam, nad pany.

Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiéj twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie.

Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi nié ma podemną.

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą,
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniégi pobielą.

Za życia cnoty niewinnéj obrazy,
Jéj barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego Car i Ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

Kto tylko ściągnął do głębini ramie,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

Choć czas te dzieje wymazał z pr[illegible]mięci,
Pozostał sam odgłos kary,

Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa Cary."

To mówiąc pani zwolna się oddala.
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni,
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niéj.

ŚWITEZIANKA. *)

BALLADA.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakato obok dziewica?
Brzegami sinéj Świtezlu wody
Idą przy świetle xiężyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jéj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest téj dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednéj porze
Pod tym się widzą modrzewiem;
Młody jest strzelcem w tutejszym borze:
Kto jest dziewczyna? ja nie wiém.
Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jéj nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiédz mi piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice,
Jaką przybiegłaś do mnie dróżyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

Minęło lato, zżółkniały liścia,
I dżdżysta nadchodzi pora,
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?

Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiéj z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba! ze mną.

Chateczka moja stąd niedaleka
Pośrodku gęstéj leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mléka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny."

„Stój, stój," odpowié, „hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

Więcéj się waszéj obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje;
Ale czy będziesz mnie stały?"

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym xiężyca blasku;
Lecz czy dochowa przysięgi?

Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!

To mówiąc dziéwka, więcéj nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie,
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączym wybiegom nie sprostał,
Znikła jak lekki powiew wietrzyka;
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka,
Cisza w około, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnémi strzela oczyma.
Wtém wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

*) Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się Ondiny czyli Nimfy wodne, które gmin nazywa świteziankami.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srébrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jéj twarz, jak róży bladéj zawoje;
Skropione jutrzenki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje;
Obwiały postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
Zanóci czule dziewica,
Poco wokoło Świteziu wody
Błądzisz przy świetle xiężyca?

Poco żałujesz dzikiéj wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I może jeszcze się śmieje.

Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale.

Czy zechcesz, niby jaskółka chybka,
Oblicze tylko wód muskać;
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać.

A na noc w łożu srébrnéj topieli
Pod namiotami źwierciadeł,
Na miękkiéj wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł."

Wtém z zasłon błysną piersi łabędzie;
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I, do mnie, woła, pójdź do mnie.

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srébrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka go w stopy załechce.

tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa;
k gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

Zapomniał strzelec o swéj dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę ośłep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży;
Niesie go wodne przestworze,
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniém igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swéj ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni,
I skoczne okręgi toczy.

Wtém wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zbliska;
Ach to dziewczyna spod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!

Nie tobie igrać przez srébrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

A dusza przy tém świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie,
Nie ma czém zgasić gorąca."

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnémi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca.
Roztwiéra paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle xiężyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jestto z młodzieńcem dziewica.

Ona po srébrném pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Któż jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiém.

RYBKA.

BALLADA.

(Ze śpiéwu gminnego.)

Od dworu, s pod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzéka;
Załamuje białe rączki,
I tak żałośnie narzéka.

O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiéj przygodzie,
Głosu zdradzonéj kochanki.

Kochałam pana tak szczérze,
On mię przysięgał zaślubić,
Dziś xiężnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
[illegible]ć się z mych [illegible]i.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płacze i woła: „niestety!
Ach któż da piersi dziéciątku!
Ach! gdzie ty Krysiu, ach gdzie ty?“

„Tu jestem w rzéce u spodu,“
Cichy mu głos odpowiada:
„Tutaj drżę cała od chłodu,
„A żwir mi oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki
„Fale mnie gwałtowne niosą,
„Pokarm mój koralki, muszki,
„A zapijam zimną rosą.“

Lecz sługa jak na początku,
Tak wszystko woła, niestety!
Ach któż da piersi dziéciątku
Ach gdzie ty Krysiu, ach gdzie ty?

W tém się coś zlekka potrąci
Śród kryształowéj przezroczy,
Woda się zlekka zamąci,
Rybka nad wodę [illegible]

I jak skałka [illegible]
Gdy z lekk[illegible]
Tak nasza r[illegible]
Mokre [illegible]

Złot[illegible]

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła, i tylko nad rzéką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dziéciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora;
Nie widać z dziécięciem sługi

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę;
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

[illegible]ił się; czekał zdaleka
[illegible]gęstym usiadłszy krzakiem;
[illegible]óźno czeka i czeka;
[illegible]racał tym szlakiem.

[illegible]kę zwinął,
[illegible]szparę;

Krysiu, o Krysiu, zawoła:
Echo mu, Krysiu, odpowie;
Lecz próżno patrzy do koła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłém,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dziéciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem,
I odmawiając pacierze
Wraca do domu s pośpiechem.

POWRÓT TATY.

BALLADA.

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słup na wzgórek;
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

Tata [illegible]anki i wiecz[illegible]
W[illegible]
P[illegible]

Vtém słychać turkot, wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
Tata, ach tata nasz jedzie!

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata;
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rozynki w koszyku;“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie,“ kupiec na sługi zawoła,
„Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
Idzie . . . aż zbójcy obskoczą do koła;
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia pługawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku straszna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodéj małżonki wdową.“

Nie słucha zgrai[illegible]

[illegible]biéra[illegible]

Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiém.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chróśty,
Modlą się dziatki do Boga.
Słucham; s początku porwał mię śmiéch pusty,
A potém litość i trwoga.

Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach ja mam żonę! i u mojéj żony,
Jest synek taki maleńki.

Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciórek.

KURHANEK[illegible]

A od niéj idą trzy drogi.
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie dziewczyno
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całéj wsi pytaj się bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w téj chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawéj stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest dróżyna jéj matki,
A stąd przychodzi jéj druszka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu.
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo ... idzie kochanek.
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo, przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli,
I [illegible]
I [illegible]

Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki
Może ją we śnie ujźrzę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki!
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy:
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biédzi;
A ja ni ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzódę wyduszą wilki!
Niémasz, niémasz Marylki!
Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty,
Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty,
Niémasz, niémasz Maryli!
Swaty nie namówili.
Nie mogę — nie — nie mogę;
Wiém, ojczę, co uczynię,
Pójdę w daleką drogę.
Więcéj mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali;
Nie będę już na świecie,
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.
Niémasz, niémasz Maryli!

TKA.

rana?

Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.
U nas i wieczorynki,
S całéj wsi chłopcy, dziéwki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiéwki.
Niémasz cię! w domu pustynie!
Każdy, kto idzie, minie.
Zawiasy rdzewieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni:
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Niémasz, niémasz Maryli!

Przyjaciółka.

Tutaj bywało z ranku
Nad wodą sobie stoim;
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim,
Już więcéj z sobą niebędziem mówili.
Niémasz, niémasz Maryli!

Któż mi zwierzy się szczérze,
Komuż się ja powierzę?
Ach gdy z tobą kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę;
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

Cudzy człowiek.

Słyszy to cudzy człowiek,
Wzdycha, i łzy mu płyną;
Westchnął, otarł łzy s powiek,
I daléj poszedł z wicina.

DO PRZYJACIÓŁ.

ŚYŁAJĄC IM BALLADĘ: TO LUBIĘ

Kowno, dnia 27. grudnia.

---

raz, dwa, trzy ... już północna pora,
głuche w około zaciszę,
tr tylko szumi po murach klasztora,
sów szczekanie gdzieś słyszę.

Świéca w lichtarzu dopala się na dnie.
Raz w głębi tłumi ogniska:
Znowu się wzmoże, i znowu opadnie,
Błyska, zagasa, i błyska.

Straszno! — nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze;
Ileż mi słodkich chwilek przypomina;
Przecz .. to już znikło nazawsze!

Teraz ja szczęścia szukam, ot w téj xiędze;
Xięga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę, lub braci;
Zrywam się, patrzę; aż tylko po ścienie
Biega cień własnéj postaci.

Ot lepiéj pióro wezmę, i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy;
Zacznę; bo nie wiém, czy skończę.

Może też pamięć o minionéj wiośnie,
Zimowy wiérszyk umili,
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli.

Kto pragnie pędzlem swe rozsławić imie,
Niech jéj maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiéwa rymie,
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiéj wam powiém, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla, słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jéj kto *kocham*, mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i lubię.

Za to więc w Rucie pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja na dobranoc, żegnając Marylę,
Taką straszyłem balladą.

TO LUBIĘ.

BALLADA. *)

Spojźrzyj, Maryło, gdzie się kończą gaje,
W prawą łóż gęsty zarostek,
W lewą się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew, w niéj puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnicą chrośniak malinowy
A w tym chrośniaku mogiły.

Czy tam biés siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnéj godzinie,
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się s trzaskiem odmyka;
W pustéj zrąbnicy dzwonią same dzwony,
W chrustach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady,
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
Tu znowu głowa bez ciała;
Roztwiéra gębę i wytrzyszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży; pragniesz go odegnać,
Aż orlém skrzydłem wilk macha;
Dość zgiń, przepadniéj, wyrzéc i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc: cha cha cha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy,
I każdy musiał kląć drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja chociaż pomnę, nie raz Andrzéj stary
Zaklinał, nie raz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście s końmi wóz staje,
Próżno woźnica przynagla do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a po tém skoczą s całéj mocy,
Dyszel przy samej pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
To lubię, rzekłem, *to lubię*!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jéj szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!
„Na wieki wieków“ odpowie.

„Ktokolwiek jesteś poczciwy człowi
Coś mię zachował od męki;
Dożyj ty szczęścia i późnego v
I pokój tobie i dzięki.

Widzisz przed sobą obraz grzesznéj dus
Wkrótce się niebem pochlubię;
Boś ty czyscowéj zbawił mię katus
Tém jedném słówkiem *To lubię*.

Dopóki gwiazdy zejdą, i dopóki
We wsi kur piérwszy zapieje;
Opowiém tobie, a ty dla nauki
Opowiódz innym me dzieje.

*) Ta Ballada jest tłumaczeniem wiejskiéj pieśni; jakkolwiek zawiera opinije fałszywe i z nauką o czyścu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmieniać, aby tém wyraźniéj zachować charakter gminny, i dadź poznać zabobonne mniemania ludu naszego. Najbłędniejsze zaś jest zakończenie pieśni przez śpiewaniz Anioł Pański.

Onego czasu żyłam ja na świecie,
Maryla zwana przed laty;
Ojciec mój piérwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.

Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich marnéj pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapały.

Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze;
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiéch obudzały rospa[illegible]

Ja pójdę! mówił ze łzami. — Idź sobie. —
Poszedł i umarł z miłości;
Tu nad rzeczułką w tym zielonym grobie
Złożone jego są kości.

[illegible]d mi życie stało się nie l[illegible]e,
[illegible]óźne uczułam wyrzuty;
[illegible] ani sposób wynagrodzić zgubę,
[illegible]i czas został pokuty.

[illegible] gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty;
[illegible]yleciał Józio w straszliwéj postawie,
[illegible]ak potępieniec ognisty.

[illegible]wał, udusił gęszczą dymnych kłębów,
[illegible]zyscowe rzucił potoki;
[illegible]śród jek[illegible] zębów,

„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na roskosz, nie na boleści.

Ty, jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, ciérpienia i modły.

Za taką srogość, długie, długie lata,
Dręcz się w czyscowéj zagubie;
Póki mąż jaki z tamecznego świata,
Nie powié na cię choć *lubię*.

Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz; nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy."

Rzekł; mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie;
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie;

I w cerkwi, albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszydła.

Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje;
Tyś piérwszy wyrzekł *to lubię*.

Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość s pod ciemnych wskażę chmur;
Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona ....
Wtém na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną,
Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące;
Śladam, powoli strach mija;
Proszę, za dusze w czyscu bol
Zmówić trzy Zdrowaś Mar

RĘKAWICZKA.

POWIASTKA.

(z Szyllera.)

Chcąc bydź widzem dzikich bojów,
Już u źwierzyńca podwojów,
Król zasiada.
Przy nim xiążęta i panowie Rada;
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeciądze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
W około,
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemie
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu;
Znowu przemknie się krata,
Szybkiemi skoki, chciwy połowu
Tygrys wylata.
Spoziera zdala,
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega;
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy,
Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu;
Znowu podwój otwarty,
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z niémi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie;

Wtém lew podniósł łeb do góry,
[illegible]ał — i znowu cisze;
[illegible]s krwawemi pazury
[illegible]a mordem dyszę.
[illegible] stronie przylega.

Wtém leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnéj Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
Kto mię tak kocha, jak po tysiąc raz
Czułemi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze;
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.

A on w zwycięskiéj chwale
Wstępuje na krużganki,
Tam od radosnéj witany kochanki,
Rycerz jéj w oczy rękawiczkę rzucił:
„Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale."
To rzekł i poszedł, i więcéj nie wrócił.

PANI TWARDOWSKA.

BALLADA.

Jedzą, piją, hulki palą,
Tańce, hulanka, swawola:
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha cha, chi chi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stołu,
Podparł się w boki jak basa:
Hulaj dusza! hulaj! wola!
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca;
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona s trybunału,
Co milczkiem wypróżniał ro[illegible]
[illegible]dzwo[illegible]ału,
[illegible]

...ieisce widzieć możecie,
...ędy rwałem to kwiecie.
...wałem na łączce w gaju,
...a grobie przy ruczaju,
Okażę grób i zdrój,
To mój, to mój, to mój!“

...Kłócą się źli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli s pochew miecza,
Wszczyna się srogi bój;
Szarpią do siebie wieńce,
„To mój, to mój, to mój!“

Wtém drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świéce zagasły.
Wchodzi osoba w bieli,
Znany chód, znana zbroja.
Staje; wszyscy zadrżeli;
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem;
„Mój wieniec, i ty moja!
...wiat na mym rwany grobie,
...e xięże stułą wiąż;
... żono, biada tobie!
...o ja, twój mąż, twój mąż!
...li bracia, biada obu!
... mego rwaliście grobu!
...wieście krwawy bój.
... ja, twój mąż, wasz brat,
...y moi, wieniec mój;
...aléj na tamten świat!“

...Wstrzęsła się cerkwi posada,
... zrębu wysuwa się zrąb;
...kłop trzeszczy, głąb zapada,
...rkiew zapada w głąb.
... z wiérzchu kryje,
...osną lilie.

DUDARZ.

ROMANS.

(*Myśl s pieśni gminnéj.*)

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy,
S siwą aż do pasa brodą;
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszéj niwy.

Starzec na lirze brząka i nóci,
Chłopcy dmą w dudeczki s piórek;
Zawołam starca, niech się powróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

Powróć się starcze tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał Pan Bóg, tém się podzielim,
I do wsi na noc stąd blisko.

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko,
I usiadł sobie pod miedzą;
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczałki, biją bębenki,
Płoną stósy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj dudarzu, witamy radzi,
W wesołéj przychodzisz dobie;
Pewnie zdaleka Pan Bóg prowadzi,
Pogrzéj się i spocznijéj sobie.“

Wiodą gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku;
„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szkłaneczkę miodku?

Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj co nam samotrzeci;
Napełnim za to łomok, kobiałki,
I [illegible] wdzięczni waszeci.“

„No! stójcież cicho,“ rzekł do gromadki;
„Cicho!“ powtarza, w dłoń klaska;
„Jeżeli chcecie, zagram wam dziatki;
A cóż wam zagrać!“ — „Co łaska.“

Wziął w ręce lirę i szklankę sporą,
Miodem pierś starą zagrzéwa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiéwa:

„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
„Od wioseczki do wioseczki,
„Z borku do borku, s smugów na smugi,
„Spiéwając moje piosneczki.

„Wszyscy się zbiegali, wszyscy słuchali,
„Ale nikt mię nie rozumié;
„Ja łzy ociéram, westchnienia tłumię,
„I idę daléj a daléj.

„Kto mię zrozumié, ten się użali,
„I w białe uderzy dłonie;
„Uroni łezkę, i ja uronię,
„Ale już nie pójdę daléj.“

A wtém grać przestał; nim znowu zacznie,
Przelotem spojźrzał po błoniu;
Lecz w jednę stronę spoziera bacznie;
Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec;
To uplecie, to rosplecie;
A obok przy niéj stoi młodzieniec,
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jéj widać czoła;
Ku ziemi spuszczone oko,
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkiem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać;
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słychać.

Wtém s piersi listek zżółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;
Spojźrzy nań, rzuci, i s cicha szepnie,
Jakby się na listek gniéwa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrzenice;
Nagle na oczach łezki zaświécą,
I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce;
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
Zdał się przedziérać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzéwa;
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił, i śpiéwa:

„Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach! jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec.
Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łzy i rumieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka.

Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec;
Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka;
Gdy szczęśliwy bierze wieniec,
Z róż, lilii i tymianka.“ *)

Na to szmer powstał, różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną.
Tę piosnkę śpiéwał ktoś z naszéj wioski,
Lecz kto i kiedy nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę,
„Słuchajcie dzieci,“ zawoła
„Powiém, od kogo mam tę
Może on był s tego sio

Kiedym węd
Królewiec
Wtenczas p

Pastérz jak

*) Te tr
sza Za

zęsto widziałem, czy świécą zorza,
Czyli xiężyc w pełaym blasku,
ak on po błoniach, albo u morza
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na dészczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie.

Szedłem ku niemu, spozierał smutnie
Ale odemnie nie stronił,
Jam nic nie mówiąc nastroił lutnię,
Zaśpiéwał, w strony zadzwonił.

Łzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

Poznaliśmy się lepiéj nawzajem
I byliśmy przyjaciele.
On zawsze milczał swoim zw
I ja mówiłem nie wiele.

Potém, gdy troską strawi
Już nie mógł rady dać
Ja towarzyszem, ja był
Jam go pilnował w

Nędzny w mych ocz
Raz mię przywoła
Czuję," rzekł, „bl
Niech się spełni

grzeszyłem tylko
Tak się nadaren
le bez żalu scho
Dawno już na

iedy mnie skał
Ukrył przed gn
dtąd już dla n

Mam jeszcze z

I zeschły c
Naucz się pio
To mój n

Idź, mo

Tę, k
Może
Mo

Nag

ziemi,

na.

I,

Bym cię witał westchnieniem,
I pożegnał życzeniem
Dobréj nocy, i długiéj pieszczoty!“ —

Ona jeszcze nie słucha,
On jéj szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona,
Opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda s kozakiem
Przyklęknęli za krzakiem,
I dobyli z zapasa naboje,
I odcięli zębami,
I przybili sztęflami,
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie!“ kozak powiada,
„Jakiś bies mię napada,
nogę zastrzelić téj dziewki.
ym półkurcze odwodził,
y dreszcz mię przechodził,
ię łza do panewki.“

plemię hajducze,
kać naucze,
hem leszczyńskim sa-
kiewkę;
a żywo,
ciem krzesiwo,
en łeb, lub w t
iewkę.

rawo!... pomału!
ystrzału,
dostać — P
dy.“ —
wycelił,
trzelił,
— wo wody.

Ale warcabę czułe ulubiły serca.
Hucznych znikając zabaw, nie łakome zysku,
Dzionek na towarzyskiém skracają igrzysku.
Precz od nich z ulicznego wydobyty steku,
Obyczajem i twarzą nieznany człowieku;
Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek,
Przyjaciel s przyjacielem, s kochanką kochanek.

Franciszku, sercem czuły, a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nié masz dla warcaby względu.
Pozwól, niech tobie gry téj prawidła wymienię,
Bo tamtéj jedno kiedyś nauczy spojźrzenie.

O Wido, gdybym dostał twój pędzel bogaty,
Wido, tak biegle w polskie przestrojony szaty, *)
Zdarz, niech twojego torem idąc wynalazku,
Opisom mym udzielę powabu i blasku.
Niech stąd warcaba świéżéj nabędzie zacności,
Niech chwalonym przez ciebie szachom nie zazdrości;
A mnie niech wdzięcznie czyta ten dla kogo piszę,
Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze.

Wiédzcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem;
Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne zwieśdź razem.
A więc naprzód dla warcab szranki przybierz świetnie,
Niech je siedem dróg równych z obu stron rozetnie.
Potém czarn i białe strugaj czworościany,
I w miejscach opisanych rozsadź na przemiany.
Kiedy się plac ogrodzi, skreśli i wymierzy,
Nie zaniedbaj do walek przywołać rycerzy.
Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona;
Że pieszo walczą, pieszków niech noszą imiona.
By omyłek w wojennym tłumie uniknęli,
Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli
A chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze,
Przecięż stają na czarnym z obu stron kolorze.
Półk chce się z półkiem zetrzeć, trupem usłać pole,
Albo żywym broń wydrzeć i zaprzeć w niewolę.
Każdy na czoło jednym postępując krokiem,
Nieprzyjaciela swego pilném śledzi okiem;
Patrzy, czy który rycérz zapędzony w biegu,
Nie wymknie się choć na krok ze swego szeregu:
A skoro s tyłu za nim próżny plac odkryje,
Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.
Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu,
Cofnąć stopy pod karą niewolno nikomu;
Iść na przód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,
Wedrzeć się do obozu jest głównym gry celem.
Kto piérwszy umiał zdobyć przeciwników szranki,
Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki;
I jako błędni niegdyś czynili rycerze,
Do boju idąc damę na koń s sobą bierze.
Co wprzódy stąpał pieszo, dziś po ca-

*) Szachy poety włoskiego Widy, wzorowie tłumaczone p. Jana Kochanowskiego.

Wprzód i w tył, wlewo wprawo hasa na rumaku.
Jeśli mu jaki śmiałek waży się zajść w oczy,
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.
Tak ów Karól trwożliwy już umykał s tronu.
Przed nachodem powstańców i wojsk Albionu,
Ale jak tylko dostał na pomoc Darczanki, *)
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpiéraj więc jak możesz i kładź wszędzie tamy,
Ażeby twój przeciwnik niemógł zdobyć damy.
Jeśli jéj i sam z obcych wziąć nie zechcesz szyków,
I własną mocą w boju zgnębisz przeciwników,
Wtenczas dla nich prócz straty największa sromota,
Według praw tracą sławę i paść muszą *kota*.
Częstokroć wódz w swéj sile zaufany zbytnie,
Nie chce rycérki, myśląc iż sam wszystkich wytnie;
A tymczasem przeciwnik mając pómoc w damie,
Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie;
Już wódz chwieje się ranny, miecz upuszcza z dłoni,
Kochanka nad nim żadnéj łezki nie uroni:
Tak, co wprzódy zwycięstwa karmił się otuchą,
Umiéra, a co gorsza umiéra na *sucho*.
Pary więc szukaj gwałtem, lub przez chytre środki;
W parze miłe zwycięstwo, w parze i zgon słodki.
Choć przegrasz, mniéjszą będzie daleko przegraną,
Jeżeli grób twój łzami odwilży kochaną.

Masz tedy prawa wojny; krótkie je podaję:
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwyczaje.
Sarmata ufność w saméj kładący odwadze,
Woła na cię przed bojem: „zwalczę, lecz nie zdradzę!“
Stąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie ciska.
Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się z bliska.
Dama jego podskoków wyprawiać niezdolna,
Równym jak mąż jéj krokiem postępuje zwolna;
Ten tylko u rycerskiéj wzgląd zyskawszy młodzi,
Że się jéj s krwawych bojów ujść bez hańby godzi.
Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże,
S czoła walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże:
Często skradać się lubi śród gwaru, śród pyłu,
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół s tyłu;
Stąd w takich bojach nie raz za cięciem bułata,
Dwóch, cztérech, pięciu zgładzić potrafi ze świata.
Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan zdarłszy zbroję,
Cofa się, by łup unieść między półki swoje.
Dama Kastylska w bitwach różnym trybem stawa:
Nié masz w xięgach zwyczaju wyraźnego prawa;
Raz chciwa wojennemi ozdobić się łupy,
Staje na bojowisku i obdziéra trupy;
Ale kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,
Często pieszek podskoczy i dumny ich utnie.
Jeśli zaś rzuca martwych i dalej ucieka,
Od nieprzyjaznych szyków stawając zdaleka,
Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,
Liczniéjsi jéj nie mogą zbić nieprzyjaciele.

*) Joanne d'Arc.

Francuz staczając walki, naprzód idzie żwawo,
Zabijając w tył, lata i w lewo i w prawo.
Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki,
Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec ścieszki,
I jeśli mu się kogo położyć udało,
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.

Znając wojska, wybieraj jakieć się podoba;
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.
Po polsku walczą zwykle celniejsi zasługą;
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;
Pod koniec, kiedy damy tłumnie wjadą w szranki,
Bardzo trudno przychodzi ścigać jéjmościanki.
Gra więc Hiszpańska krótsza, podstępna, zajadła,
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przypadła.
Bardziéj niśli do męstwa, do wybiegów zdatni,
Cwiczą się nieprzyjaciół w chytréj łowić matni.
Francuz, że prędko kończy i daleko skacze,
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.

Lecz nie dosyć, Franciszku, żeś świadom obrotów,
Żeś widział wojska, jeszcześ do bitwy nie gotów.
Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?
Nie; umiéj szyki sprawić, umiéj poznać pole.
I w grze są różne miejsca: wskaże moja rada,
Kiedy je zająć, kiedy strzedz się ich wypada.

Naprzód w prawo jest koniec o podwójnym głazie;
Młynek to, port bespieczny w niebespiecznym razie.
Tam broń się: choćby na cię bito bez spoczynku;
Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do młynku.
Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twéj właści,
Możesz damy wybornie bronić od napaści;
Przeciwnie, gdy hiszpanka na placu zostanie,
Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią polowanie.
Z lewéj strony głaz jeden w koniec szranków bodzie,
Miejsce to zowią beczką: groźne na przechodzie.
Gdyż jeżeli w niém dama zasiędzie na czaty,
Nabawi pewnie klęski, albo znacznéj straty.

Te są w tyle, lecz inne z czoła stanowiska,
Kędy na nieprzyjaciół można natrzéć zbliska.
Iż przyległe granicom, nazwane są kątki,
W nich bitwa często krwawe zwykła mieć początki,
W nich się kryje kto słaby, lub ostrożny zbytnie,
I w nich biegły gromiące stawi działobitnie.
Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła;
Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła.
Środkiem gracz najbieglejszy i najgorszy lézie,
Częste [illegible] tam zwycięstwo, ale częstsze rzezie.
Cl[illegible] szczęsnym przeciwnik[illegible]li,
[illegible]zków w j[illegible]
[illegible]ć chwili,
[illegible] zap[illegible]

Tak się zaprzesz na środku, iż stąpić gdzie nié ma.
Ale pocóż széroko przepisy rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo, lecz wodze.
Oni początkiem bojów, dają bojom prawa;
Od nich zależy cała w warcabach zabawa.
Nie prędko do potyczki bohatyr przywabi,
Co się powolnie wlecze jak ów togat Fabi.
Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,
Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła.
To w przód, to w tył pojeżdża, patrzy, głową kręci,
Myśli, wtém co umyślił wypadło s pamięci;
I przegrawszy nareszcie po rozwagach długich,
Pozna, iż sam się znudził, i nie bawił drugich.
Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem dzieci,
Bez namysłu, bez celu, oślep w ogień leci;
Biją go, jeśli natrze; łowią, jeśli zmyka,
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeciwnika.
Ten tylko słusznie wielkie gracza imie bierze,
Kto męstwo i rozwagę w jednéj trzyma mierze,
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i dobrze umyśli i prędko wykona.
A gdzież są tacy gracze? lecz wieszczy głos słyszę,
Słowom moim udzielą wiary towarzysze;
Franciszek będzie takim, jeśli tylko przyjmie
Ustawy w przyjacielskim [illegible] kréślone rymie.
Lecz zacóż go [illegible]
Z gry obj[illegible]

Gdy mu inni te służby pomniejsze oddadzą,
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?
Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna,
Za cóżem niewidziany koło was oddawna!
O ty, dla któréj wiecznie tajne me zapały,
Któréj imie pomyślić, staję się za śmiały,
Tobie spokojność moję, gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby.
Nie dziw, żem toczył zawsze mniéj szczęśliwe boje,
Tyś patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje.
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
I wiecznie chcąc je widzieć, i tracąc na wieki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem w oku.
Alem się nadaremnym nie zdradził zapałem;
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem.
Bo los wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody.
Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną.
Lecz pamiętam, bo pamięć nie jest mi podwładną.
Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.
Odtąd na wieki w jednym porzucone szyku,
Brańcy obok zwycięzców tkwią na mym stoliku.
Raz tylko śmiałem ulżyć grą długiéj żałobie;
Lecz więcéj grzechu tego nie pozwolę sobie;

Bo twoja oczywiście sstępująca postać,
Kazała grze poczętéj nietkniona pozostać.

Franciszku, czy litości, czyli doznam wiary,
Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary,
Z uniesieniem widzący, a niechętny badać,
Nadludzkie tobie cudo muszę wyspowiadać.
Pomnisz, jak przeraźliwych strat odniósłszy rany,
Z jéj obecności, z waszéj pociechy obrany,
Całe dni pustelnicza więziła mię klatka,
Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.
Raz gdy już świateł lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rozstąpi,
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie;
Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie.
Boże! to jéj twarzyczka, jak poranek blada,
Włos na szyję srebrnemi promykami spada,
Chmurka jéj przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży;
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,
Widziałem ją w codziennéj obecną postawie,
Tylko mającą bardziéj jasności do koła,
Więcéj boską; bo więcéj piękną być nie zdoła.
Ku stolikowi potém przyśliznęła kroku,
Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku;
Sercem tak blisko serca i licem do lica,
Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.
Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie,
Bóg jest łaskaw podobne ssyłać mi widzenie;
Zawzdy około warcab pobawi się zbliska;
Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska;
Snadź od bóstwa sprawionych orszaków i błoni,
Dotykać skazitelnéj nie godzi się dłoni.
Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.
Franciszku, jeśli dłużéj chcesz warcaby lubić,
Na spółbliźnich uzyskuj tryumfalny wianek,
Nigdy nie wyzywając do boju niebianek.
Pomnij, że kto ośmielił na Pafią dłonie,
Tydejczyk rychło zbrzydził szeregi i bronie.
A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,
Teraz smutny was mijam, lub ucz[illegible]
niem nudzę.

BAS[illegible]

(IMPRO[illegible]

Czy się [illegible]
Może n[illegible]
Na ka[illegible]
Basza p[illegible]

---

*) Lulo sp[illegible]
cy Bibli[illegible]
II. str[illegible]
rzeczo[illegible]
staniu[illegible]
mogł[illegible]
znac[illegible]
zua[illegible]
s[illegible]
v[illegible]

Pieją Wołoszki, skaczą Czerkieski,
Skacze małżonka Kirgisa.
Tych oko, jako safir niebieski,
Tych ciemne jak tron Eblisa *).

Basza niewidzi, basza niesłucha,
Turban nasunął nad okiem,
Drzymie.... i dymy ciągnąc z cybucha,
Mglistym się zakrył obłokiem....

Wtym czarny eunuch brankę przywiedzie
I stawi wpośród seraju:
„Po synu słońca, po Muhammedzie,
„Najpiérwsza gwiazdo w tym kraju!

„Słuchaj eunucha, o synu Mocy;
„Roskoszy jestem tłumaczem.
„Oto służebne wiatry północy
„Nowym cię darzą haraczem.

„Sam sultan nié ma bielszéj nad śniegi
„W roskoszy sadzie w Stambule;
„Ona ci będzie wspominać brzegi,
„[illegible]óre wspominasz tak czule.“

[illegible]n, co jéj wdzięki przygasza,
[illegible] cały dwór klasnął;
[illegible] nię trzytulny basza **),
[illegible]ał i zasnął....

[illegible] turban mu spada:
[illegible] dziwy!...
[illegible]rcią blada,

[illegible]piołów wy-

[illegible]głoszo-
[illegible]ć jéj w
sposo-

[illegible]co

Fenix nowy: już błyszczy w złotéj
wschodu bramie.
Świat go cały nadzieją i życzeniem
wita.
Czegóż w tym nowym roku żądać
masz Adamie?

Może chwilek wesołych? — Znam to
błyskawice:
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia; aż nasze źrenice,
Grubszą niżéli przedtém zasępią się nocą.

Może kochania? — Znam tę gorączkę
młodości:
W platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy;
Aż silnych i wesołych strąci w ból
i mdłości,
S siódmego nieba w stepy między
zimne głazy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam:
Marzyłem boską różę: bliski jéj zerwania
Zbudziłem się: sen zniknął, róży nie
posiadam.
Kolce w piersiach zostały. — Nie żądam kochania.

Może przyjaźni? — Któżby nie pragnął przyjaźni?
Z Bogiń, które na ziemi młodość umié
tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
Najpiérwszą zwykłą rodzić i ostatnią
morzyć.

O przyjaciele, ileż jesteście szczęśliwi,
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc
społem;
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym
żywiołem.

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy
chłośnie,
Lub je żądło owadów jadowitych drażni;

Jakże każda gałązka dręczy się nieznośnie
Za siebie i za drugie! — Nie żądam przyjaźni.

I czegóż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowéj pościeli,
Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiéchu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, s którego nic mię nie obudzi,
Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi.

Do
JOACHIMA LELEWELA

z okoliczności rozpoczęcia kursu historyi powszechnéj w uniwersytecie wileńskim dnia 9. *stycznia* 1822 *roku.*

Bellorum causas, et vitia, et modos
Ludumque Fortunae, gravesque
Principum amicitias, et arma.....

Periculosae plenum opus aleae,
Tractas, et incedis per ignes
Suppositos cineri doloso.

Horat, L. II. c. 1.

O długo modłom naszym będący na c
Znowuż do nas koronny znidziesz l
lewelu!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłu
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozu

Nie ten, co wielkość całą gruntuje w dowcipie,
Rad tylko, że swe imie széroko rozsypie,
I że barki księgarzom swemi pismy zgarbi;
Nie taki ziomków serca na wieczność zaskarbi;
Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodaka żyje między braćmi.
Lelewelu, w oboim jak ci zrównać blasku?
Szczęśliwyś i w przyjaciół i w prawd wynalazku.
Oto nad wiek młodziana przerosłeś nie wiele,
Tobie mędrszemu siwe zajźrzą Matuzele;
Imie twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki;
A jak mocno w litewskiém uwielbianyś gronie,
Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Zaczniéj słynąć cudami dla uczniów natłoku,
Coś je tylekroć sprawił w onegdajszym roku,
Gdy twojém czarodziejskich użyciem sposobów
Greckie i Rzymian cienie ruszałeś s pod grobów.
Wstają z martwych, przechodzą na
prawdy źwie
Od czoła ich Plutona przyłb
padła *)
I żelazne na piersiach łamią si
W których myśli i
Oto mędrzec F

P

Tam iskra światła, ówdzie nasiona potęgi,
Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmaga oddech tęgi,
Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga
Olbrzym, dosięgający brzegów ziemiokręga.
Tak dzielne gieniusze panują nad światem,
Teraźniejszość upada przed ich majestatem;
Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,
Niosą kolor ich blasku, lub ich razów piętna.
Ale równa jest wielkość, czy to światem władać,
Czy skutki wielkiéj władzy nad światem wybadać.

Nie raz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,
Przecież ich źródła dociec umié arcy rzadki;
A na podobnéj liczbie jeszcze gorzéj zbywa,
Coby różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafili wybadać za rozsądku wodzą:
Jak się s przyczyny spólnéj różne skutki rodzą.
Jak podziemny wypadek morzem zakołata,
iego sprawi zaburzenie świata.

oici postępujmy ustawnie
góry,
krainę żyją-

A bóstwo prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
Pełni swojéj nie raczy ukazać s pod cienia.
Bo jéj trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi.
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nię ślepi.
Skoro zaczniem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze;
I szkła swojéj roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzéj i więcéj głęboko,
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.
Człowieku, sługo wieczny, bo nie tylko zmysły
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia:
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś s siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie.
Albo niém nauczyciel poił ucho twoje,
Zawzdy część własnéj duszy mieszając w napoje;
A tak gdzie się obrócisz, s każdéj wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

A słońce prawdy, wschodu nie zna i zachodu:
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdéj rozszerzać ojczyznie,
szystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
I kto się w przenajświętszych licach jéj zacieka,
si sobie zostawić czystą treść człowieka,

Zedrzeć wszystko, co obcéj winien jest przysłudze,
Własności okoliczne i posagi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.
Odważają się liczni: ale któż wydoła?
Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem,
Łączyć wytrwałość boską z ziemianina trudem.
Nad burzę namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci;
Uważa skąd dla ludów przyszła ryknie burza:
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza:
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty.
Lelewelu! rzetelną każdy chlubę wyzna,
Że ciebie takim, polska wydała ojczyzna.
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urzędzie,
Wskazujesz nam co było, co jest i co będzie.

Piérwszy towarzyskiego widzim obraz stanu,
Od łożyska Eufratu po wieże Libanu.
Na równiach niedzielonych żadnemi przegrody,
Tam naprzód w wielkie ciało zrosły się narody;
Zaraz na karku onych ciemiężcy usiedli:
Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Owdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy,
Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek *),

*) Mirmidonowie według mytologii powstali z mrówek.

Od których słusznie mniemał wyciągać początek.
W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci:
Przychodnim bogom swojskie nadaje postaci:
Dla nieznanych córnieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzéwał,
Walczył, rosprawiał, kochał, nauczał i śpiéwał.

Lecz już medańska szabla okrąża do koła,
Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czoła:
Trzaskiem samowładnego napędzona bicza,
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.
Xerxes ludy rozciérał, i miasta rozwalał:
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał;
Wtém z małéj chmurki greckiéj gdy pioruny padną,
Rosprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Zgubnego Europejczyk umknąwszy rozgromu,
Poszedł Azyanina nękać w jego domu.
A na perskie wezgłowia upuściwszy skronie
Drzémał, i na bok rzucił ordzewiałe bronie.
Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy,
Wilcze Romula plemie, italskie pastuchy:
Kłótliwi i przez własne wyuczeni zwady
Jak gwałtem, lub chytrością wyniszczać sąsiady:
Ustawni napastnicy, we chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju;
Albo darli się s sobą, wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzéj przemyślali szkodzie.

Lecz skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiéj coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem:
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?
Wy, ogniste s pod lodów skandynawskich dzieci.
Oto Senior pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopiją w toku, różaniec za pasem,
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wassale.
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,
Młodzież kopije kruszą, albo w pierścień gonią.
Czulsze serce niż u nas biło im s pod stali:
Oni najpiérwsi z niebios Miłość przywołali
Serdeczną, i za dawnych niecenioną wieków
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.
Oni kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.
Aby naprawiać krzywdy *), piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,
Nowe herby z odległych przynosząc turniei,
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty:
Xiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty:

Na wystrzał bulli s tronów spadały korony:
Rzym powtórnemi ziemię opasał ramiony.
Aż zadały półkowe orężników władze
Śmierć domowym rozruchom i obcéj przewadze.

U ludów, gdzie spółczesny gmach na pismach wsparty,
Panów i sług powinność objaśniły karty.
Takie na albiońskim spisano ostrowie,
I takie Jagiellony dali nam królowie.
Lecz w innostronnych krajach naczelników stopa,
Buntujące się panki zniżyła do chłopa.
Hiszpańczyk daléj zrobił, od brzegów Gadesu
Doścignął aż do światów nieznajomych kresu.
Tam co rok s flotą chodzi, nowe skarby kopie:
I żelazami całéj pogroził Europie.
Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,
Odcinają się mieczem, i przymierza wiążą.
Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,
Rozciągnęła széroko polipu ramiona.
Kto chcesz zyskać, lub swoje posiadać bezpiecznie;
Oko miéj zawzdy czujne, broń dobytą więcznie.
Stąd wzajemna nieufność ustawiczne czaty,
Walki, częste nabytki i prędkie utraty.
Wszystkie ludy i ziemie, z swe mając spadki
Rozdawano, jak przedaż, wano, albo datki:
Nieprzyjaciołmi często bywał obrońce,
Albo dla okrągłości cudze rwali końce.

Taką w całéj Europie szły koleją sprawy,
Nim dojźrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy.
Tam zadawniony ucisk, ponaviane skargi,
Wieczne państwa świętego, doczesném zatargi.

*) Redresser les torts, hasło Paladynów.

Wyskoki głów myślących, zapały młodzików,
Duma panów, roskutych wściekłość niewolników;
A jak ziemia ciężarna, sprzecznemi nasiony
S potwornem niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak s pomąconych chęci i myśli natłoku,
Rewolucyjny Gallów wylągłeś się smoku.
Darmo go przemoc złamie i w piasek zagrzebie:
Posiane kły, mścicieli odradzają s siebie.
Kłótliwa wschodzi zgraja; w jednych chęć urasta
Platoniczne po ziemi odbudować miasta:
Drudzy skarbce do nowéj znosili budowy,
Żeby z nich potém własne poczynić obłowy.
Gdy przeciwników szyję zgięli, albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda,
I krwawa legionów zabłysnęła gwiazda.
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem, Lelewelu, jaka chęć uniosła,
Opiewać morza, których nietknęły me wiosła:
Posiomy płazik, orléj nabrawszy ochoty,
Uczone myśleń twoich naśladować loty!
Wyręczaj mię, bo w polskiém dziejopisów kole
Wyniosły jesteś! stanąć mający na czole.
Ty co nie dozwoliłeś tylu xięgom kłamać,
S samego kłamstwa prawdę umiejąc wyłamać,
Znasz lepiéj trudne twojéj nauki ogromy:
słodkości jéj fruktów sam lepiéj świadomy,
Głosem, którym okrzyki i przyklaski wzniecisz,
Powiédz, jak tam zaszedłeś, skąd tak rano świécisz?
Na wiérzchły, gdzie parnaska trzyma cię opoka,
Zwabiaj niższych łagodnym twego blaskiem oka.
Nie jedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce:
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce.
I daruj, jeśli będziem chwalić się po światu,
Że od Ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatu.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha, tu szkjeletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dzjedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek pomroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakréśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy,
Przenikaj s końca do końca.

Patrz na dół — kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odnętem
To ziemia

Patrz! jak na jéj wody grupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.

Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu
To się wzbija, to w głąb wali:
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtém jak bańka prysnął o szmat głazu:
Nikt nie znał jego bytu, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie jest nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele:
Serca niebiańskie nie poi wesele,
Kiedy je razem nie powiąże cnota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu spólném wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
Legł świetnym wiedzion zapałem;
Bo jeśli poległ on ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu!
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością, łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolébce, kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury;
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie;
Młodości! orła twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramie!

Hej! ramie do ramienia! silnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!
Daléj s posad bryło świata,
Nowemi cię pchniemy tory;
A spleśniałéj zbywszy kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jedném: „stań się" z bożéj mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią;
Równie i w krajach ludzkości noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Ale młodość ogniem płonie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Miłość go pocznie w świém łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.
Wnet prysną nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące;
Witaj jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce.

WIÉRSZ DO IMIONNIKA LUDWIKI M.,

napisany na prośbę jéj narzeczonego, Ignacego Chodźki, dnia 24. października 1824 r., w dzień wyjazdu autora z Litwy.

Nieznajoméj, dalekiéj, nie znany, daleki,
Kiedy nas jeszcze daléj losy chcą rozegnać,
Posyłam, by Cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam Cię!" „Bądź zdrowa na wieki!"

Tak wędrowiec zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnéj drodze przyczynić wesela;
A kiedy nié ma komu śpiéwać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;

Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jéj stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie.

Do M. . .

wiérsz napisany w roku 1823 *).

— X1

Precz z moich oczu!... posłucham od razu.
Precz z mego serca!... i serce posłucha,
Precz z méj pamięci!... o! tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nieposłucha.

Jak drzew cień długi, gdy padnie zdaleka,
Tym szérzéj koło żałobne roztoczy;
Tak moja postać im daléj ucieka,
Tym grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem s tobą płakał, gdziem się s tobą bawił;
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie;
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnéj komorze,
Do arfy zbliżysz nie umyślną rękę;
Pomyślisz sobie: właśnie o téj porze,
Śpiéwałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy piérwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia;
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu, w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział;
Obaczysz próżne miejsce przy kominku;
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujźrzysz kochanków nadzieje:
Złożywszy książkę z westchnieniem głębokiém
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje....

A jeśli pisarz po zawiłéj probie,
Parę miłosną naostatek złączył;
Smutkiem ściśniona: „czemuż,“ rzekniesz sobie:
„Naszych serc dzieje, los nie tak zakończył!“

Gdy błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
I puszczyk z jękiem w okno załopoce;
Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem s tobą płakał, gdziem sie s tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie;
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

*) Umieszczając wiérsz ten dawniéj w Dzienniku warszawskim na rok 1826. Tom III. str. 355., ogłoszony, winienem ostrzedz czytelników, że poczynione tu odmiany mam z kopii z oryginału autora przepisanéj, któréj mi P. Antoni Bernatowicz udzielić raczył.

Do OLESIA. X

(IMPROWIZACYA.)

„Miłą przysługę czytelnikom spodziewamy się uczynić,“ pisze wydaw-

ca Dziennika warszawskiego, na rok 1825. *Tom I. str.* 539., „*umieszczając improwizacyą ulubionego powszechnie poety ADAMA MICKIEWICZA w gronie przyjacielskiém kolegów śpiéwaną. Stanie ona za dowód, ile ten poeta ma talentu i łatwości; sami bowiem świadkami byliśmy, jak nieprzygotowany tę improwizacyą śpiéwał, a jeden z przytomnych, niepostrzeżony od wieszcza, ją notował. Powód do niéj dał jeden młody poeta, który w śpiewie swoim do ubóstwionego ADAMA zwróconym, lot naszego poety z orła lotem porównał. Na to mu tak MICKIEWICZ odpowiedział.*"

Olesiu! czémże tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwdzięczę?
Ja duch mój wieszczy w obłędzie tracę,
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

Ty, jako sokół nad piękną błonią,
Ujźrzałeś orła w polocie;
Smutny cień skrzydła samotne ronią;
Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach chytrości;
Tyś pojął tajnie orłego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swe pienia wywodzi;
Jeszcze go orszak otacza bratni,
Lecz straszna chwila nadchodzi.

Precz żal niemęski, precz żal niewieści:
Zmienność ja nucę żałosną;
Bracia, słuchajcie dzikiéj powieści,
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,
Który z nich w lotnym przegonie,
Gdy się spróbują, obaczą jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie.

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,
Kto żagle, takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk, on się rozczulił;
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie niedostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował,
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował,
Skąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada; ty latać będziesz;
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,
Ty piosnkę świętą zadzwonisz;
I duszę jego światu objawisz;
I łezkę nad nim uronisz,

Tak, godną łezkę nad nim uronić,
Tobie zostało, mój bracie:
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie.

POŻEGNANIE CHILDE-HAROLDA.

Z LORDA BAJRONA *).

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!
Już w mglistéj nikniesz powłoce:
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.

*) O życiu i dziełach Bajrona zob. Biblioteki polskiéj Tom IV. z. 1. 1826. str. 145. 193 i 256.

Daléj za słońcem! gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany —
Tymczasem słońce, bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów, kraju kochany!

Za kilka godzin rożane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi:
Obaczę niebo, obaczę morze;
Lecz nieobaczę méj ziemi. —
Zamek na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje:
Na wałach dzikie porasta ziele,
W bramie mój wierny pies wyje.

Pójdź ty, mój paziu, paziu mój mały
Co znaczą te łzy i żale?
Czy ciebie wichrów zdąsanych szały
Czy morskie lękają fale?...
Rozwesel oko; rozjaśnij czoło;
W dobrym okręcie, w pogodę,
Lotny nasz sokół nie tak wesoło,
Jak my, poleci przez wodę.

„Niech szumi fala, niech wicher głuszy,
„Niedbam pogoda, czy słota.
„Te łzy wyciska z głębi méj duszy
„Nie bojaźń — ale tęsknota;
„Bo tam mój ojciec, moje kochanie,
„Tam matka została biédna,
„ I wszyscy moi — prócz ciebie Panie!
„ I wszyscy — i jeszcze jedna....

„Ojciec mię tylko pobłogosławił,
„Niepłacze, ani narzeka;
„Lecz matka, którąm we łzach zostawił,
„Jakże lękliwie nas czeką!...“

Dość, dość, mój paziu, te łzy dziecinne
Źrzenicy twojéj przystoją;
Gdybym i ja miał serce niewinne,
Widziałbyś we łzach i moją. —

Pójdź ty, mój giermku, giermku mój młody!
Skąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanéj lękasz się wody?..
Czy li francuskich korsarzy?...

„O nie, Haroldzie, niedbam o życie,
„Niedbam o losów igrzyska;
„Alem zostawił żonę i dziécię,
„To mi łzy z oczu wyciska.

„Żona na końcu twojego sioła
„W zielonéj mieszka dąbrowie;
„Gdy dziécię z płaczem ojca zawoła,
„Cóż mu nieszczęsna odpowie?“

Dość, dość, mój giermku, słuszna twa żałość:
Ja choć jéj ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość,
Śmiejąc się puszczam się w drogę.

Kochanki, żony, płacz mię niewzruszy:
Bo wiém, niż błyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek...,
Niedbam gdziekolwiek losby mną zwrócił,
Groźby nie trwożą mię zwodne:
Ach! żal mi tylko żem nic nierzucił,
Nic, coby było łez godne!...

Teraz po świecie goniąc szérokim,
Tak pędzę życie tułacze;
Czegoż mam płakać? za kim? i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze!...
Pies chyba tylko zawyje zrana,
Nam obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką...

Igrajcież wiatry, zaszumcie fale:
Daléj do żagli, do wiosła!
Wodo, gdzie niesiesz niedbam ja wcale,
Byleś mię nazad nie niosła. —
Witajcie modre, szumne głębinie!
A gdy was ciemna noc schowa,
Witajcie góry, stepy, jaskinie!
Luba ojczyzno, bądź zdrowa!

PANICZ I DZIEWCZYNA *).

I.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni,
I s konia zeskoczy:
Dziewczę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

„Dziewczyno kochana!
Dziś na te dąbrowy
S kolegami zrana
Przybyłem na łowy:

„I trafić nie mogę
Gdzie leży miasteczko.
Wskaż proszę mi drogę
Piękna pastereczko.

„Czy prędko już z lasu
Ta ścieszka wywiedzie?“
„Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajedzie.

„Na polu wnet drzewo,
Koło drzewa brzozki,
Stąd droga na lewo,
Tam około wioski.

„W górę przez zarostek,
W prawo po nad rzeczką,
Tam młynek i mostek,
I widać miasteczko.“

Panicz podziękował,
Czule rączkę ścisnął;
W usta pocałował,
Na konika świsnął;
Siadł, ostrogą spina.
Niewidać młodego,
Westchnęła dziewczyna,
Ja niewiém dla czego.

II.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I woła zdaleka:
„Pokaż inną drogę;
Za wioską jest rzeka,
Przejechać nie mogę;

„Ni mostu żadnego,
Ni brodu wytropić:
Chciałażbyś młodego
Chłopczyka utopić?“

„To jedź pan drożyną
Na prawo kurhanu.“
„Bóg zapłać dziewczyno.“
„Dziękuję wać panu.“

W las poszła drożyna,
Niewidać młodego:
Westchnęła dziewczyna,
Oj! wiém ja dla czego.

III.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
„Dziewczyno, dla Boga!
Wjechałem do rowu:
Jakaż twoja droga?

„Nie jeździł w te szlaki
Nikt z dawnego czasu;
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu.

*) Wiersz ten umieszczony był w piśmie pryodycznem w Warszawie wychodzącém pod tytułem: Biblioteka polska, w roku 1826 Tom. I. str. 13. i następ., s tém atoli ostrzeżeniem, że pierwsza jego część jest pióra Odyńca, a dwie drugie Adama Mickiewicza.

„Poluję dzień cały,
Koniam nie popasał.
Jeźdździec zadyszały,
Konik się zahasał.

„Siądę i s ponika
Pragnienie ugaszę;
Odkiełznam konika,
I puszczę na paszę.“

I grzecznie się skłoni,
I s konia zeskoczy;
Dziéwczę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

Ten milczy, ta wzdycha.
Po niedługiéj chwili,
Ten głośno, ta s cicha,
Coś z sobą mówili.

Lecz że wietrzyk dmuchał
W tę stronę dąbrowy,
Przetom niedosłuchał
Panicza rozmowy.

Lecz z oczu i z miny
Tom pewnie wyczytał,
Że więcéj dziewczyny
O drogę niepytał.

WIERSZ w IMIONNIKU K. R.

Różnym losem rzucani na świata powodzie,
Spotykamy się s sobą, jak dwie różne łodzie!
Twoja barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią roztrąca;
Moja na woli burzy i morskich straszydeł,
Wyrzucona bez stéru ledwo z resztą skrzydeł!
Gdy jéj owad tajemny na wskróś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszły: kompas ciskam w morze.
Rozminiem się! i kiedyż w jedną pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nié mogę.

CHÓR STRZELCÓW,

PODŁUG MUZYKI Z OPERY „FREJSZYC.“

Śród opok i jarów,
I klonów i głogów;
Śród wrzasku ogarów,
I rusznic i rogów;

Na koniu, co w czwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Daléjże, daléjże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Daléjże, daléjże, s tropu w trop, s tropu w trop,
hop, hop.

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy do chmur wypali,
Czy w przestrzeń śród pól,
Tu zwierza powali,
Stąd leci grad kul.

Daléjże, daléjże, i t. d.

Czyj dowcip gnał rojem
Latawców do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary z ich skrzydeł?

Hej! wiatry, w burzliwy
Ozwiejcie się chór...
Zatrąbił myśliwy,
Król ptaków i gór.

Dalejże, dalejże, i t. d.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej! skały i niwy
Zadrżyjcie na strzał;
Wystrzelił myśliwy,
Król borów i skał,

Dalejże, dalejże, i t. d.

EUTHANASIA.

(Naśladowanie z BAJRONA.)

Prędzéj, czy późniéj, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni,
O niepamięci! wtenczas chłodne skronie
Weź pod twą schronę do grobowéj ciesni.

Nie proszę ręki druha ni dziedzica,
Aby łzy otrzéć, lub grabić zostałość,
Lub żeby z włosem popsutym dziewica
Żałować przyszła lub udawać żałość.

Po co najęte płaczków korowody,
Samemu wstąpić pozwólcie do dołu:
Niechciałbym chmurzyć niczyjéj pogody,
I brać wesela kochanemu czołu.

Przecież miłości, jeśli w twojéj sile,
Poskromić jęki, marnym żalom sprostać,
Ty sama osłódź rozstania się chwilę,
Mnie, co odchodzę, i téj, co ma zostać.

Marylio moja, kiedy przeszłe bóle
Z ostatnim puszczę w niepamięć oddechem,
Niech boski pokój widzę na twém czole,
A w bólach na cię patrzałbym z uśmiechem.

Lecz oko martwe zrazi wzrok niebieski,
Przed bladém licem zbledną twe powaby:
Uronisz łezkę, człowiek dla téj łezki
Jak żyjąc słabiał, tak i umrze słaby.

A więc bez żalu i pobożnéj prośby,
Samotny będę w ostatniéj godzinie?
Dla nieszczęśliwych śmierć mało ma groźby,
Ból jeszcze zmniejszy i prędko przeminie.

Lecz umrzéć, odejść, kędy tylo gości
Rusza przedomną, kędy reszta ruszy:
Przepadać w nicość, jak piérwéj z nicości
Wszedłem dla życia, żyłem dla katuszy...

Gdyś wiek przeminął, wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniém powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz człowieku,
Cźemkolwiek byłeś, że lepiéj być niczém.

CZTÉRY WIWATY.

Coby było wśród okresu,
Na którym ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? zgadnąć łatwo;
Ciemno, głucho, chaos czyste.
Witaj więc słoneczna dziatwo,
Wiwat słońce promieniste!

Niedość na światła iskierce,
Kiedy wszystko wkoło skrzepło;
Zimny świat, gdy zimne serce;
Ciepła trzeba. *Wiwat* ciepło!

Ogrzanych ciepła udziałem,
Często silny wiatr rozniesie;
Aby spoić ciało s ciałem
Jest magnes. *Wiwat* magnesie!

Tak spojeni w bryłę wielką
Przez magnesowaną styczność,
Z lejdejską w ręku butelką,
Paluiem: *Wiwat* elektryczność!

GODZINA.

ELEGIA.

Przed godziną źrenicy nie zdjąwszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy,
I słuchem natężonym, pośród miejskich gwarów
Rozpoznawałaś zdala łoskot mojéj stopy.
Dzień miał jedną godzinę, w któréj — wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego żywiéj serce biło.
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Iksion w koło niéj krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem:
Gdy minęła, dzień cały o niéj rozmyślałem:
Bawiąc się z mnóstwem drobnych, lecz miłych pamiątek.
Jakie było przyjęcie? rozmowy początek?
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu,
Po niém niezgoda, po niéj milsza zgoda znowu
Smuciłem się — ty z oczu powody wyśledzasz;
Przychodziłem z prożbami — ty jedne uprzedasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam —
Rozbrajasz mnie uśmiéchem; a gdym w gniéwie przebrał,
Gniéwałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał.
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje, i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma:
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak skněra, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie, i oczu nie może nasycić.
Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niéj milsze dni zaczął, i na niéj zakończył,
Ona w zbrukaném paśmie mojego żywota,
Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota.
Jam się do niéj jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją w koło i w niéj się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samę nieba okolicę;
Godzina uderzyła! gdzież są jéj życzenice?
Gdzie myśli? — Ona teraz w czułéj pieści dłoni
Cudzą rękę niewierna! i do cudzéj skroni
Usta ciśnie; i łza jéj na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzéj piersi odpowiada.

Dziś możeby téj nowéj pary nie rozdzielił,
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! o téjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem, wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziécię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.
Daruj, ponęta szczęścia zawżdy nazbyt silna,
Zbyt trudno się przekonać, że zawżdy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię,
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącéj dumie.
Patrz, weszła na mém oknie wędrowna roślina;
Lecz nié ma liściom miéjsca; już gałązki zgina.
Kiedy te zwiędną, ziarno zmuszone umiérać;
Tak i ja nié mam przed kim skargmych rozpościérać.
Gorzki ten owoc cierpień kiedy w ustach skona,
Pewnie i w sercu potem zamorzę nasiona. —

Lecz nadzieje dalekie! dziś pogoda nęci,
W polach, w niebie, na falach, szukać niepamięci.
Czas przechodzi, dla czegoż wyjście moje zwlekam?
Za każdém drzwi ruszeniem jéj posłańca czekam,
Niekiedy rąk jéj zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miéjsca, stanąłem u progu,
Ach! była to godzina, dawna moc nałogu.
Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,
Zabłąkawszy się w myślach — niestety! błąd luby! —
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swéj zguby,
Bieży, i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił — i zalał się łzami.

Do S. B.

W IMIONNIKU.

Minęły chwile szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiéj było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaleźć na ojczystéj błoni,
Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznéj dłóni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę,
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj miary,
Iż był ten listek w przyjacielskiéj ręce,
Że to ostatnie są dary.

1824. *Października w Wilnie.*

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,

Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam,
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Gdy z oczu zniknięsz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nie raz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko mój pamięci.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wyléwać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję jak w twe zajdę progi;
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co tu mię wiodło? przyjaźń czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabym nié skąpił,
Po twą spokojność do piekiełbym zstąpił,
Choć śmiałéj żądzy nié ma w sercu mojém,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się że, lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wziąłem myśli, jak na rymy wbiegłem;
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

FARYS *)

KASYDA NA CZEŚĆ EMIRA

TADÁ - ULFECHRA **) UŁOŻONA,

JANOWI KOZŁOW

na pamiątkę przypisana.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się kryształe,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łąbędzią buja po nad fale;
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca;
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki,
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.
Już płynie w suchém morzu koń mój, i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.

Coraz chyżéj, coraz chyżéj,
Już po wierzchu zwir zamiata;
Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Już nad kłęby kurzu wzlata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura ***),

---

*) Farys, jeździec; jestto zaszczytne nazwanie u Arabów beduinów, znaczące to samo co chevalier, rycerz, w wiekach średnich.

**) Pod tém imieniem znajomy jest na wschodzie Wacław Hrabia Rzewuski.

***) Cztéry te wiérsze zawierające opisanie konia są tłómaczone z Arabskiego cztérowiersza, umieszczonego w notach do Antologii Arabskiéj d e L a g r a n g e.

Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wołą wiatrów puścił strusiéj grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi.
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona,
Z cieniem i owocem czeka;
Ja się wydziéram z jéj łona,
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojéj dumy się uśmiecha.

Owdzie, granic pustyni pilnujące głazy,
Dziką na beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

„O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów,
Głowy jego nie ochroni,
Ni palma zielono-włosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują,“

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy:
Spojrzałem, aż dumne głazy
Zostały z dala odemnie,
I ze wstydu, rzędem długim
Kryły się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę, i ślepo uwierzył,
Że beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył;
Trzykroć czarnym obwinął głowę moję wieńcem:

„Czuję, krakał, zapach trupi *),
Jeździec głupi, rumak głupi.
Jeździec w stepach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeżdżcze, konin, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują.“

Krącząc, lśniącemi szpony w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł, i uciekł wysoko.
Kiedym go chciał ukarać, i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara;
Potém się całkiem w błękicie rostopił.

Pędź latawcze białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

W tenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białém skrzydłem po błękitnym sklepie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim byłem ja na stepie.
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę z wiatrem świsnął:
„O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi.
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanéi kurzem skroni.
Strumień na błoniu jałowém,
Nie ozwie się srebrném słowem.
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot roskradnie.“

Daremnie grozi! pędzę i podwajam razy:
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać;

*) Powszechny na wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem mającym umrzéć. Jakoż, zaledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwéj zgoła nie były widziane.

Coraz niżéj głowę skłaniać;
Potém oparł się na głazy.

A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem y całe nieba w tyłe go porzucił.
Widziałem s twarzy co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Na koniec jak trup sczerniał, i w górach się schował.
Pędź latawcze białonogi,
Sępy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie.
I na ziemi i na niebie,
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp niesłyszy;
Tu żywioły drzémią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc piérwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie piérwszy; śród piaszczystéj kępy
Oszańcowane świécą się zastępy,
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli, i konie straszliwéj białości:
Przybiegam — stoją: wołam — milczą; to są trupy;
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana.
Na skieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości.

Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte s ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
Beduinie opętany
Gdzie lecisz? tam huragany *)!

Ja pędzę, ja nieznam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan z afrykańskich piérwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
Co tam za jeden z wichrów moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnéj postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabiją zmącił,
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony —
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bi o ziemię.
Nasypywał żwiru brzemię;
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuje piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zęby —
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem,
Niewydarł się, w pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nog mych długim jak wał miejski trupem.

---

*) Huragan. Jest to wyraz amerykański urikan i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich Semum, Serser, Asyf, i t. p. w znaczeniu wichru, albo trąby powietrznéj, zasypującéj niekiedy całe karawany. Persowie nazywają go Girdebad.

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy, oczyma złotemi,
Wszystkie pogląday ku mnie:
Bo oprócz mnie niebyło nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!

Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie,
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko! tak szeroko!
Ze więcéj świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżéj, wyżéj i wyżéj, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie.

R. 1828. *Petersburg.*

NA POKÓJ GRECKI.

W DOMU XIĘŻNÉJ ZENEIDY WOŁKOŃSKIÉJ.

W Moskwie.

Skróś ciemnoty wiedziony jéj gwiaździstym wzrokiem,
Goniąc białą jéj szatę po szybach hebanu,
Wszedłem — czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumija, zwłoki Herkulanu?
Nie! tu cały świat dawny na piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo.
Z mozaiki świat cały! każdy jego szczątek,
Jest odłamem dział sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nieśmié trącić noga,
S kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz Boga:
Gniewny zda się swojego pohańbienia wstydzić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I na powrót w marmuru ukrywa się łonie,
Skąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzlem i dłótem strojne sarkofagi
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzie niegdzie ścięta głowa nieznanéj kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się jako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisek przychodzień s kraju Mizraima:
Widzisz na nim te rysy dziwacznéj osnowy,
Te pisma zatraconéj dawnych sfinxów mowy:
To hieroglif! pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
Jak mumija zamknięta w balsamiczne łoże
Cała, nieskazitelna — zmartwychwstać niemoże!

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia ząb wieku.
Patrz na ów kamień drogi zaniedbany w piasku,
Niegdyś był cudnéy barwy, słonecznego blasku:
Ileż wieków przeświecił, aż wylawszy z łona,
Całą jasność, zamierzchnął jak gwiazda zgaszona.

Śród gruzów jeden cały stał ółtarz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna.
W łonie jéj zwolna płómyk przebudza się blady;
Czy to zmartwychwstającej genijusz Hellady?
Wniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
Podlatując — raz jeszcze promieniami wieńczy,
Skronie bogów, niebianek drzemiących w około,
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią,
Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzémią!
Ciebie tylko niech piękna przewodniczka zbudzi,
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi.
Swawolniku! uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzémiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona. —

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!
Niestety! przewodniczka chłodnym rzutem oka
Jak laską Merkurego uderza z wysoka,
I duszę mą lecącą w roskoszy kraj błogi
Wypędza bez litości za nadziei progi. —

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?
Ah, opowiem że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą na poły tęsknią, na poły radośną,
Słyszałem już tę rajską rozmowę — wpółgłośną,
I widziałem to rajskie pół światła, pół cienia,
I doznałem — niestety! tylko pół zbawienia!

R. 1827. *Moskwa.*

POPAS W UPICIE.

(Zdarzenie prawdziwe *).

Upita niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche; jedna w niém kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskiéj siedziby.
Gdzie były ludne rynki dziś tam rosną grzyby.
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,

*) Siciński posel upitski na sejmie (r. 1652) pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawném veto, przez co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiém zawichrzył. Jest podanie: że gdy wracał do domu okryty przeklęctwem ziomków, na zamym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Siciúskiego, włoczony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka. —

Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam na popasie z nudy rozważać począłem,
Miny i mowy ludzi siedzących za stołem.
Trzech było; piérwszy starzec s posrebrzanym włosem,
Na łbie konfederatka rzucona ukosem,
Wąs augustowski, żupan dzisiaj popielaty
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty,
U pasa karabela. Obok siedział młody
We fraku s samodziału, krojem nowéj mody,
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się s pływającym u bóta kutasem,
Lub żartował s sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mowił „Heyno! dobra nasza bez maryasza!
Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?
Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
Ze jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż sąsiedzie?
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.
Siciński? i w Upicie? imie strasznéj sławy!
„O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
I o jakim Sicińskim? Na to kontuszowy:
O Sicińskim? s początku całą rzecz wywiodę.
Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka, przy tém imion wiele,
Konnexye potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był dictator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych patricios zhasał.
Ale niedosyć na tém, na wyższe się kasał,
Poczęła téż kłóć w oczy zbyt rogata duma,
Przyszedł sejmik poselski, nauczono kuma;
Bo gdy pewny wyboru posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na objady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi,
Liczą turną, Siciński padł na cztery nogi.
Agitatus furiis et impotens irae
Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje obiad, zwiedziona zbiera się drużyna
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs, w tém blekotem zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty.
Daléj kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel,
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuat, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,

Exspirans flammas: straszna lecz słuszna pokuto!
Amen, rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,
I chcąc z bajecznéj plewy prawdę wywiać nagą,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Że Pan Marszałek, s którym on do stołu siada,
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawżdy mówi,
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

S tych słów marszałka głowa ekonomska wniosła,
Że nieszło tam o sejmik, ani wybór posła,
Że musiała być wojna — przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć, zapewne s Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najeźdzcom i ojczyznę zabił.

Chciał daléj rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła
Zézem nań spozierając „niedobrze,“ zawoła,
„Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.
Ja wam opowiem jako najlepiéj świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Niechciał płacić dziesięciu, niebywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.
Chociaż mu nieraz biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony — Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię.
Dokopał się swéj zguby i powszechnéj szkody:
Bo z owéj studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice,
Sicińskiego, jak słusznie pan sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wypleniił.
Trup klątwą uderzony dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć niechce, robactwo się boi;
Nie znalazłszy na ziemi świętéj spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku,
Bo go nieraz dziad jaki uniosłszy s cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza.
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne, staróżytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci:
Usta wypsute, przez nie ząb gdzie niegdzie świeci.
Z resztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką od żywéj niezbyt różną chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu
A jako na pewierzchni starego obrazu,

Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać,
Tak owa twarz choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za piérwszym rzutem oka, coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy niepodobna wydać.
Dzikość szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy,
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiécha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głową na pierś zwisnął,
Zda się że ciężar hańby do ziemi go cisnął;
Albo że ręka gwałtu s piekieł go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w któréj łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć czyim była domem;
Gdy węża po zrzuconéj rozpoznasz skorupie,
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pocoście nie zgodni,
On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał! —
A pomyślałem w duszy — cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif mchem zarosły zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych: lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czém są wszystkie dzieje? —

R. 1825. *Odessa.*

SEN

LORDA BYRONA.

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny
Śród otchłani nazwanych bytem i niecestwem:
Nazwanych, lecz nieznanych — sen ma świat udzielny
Z rzetelną władzą rządząc nad marném królestwem.
Mary i życie biorą, i postaci noszą,
Roszczulają i dręczą, i łechcą roskoszą:
Troski dzienne ciężarem przywalają sennym,
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
One się do istoty naszéj mogą wcielić
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.
Jak posłańce wieczności, błysną i przepadną,
Jako przeszłości duchy — często przyszłość zgadną,
Jak wróżące Sybille — ciemność do ich ręki

Składa tyrańskie berło roskoszy i męki.
One gdy zechcą na to przerobić nas mogą
Czém nie byliśmy nigdy — one rażą trwogą
Wywołując cień z grobów — więc mary są cienie?
Przeszłość nie jestże cieniem? czémże jest marzenie?
Robotą duszy — dusza może wyprowadzić
Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze od ziemskich kształty promieniste,
Wlać im duch trwalszy niźli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam co mi się dawniéj przywidziało:
Może we śnie — Bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jednę zwić godzinę.
Zdało mi się, żem widział młodych ludzi dwoje,
Chłopca i dziewkę: stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochyłéj urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,
W koło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci, i gdzie niegdzie z dala
Porozrzucane chaty — nad niemi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce,
Nie przypadek je sadził, lecz umyślne ręce.
Chłopiec i dziewka patrzą — ta na okolice
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę.
W nim rozwija się młodość w niéj piękność rozwita,
W obojgu młodość, ali młodość rozmaita. —
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżyca,
Tak w dośród lat niewieścich jaśniała dziewica:
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedyne tylko widział swéj kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niéj utkwił źrenice
I niamógł ich oderwać, nie było w nim ducha;
Ona była mu duchem; głosu jéj drżąc słucha.
Ona była mu głosem; on swych oczu niéma,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jéj spojrzenia, i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niéj odbitém; od niéma istoty,
Niéma życia: w nią przelał całe życie swoje:
W niéj jako w oceanie wszystkie myśli zdroje
Pogrążył: za jéj słówkiem, za ręki dotknieniem
Krew w nim ścina się lodem albo wre płomieniem.
Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bólów przyczyny niezgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień niepodziela,
Wzdycha; lecz nie do niego — ma w nim przyjaciela,
Ma brata, i nic więcéj; — on przestawał na tém
Że ją zwał przyjaciołką, że go zwała bratem.
Teraz niechce przestawać. Skądże ta różnica?

Czas rozwiązał zagadkę — kochała dziewica,
I kochała innego; i właśnie w téj chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci;
Żeby leciał tak bystro, jak lecą jéj chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny, — stoi u przedsienia
Rumak z siodłem do drogi, — w gotyckiéj kaplicy,
U ołtarza był chłopiec — nie widać dziewicy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, myślił,
Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakryślił
I s pochyloną głową na ręku oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
Na części rozerwawszy w drżącéj ciśnie dłoni,
I z gniewem w zębach szarpie; ale łez nie roni.
Uspokoił się nieco: zapalone lica
Ostygły i zmartwiały, — w tém wyszła dziewica;
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana,
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Że jéj cień jako całun padł na jego duszę,
I zgadła, że on dla niéj ma cierpieć katusze
Długie, straszne; — niezgadła, że miał cierpieć wiecznie.
Chłopiec wziął ją za rękę; obojętnie, grzecznie,
Spojrzał — i w téj mu chwili na źwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem;
Znowu puścił jéj rękę i powolnym krokiem
Oddalił się w milczeniu, nieżegnał dziewicy,
Rosstali się z uśmiéchem, — on wyszedł z kaplicy,
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił.
Dosiadł konia, pojechał — i więcéj niewrócił,

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorosł młodzieńca,— w obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje, i pod wschodniém słońcem
Poił duszę płomieniem, — on wiecznym był gońcem
Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci
Podobne jemu krążą przyjaciół czy braci?
Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu.
I ów chłopiec był cząstką każdego obrazu.
Ujrzałem go na koniec; dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniéj karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał; a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku,
Kilka arabskich koni pasło się u stoku.
Podróżni, których zmużył upał całodzienny,
Drzémali w cieniu ruin — on jeden bezsenny
Na ręku wsparty, oczy na północ obrócił,
S twarzą natchnienia pełną — rozmyślał, czy nócił?
Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwie co niewidać Pana Boga w niebie. —

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia.
On ją pojął, mnogiemi osypał dostatki,
Widzę ją w cudzym domu, słyszę imie matki,
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, — córki, — ale za cóż ona
Jakąś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jéj serce toczy?
Źrenice niegdyś jasne zamgliła powłoka,
Niby jakaś łza dawna przystygła do oka.
Skądże to? — wszak s kochankiem złączona na wieki,
Wszakże ten, co ją kochał jest od niéj daleki,
Nie będzie myśli czystych złém życzeniem brudzić,
Nie będzie jéj westchnieniem nieumyślném nudzić.
Czegoż smutna? wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jéj oczach zimnych nadziei wyglądał.
Wzgardzony nie jest pewnie sprawcą jéj katuszy,
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia,
Widzę go przed ołtarzem, z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznéj postawy, nadobnego lica:
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
Owa gwiazda błogiego młodych lat poranka.
Musiał o niéj zapomnieć, — stoi zadumany,
Rospatruje kościelne sklepienia i ściany —
Zadrżał i w téj mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jéj przysięgi, których nierozumie:
S kim jest, gdzie jest, zapomniał, w sprzecznych myśli tłumie.
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
I listek poszarpany i swoję dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnéj zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony; —
Po cóż w takiéj godzinie takie przypomienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę, jakie w niéj odmiany!
Ona w suchotach duszy: jéj rozum znękany
Opuścił stér myślenia, wzrok jéj dziko lata,
Blask co świéci w jéj oku nie jest s tego świata,
Ona jest jak królowa nad państwami marzeń;
Jéj myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń;
Kształty niedotykalne zmysłom śmiertelnika,
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka,
I w poufałéj wzywa do siebie rozmowie:
Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie,
Lecz nieraz mędrzec głębiéj w obłąkanie wpada,

Jeśli melancholii smutny dar posiada;
Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą.
Roskrywa rzeczywistość wystygłą i nagą. —

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia,
Kształty przy nim krążące znikły z senną marą,
Lub wojnę z nim toczyły; — on stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów, zewsząd zguby bliski
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota jak harpija plami,
On jak dawny Mitrydat karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego,
I służyła mu na kształt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tém życie przewlekał;
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał:
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata:
Wdał się w rozmowę z wielkim jeniuszem świata.
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,
Tajemna księga nocy stanęła otworem.
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi
Duchy go otoczyły — i został się z niemi.

Niéma więcéj zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się. — Jak dziwne wyroków zrządzenia!
Mój sen dla dwojga ludzi, smutny koniec znaczy,
Jednemu w obłąkaniu, obojgu w rospaczy. —

R. 1824. *Wilno.*

SZANFARY.

KASYDA Z ARABSKIEGO.

Szanfary jeden z najsławniejszych przed Mohammedem rycerzy czyli farysów arabskich, wojownik i poeta, był s pokolenia Asd. Obrażony przez rycerzy s pokolenia Salaman, wzywał swoich, aby mu dopomogli zemścić się krzywdy. — Nieotrzymawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie i napisał niniejszą kasydę (powieść), wyrzucając rodakom ich zniewieściałość i niewdzięczność. Udał się sam na wojnę i poprzysiągł póty niezłożyć orężа, póki niezabije stu farysów s pokolenia Salaman. Już był ich zabił 99, gdy wpadłszy w zasadzkę Salamanów sam zginął. Głowa jego walała się w kocz owisku i gdy jeden s farysów trącił ją nogą, tak mocno skaleczył się o kość czaszki, że wkrótce życie utracił i dopełnił liczby stu zaprzysiężonéj przez Szanfarego. —

Tę kasydę tłómaczyłem s francuskiego, przekładu P. de Sacy. Poźniéj miałem sobie udzielone od P. Sękowskiego tłómaczenie polskie dosłowne z obszernym uczonym kometarzem. Korzystając s téj no-

wéj pomocy, starałem się text mego przekładu, ile możności poprawić. S komentarza P. Sękowskiego umieszczam kilka przypisów, oświadczając uczonemu mężowi wdzięczność za jego przysługę.

Bracia moi! postawcie wielbłądy na nogi *),
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi.
Gotowe juki, rzemień do garbów przycisnął:
Daléj w drogę, noc ciepła i księżyc zabłysnął.
Daléj — jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie;
I niebędzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić roskosz a zgubie wymykać się umie.
Znajdę ja druchów, których przyjaźń więcéj warta:
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hyenę zdobycz kroki pędzącą chromemi,
To moi przyjaciele, — niemasz między nimi
Półgłówka, co mu tajnie w ustach niedoleży,
Co brata błądzącego s szyderstwem odbieży.
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna.
Waleczni, ale w męstwie żaden mi niezrówna.
Nieprzyjaciołom pierwszy ja skaczę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.

W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża,
Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
Nikt wielkością umysłu niezdoła mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość godzien przy niéj zostać.
Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nieprzyciągnąłem dobrodziejstw więzami,
I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
Serce waleczne, szabla, s któréj ognie biją,
I łuk żółty wielbłądzią krzywiący się szyją;
Przy którym pas bogaty, suta frędzla pływa,
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwą,
Co tak żałośnie jęczy gdy z jnié grot wyleci,
Jako matka wydarte ścigająca dzieci.
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja.
I odstraszywszy źrzebce sam klacze wydaje.
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włóczęga,
Co w każdéj drobnéj sprawie rady ich zasięga.
Nie strusie serce moje, choć strach zakołata,
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
Któ mię widział od rana do nocy śród gachów,
Brew malować *), włos trefić w kąpieli zapachów.
Czy mię kiedy noc zbłąka **), choć piaszczysta fala

*) W oryg: podnieście piersi wielbłądów. Wielbłądy kładą się na ziemi, zginając pod siebie nogi. Kiedy karawana ma ruszyć, człowiek siada na siodło, i ciągnąc wodze podnosi wielbłąda.

*) Arabowie nacierają powieki pewną farbą brunatną, zwaną kohl, co u nich za wielką poczytują ozdobę.

**) W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach. Beduini kładą w rzędzie całych przymiotów rycerza, trafność jechania w dzień i w nocy.

Tumanami okręci i żwirem zawala.
Lecę na mej wielbłądce, wrą u nóg ukropy,
Krzemienie, iskry sypiąc, pryskają s pod stopy.
O głodzie choć najdłuższym, w wielkomyślnéj dumie
Nigdy wspomnieć nieraczę, i tak go zatłumię.
Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
Pasując się wyznaje, że słabszy odemnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcéj napitków,
Więcéj jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci.
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mém łonie,
Jak nié różnie targaną na prządki wrzecionie.

Zrana wybiegam na czczo podobny wilkowi
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi,
I s pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy
Przeciska się włóczęga czatujący strawy;
A gdy na długich czatach darmo się utrudzi
Wyje, wtórują wyciem towarzysze chudzi.
Jako z łonem niepełném wschodni księżyc cienki,
Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy *),

*) Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni mekkańskiej strzały wyroszne zalum, s których rozmaitego mieszania wróżono o przyszłości.

Albo jak roje pszczelne gdy w koło rodzicy
Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,
Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszą.
Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,
Gardziel rozdarta nakształt roskłótego drewna.
Zawył; i oni wyją, biegąc na pogórki,
Jak płaczące farysa małżonki lub córki *),
Umilknął; oni milczą. Wycie mu ulżyło,
I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
Zda się że spólność głodu wnętrzności uciszy
Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy.
Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
Lepiéj w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada. —

Jeśli do studni jadę lecący półk strusi **)
Daremnie grzmi skrzydłami, męty spijać musi.
Nie zgonij méj wielbłądki bystry ich wódz stada,
Ja dojeżdżam, spragniona zostaje gromada.
Jużem odjechał — Ptastwo runęło na męty,

*) Kiedy Arab zginie na wojnie, żony jego i krewne wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą, i, wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swego pokolenia, ażeby zemścili się jego zgonu.

**) W oryginale jest tu mowa nie o strusiach, ale o ptastwie zwaném katho, wielkości kruka. W poezyi arabskiéj często znajdujemy wzmiankę o tém ptastwie przelatującém stadami pustynie Arabii. Farys powinien znać położenie źródeł w pustyni, ażeby wiedział gdzie ma popasać.

Wola ich rosciągnione, dziób ku studni zgięty
Jest posłem dobrych wieści, wre ciżba hałasem
Jak obóz karawany siedzącéj popasem.
Znowu śmignęły w górę, znowu w studnie wpadły:
Scisnęły się nakoniec i zręby obsiadły:
I ryczałtem wypiwszy, rozwinęły loty,
Jak runące z oazy beduinow roty.

Ziemia twarda mnie drużka, nieraz do jéj łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno
Jak kostki co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jéj służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało *).
Każda biéda najpierwéj na mój kark się wsuwa,
Kiedy zasypiam biéda u głów moich czuwa,
I wytrzeszczywszy oczy patrzy skąd ugodzić.
Troski koleją febry zwykły do mnie chodzić
Ale od febry gorzéj niedają pokoju,
Lecą do mnie jak ptaki spragnione do zdroju,
Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
Znowu uderzą z boku i z dołu i z góry.

Wiecie jak w upał boso lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku błyszczącéj gadzinie.
Choć miękko wychowany i s przodków bogaty,
Alem syn cierpliwości, włożyłem jéj szaty
Na pierś, w której hyeny przemieszkiwa śmiałość:
Za obuwie na nogi włożyłem wytrwałość.
Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia.
Jam wesół i bogaty; bo nieszczędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami niebyłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
Czylim z nadstawném uchem za plotkami latał?
Czylim na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski! tę noc nie pogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
Ze Arab grzał się paląc własny łuk i groty.
Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;
Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
Towarzyszami piorun, okropność, i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem jakem wyszedł nocą otoczony.
Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada.
Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
Zdało się, że wilk przebiegł, lub hyeny szczenie,

*) Przenośnia wzięta ze zwyczaju Arabów, którzy zabiwszy wielbłąda, losem ciągną jaka część komu się dostanie.

Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął;
Bo pies zawarczał tylko, i po chwili usnął.
Może to Diw *) przechodząc tyle szkody zrobił?
Może człowiek? nie, człowiek tyluby niepobił.

Ja w dzień gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
Tak że zmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące,
I zdiąwszy turban głową wyzywałem słońce,
A włos mój brudu pełny **), nieznający woni,
Kołtunami przylegał do niemytéj skroni.

Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy;
Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy,
Na kłęczkach pnąc się, jak pies, właźłem im na czoło.
Tam dzikie antelopy biegały w około.
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą,
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada;
Bo myślały że jestem kozieł ***) wódz ich stada,

*) Duch, geniusz. Wyraz polski dziw, zdaniem P. Sękowskiego, pochodzi z perskiego i musiał dawniéj toż samo mieć znaczenie.

**) Szanfary przysiągł zemścić się na pokoleniu Salamana. Arab po takiéj przysiędze nie umywa się, nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia odzieży i nie pije wina dopóki zemście zadosyć nie uczyni.

***) W oryginale: „myślały że jestem z rodu kozłów.“ Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, Antilope rupicapra, Chamois.

Co mu rogi w tak długie piątrzą się ramiona,
Że, wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu,
I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu. —

Do DOKTORA S.

PRZEDSIĘBIORĄCEGO PODRÓŻ NAUKOWĄ DO AZYI W PRZEDMIOCIE HISTORYI NATURALNÉJ.

Kapłanie Eskulapa! w pogaństwo zagnany
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyjany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.
Sam nie umrzesz s tęsknoty: bo i w obcém niebie,
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.
Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela.
Wiesz, swojska-li ptaszyna, czyziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata, i gdzie złoży pióra.

Morze straszące samym widokiem swych głębi
Badawczego zapału w tobie nie wyziębi.

Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonią
Roślinki hodowane Amfitryty dłonią,
Których postać znikoma jak seme marzenia,
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazda co tylko dnom podmorskim świta *),
I latarnia przy której dumał Stagiryta **),
I łódź wiosłem żyjącém morskie tnąca szyby,
I pałasze***) któremi walczą wieloryby.

Godna zazdrości podróż; ale tam pielgrzyma
Zewsząd śmierć liczna, łatwa, i niesławna ima.
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic.
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
Za twém skinieniem, władco cudotwornéj laski,
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski,
Każemy pękać górom, znidziem w ich ciemnotę,
Zważać w kuźni natury klejnotów robotę.
Ja bogactw nie łakomy, cenię wynalaski,
W których wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski.
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu
Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek? — między edeńskiemi drzewy,
Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,
Ziemia to pierworodne miłości westchnienie
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.
Te prawdy po hebrajsku zapisane w skałę *)
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.
Od Humboldta weź klucze na te alfabety,
I stań się biografem naszego planety.
Niech cię nie trwoży zmudne latopismo świata,
Z warst ziemi, jak ze zmarszczków policzysz jéj lata.
A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,
Poradzisz się mamuta naocznego świadka:
Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze.
W imie Bojana **) wstanie, i paszczę rozedrze,
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości goniec,
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara,
Prawdziwa jak rachunek, i dziwna jak mara.

Żegnam cię! idź, w przeszłości załóż twe dziedzictwa,
Przypomnij matce ziemi czasy jéj dziewictwa.
Mnie poetę już zamiar opanował nowy,
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy,
Astrologicznem okiem wyczytałem z gwiazdy

---

*) Gwiazda morska, rodzaj mięczaków.

**) Latarnia stagiryty, Arystotelesa, gatunek muszli.

***) Pałasz morski, ryba.

*) Skała hebrajska, tak nazwana od czarnych rysów podobnych do liter hebrajskich.

**) Bojanus sławny niegdyś nauczyciel anatomii porównawczéj w uniwersytecie wileńskim.

I bliski i radosny koniec naszéj jazdy.
Znowu czoło s podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemeńskich przymieszamy zdrojów.
Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwéj dno kielicha zbada.
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty,
Pomiędzy zaginione wliczymy istoty,
I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

UGOLINO.

Wyjątek z Boskiéj Komedyi.

Dante z Wirgiliuszem sstępują do piekła. Przeszedłszy jego różne oddziały, i przypatrzywszy się rozmaitym karom, spotykają Ugolina; ten zapytany od Dantego opowiada mu jak był z dziećmi głodem zamorzony.

---

s pieśni III.

Przeze mnie droga w miasto utrapienia;
Przeze mnie droga w wiekuiste męki;
Przeze mnie droga w naród zatracenia,
Jam dzieło wielkiéj, sprawiedliwéj ręki.
Wzniosła mię z gruntu potęga wszechwłodna,
Mądrość najwyższa, miłość pierworodna,
Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją.

Te słowa ryte na bramie czernieją,
Ich treść, o! Mistrzu, jest dla mnie tajemną!
On głosem zwykłym świadoméj osobie:
Tu, rzecze, z marnych wyzuj się przestrachów,
Wszystko, co podłe, niechaj zamrze w tobie;
Spuścić się mamy do wieczności gmachów,
I napotkamy tłumy niezliczone
Wiekuistego światła pozbawione.

Rzekł, przyjacielską rękę mi podaje,
Dobrotliwemi zachęca uśmiechy,
Uczułem w sercu wzruszenie pociechy,
I wszedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale, i okrzyki,
Szumią śród nocy bez gwiazd i księżyca:
Słucham, i łzami nabiegła źrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki:
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów i lament niewieści!
Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków
To wre na przemian, to się społem zetrze,
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmącą powietrze.

s pieśni XXXII koniec.

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie,
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A jak łakomie szarpiemy chléb z głodu,
Tak on zatopił kły w ciało sąsiada
Tam, kędy czaszka do barków przypada.
Nie s takim gniewem Tydej zemstą ślepy
Menalipowéj głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
Człowieku, rzekłem, co paszczą tygrysa

Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiédz mi jakie masz zemsty powody,
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedyś pomiędzy ziemskiemi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydźwignie,
A język w ustach moich nie zastygnie.

Pieśń XXXIII.

Od strawy dzikiéj oderwał paszczękę
Ow potępieniec, i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, któréj mózg pożerał,
I mówi: „Srogie chcesz odnawiać męki,
Serce mi pęka, nim usta otwieram.
Lecz gdy z słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy, którego pożeram,
Słuchaj, wypowiem, wypłaczę me dzieje.
Nie wiém kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas, lecz po dzwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha, Florentina;
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina:
A ten co teraz jest méj zemsty łupem
Zwał się Rudżiery, był arcybiskupem.
Jak mię w zdradzieckie usidlono słowa,
Jak nie ostrożnie wpadłem w jego ręce,
Nie warto mówić; bo rzecz nie jest nowa.
Lecz o mym zgonie, o méj strasznéj męce,
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź, czy on mnie obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w niéj jęczy
Na nowe jaka niewinna ofiara.
Tam oknem wiém z żelaznych obręczy
Widziałem mnogich księżyców oblicze,
Aż mnie raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty,
Polował wilka z małemi wilczęty,
Na owéj górze, co wzniosłemi szranki
S pizańską ziemią i Luką graniczy.
Już chudą psiarnię zemkniono ze smyczy,
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lafranki
Szczują na czele, zdobycz będzie łatwa:
Już wiek znużone zatrzymuje kroki,
Upada wreszcie i ojciec i dziatwa;
I widzą kłami rospróte ich boki.
Budzę się! jeszcze noc nie zeszła z nieba,
Już moje dziatki wspólniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają: chleba!
O jeśli dotąd serce cię nie boli,
Kiedy pomyślisz co się we mnie działo,
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz, któż ci łzy wyciśnie?
Budzą się dzieci, wkrótce chwila błyśnie
W któréj nam zwykle udzielano strawy;
Lecz na sen pomnąc truchlałem z obawy.
W tém z bram więzienia łoskot mię doleci —
Zamurowano! — spojrzałem na dzieci,
Spojrzałem z niemej wyrazem rospaczy;
A w głębi serca czułem mróz, jak w grobie.
Gwido mój mały wołał: co to znaczy,
Tak dziko patrzysz? ojcze mój, co tobie?
Nie mogłem mówić ni łzy z oczu dostać:
Milczałem — długo — aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać:

Natenczas z bolu gryzłem moje ręce.
Synowie myśląc, że mię głód tak pali,
Łamiąc rączęta ze łzami wołali:
Ojcze kochany, ulżyj twojéj męce,
Zjédz twoje dzieci, tyś nas ubrał w ciało:
Tobie nas biédnych rozebrać przystało.
Musiałem milczéć i ból w sobie morzyć,
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nieśmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O! ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze:
Anzelmek mały przywlekł się pod nogi,
I rościągniony wołał, ojcze drogi!
Ach czemu ty nas nie ratujesz, ojcze?
Wołał i skonał! — jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moie,
Jedno po drugiém, wszystkich było troje:
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie,
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy na trupach potknąwszy się ległem.
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu,
Krzyczałem z żalu, a na koniec — z głodu;
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości.“

Skończył, i dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czastkę broczy,
I jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

CIEMNOŚC

z Byrona.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny.
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olsnąwszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było. —
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga, —
O światło — Wszystko płonie, i wspaniałe gmachy
Panów koronowanych, i wieśniacze dachy.
Domy świata całego jako lampy płoną,
Miasta na kształt ogromnych stósów zapalono,
I tłum ludzi do koła pożaru się tłoczy,
Chcąc jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
O jak zazdrości godni ci, co się przywlekli,
Przed oblicze ognistéj Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy z jednem uczuciem nadziei i trwogi.
Rzucono ogień w puszcze; i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemnieją i walą się s trzaskiem;
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
I zagasły na wieki — znowu noc dokoła.
I twarz ludzi z rospaczy nie po ludzku błyska,

Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i, oczy schowawszy, łzy leją,
Drudzy na chudych łokciach podparłszy się śmieją.
Ten biega tu i ówdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera. —
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rosciągniony —
Znowu pada i bluźni i w piasku się ryje:
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie, wyje,
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.
Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje,
Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i zmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądłami syczą:
Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobyczą.
Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu,
Głodni żelazem sobie szukali obłowu,
I z zakrwawionym kąskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rospaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkiém łonie,
Jedna była na całéj ziemi myśl — o zgonie
Niechybnym i niesławnym — ząb głodu pożerał
Wszystkich — i narodami świat cały wymierał.
Nikt niemyślał o kości i o ciał pogrzebie:
Chudy karmił się jedząc chudszego od siebie.
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność panu swojemu; żywego pilnował,
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi,
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi:
Sam niedotknął pokarmu, z żałosnemi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki
Co go już nie głaskała — i zdechł — i nareszie
Wszyscy ludzie wymarli — W pewném ludném mieście
Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciele.
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
Dogasało ognisko, i kościelne sprzęty
Święte czekały w stósach na ogień nieświęty.
Jak skielety chudemi rękami pospołu
Grzebiąc, dostali kilka iskierek s popiołu,
I pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy gdzie się płomień żywiéj pali,
Ujrzeli się, wzdrygnęli, padli i skonali:
Zgrozą widoku swego zabili się społem,
Nie poznali się s twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: *nieprzyjaciele*. Świat cały był slepym,
Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym,
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia,
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
Stoją gładkie rzék, jezior, oceanu tonie,
I nic się nieporuszy w ich milczącém łonie.
Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły,
Maszty ich kawałami padały i gniły,

I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle:
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile;
Bo niebyło księżyca coby je podźwignął.
Wichar w stęchłém powietrzu uwiązł i zastygnął.
Znikły chmury — to dawne ciemności narzędzie
Stało się nię potrzebném — ciemność była wszędzie.

PODRÓŻNY.

z Getego, *Wanderer.*

Podróżny.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!
I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona.
Pozwól mi na tym zrębie opoki
Złożyć z siebie
Podróżne tłómoki,
I odpocząć blisko ciebie.

Niewiasta.

Gościu! jakie was rzemiosło
W takim lata upale,
Po téj piaszczystéj skale,
Aż w nasze strony zaniosło?
Może wy kupcem jesteście,
I s towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkania.
Gościu; ty z mego śmiejesz się pytania?

Podróżny.

Towarów niemam. Idę w bliskie miasto.
Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
Pokaż mi, śliczna niewiasto,
Krynicę, skąd pijesz wodę.

Niewiasta.

Tam kędy skały wyżyna,
Idź daléj — a ta drożyna
Wiedzie do świetlicy
Gdzie mieszkamy,
Do krynicy
Skąd wodę mamy.

Podróżny.

Widzę przemyślnéj ręki ludzkiéj ślady
Pośród zarośli cienia:
Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy,
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

Niewiasta.

Daléj, wyżéj —

Podróżny.

Mchu powłoka
Okryła sklepienia łuki;
Poznaję ciebie twórczy duchu sztuki,
Twą pieczęć nosi opoka.

Niewiasta.

Daléj, pielgrzymie —

Podróżny.

Tu depcę napisy.
Daremnie czytać! zatarły się rysy,
Któremi twórca téj arcy-sztuki
Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy prawnuki.

Niewiasta.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia
To na kamieniach rosnące ziele?
Tam wyżéj, gdzie się droga zakrzywia,
Jest przy méj chacie kamieni wiele.

Podróżny.

Wyżéj?

Niewiasta.

Zaraz na lewo!
Gdzie śród krzaków wyższe drzewo!
Tu!

Podróżny.

O Gracye! o Muzy!

Niewiasta.

Widzisz naszą gospodę.

Podróżny.

Swiątyni gruzy!

Niewiasta.

Niżéj na boku
Słyszysz szum potoku,
Stamtąd czerpiemy wodę.

Podróżny.

Dotąd w całéj życia sile,
Rostaczasz skrzydła na twéj mogile
O! geniuszu dzielny:
Chociaż twoje arcydzieło
W około ciebie runęło,
Tyś nieśmiertelny!

Niewiasta.

Zaczekaj, zaraz z gospody
Przyniosę kubek do wody.

Podróżny.

Powiewna bluszczu szata
Boskie kształty oplata!
Ze stosu gruzów jakby z rozłamanéj trumny,
Jeszcze ku niebu dążycie społem
Dwie bliźnie kolumny.
Tam siostra wasza sama stoi między groby:
Posępny mech nad waszém wywinął się czołem.
Patrzycie z uroczystéj wyrazem żałoby,
Na szanowne postaci
Waszych sióstr i waszych braci,
Zwolone pod nogi,
Wbite do ziemi
Między ciernie, między głogi!
Wysmukła trawa powiewa nad niemi.
O niewdzięczne przyrodzenie!
W takiéjże u ciebie cenie
Arcydzieł twych arcydzieło.
Nieczule łamiesz własne świątynie,
I siejesz na ich ruinie
Głogi!

Niewiasta.

Jak moje dziécię usnęło!
Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
Odpocząć, czy tu na dworze?
Jak miły chłodek! biegę do strumyka
Weź tymczasem na ręce mojego chłopczyka.
Śpij, me złoto! spij, mój synku!

Podróżny.

Słodki dziecka spoczynku!
Święta Niewinność i święte Zdrowie
Kołyszą zlekka jego wezgłowie.
O! chłopczyku poczęty
Na świętéj przeszłości grobie!
Niechaj przeszłości duch święty
Spocznie na tobie.
Kogo duch jéj okryje
Skrzydły czarownemi,
Ten z boskiém czuciem na ziemi
Każdego dnia żyje.
O, ziarko lube!
Wschodź i wypływaj
Na wiosny chlubę!
I towarzyszów głowy twym majem okrywaj.
A kiedy się kwiat okruszy,
Niech jak z rodzajnego drzewa
Pełny owoc wypłynie z głębi twojéj duszy,
I przed oczyma słońca dojrzewa,

Niewiasta.

Oby życzenie twe spełniły nieba!
Jeszcze śpi mój maleńki?
Do wody na zakąskę niémam nic prócz chleba.

Podróżny.

Dzięki i za to, dzięki!
Jak tu w koło mnie na całym świecie
Zieloność i kwiecie

NIEWIASTA.

Mąż mój wkrótce powraca
Do chaty — w polu skończyła się praca;
Mój gościu! zostań do wieczora w chacie,
Wieczerzaj z nami
Wieśniakami.

PODRÓŻNY.

Więc tu mieszkacie?

NIEWIASTA.

Tam na gruzach téj wielkiéj połamanéj bramy,
Chatka niedaleka:
Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
I nam darował:
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
I umarł na naszém ręku.
A, moja duszko! już spałeś dowoli!
Patrz, jak wesół, jak swywoli
A, ty błazenku!

PODRÓŻNY.

O, ty Naturo, wiecznie płodna matko!
Wszyscy żyjący równie tobie mili:
Chcesz aby wszyscy żyli i użyli!
Wszystkich zarówno uposażasz — chatką.
Jaskółka górne osiada pałace,
Do gzymsów gniazdo przyczepia,
Niewie jakie dłóta prace
Zasklepia.
Gąsienica przędziwem obwinęła kwiatki,
I w nich na zimę tuli swoje dziatki.
A ty człowieku,
Między wspaniałe wyłomy
Przeszłego wieku,
Nikczemne domy
Stawisz sobie.
Używasz życia na grobie!
Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

NIEWIASTA.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

PODRÓŻNY.

Niech łaska Boga
Ciebie i dziécię w zdrowiu i szczęściu zachowa.
Bądź zdrowa.

NIEWIASTA.

Szczęśliwa droga.

PODRÓŻNY.

Tą ścieszką s prawéj strony,
Jeśli się nie mylę,
Trafię do miasta?

NIEWIASTA.

Tak jest do Werony.

PODRÓŻNY.

Jak stąd daleko?

NIEWIASTA.

Dwie mile.

PODRÓŻNY.

Bądź zdrowa!
Przyrodzenie! wzywam twéj opieki,
Na przeszłości mogile
Zbłąkany pielgrzym daleki.
Ty przed północy powiewem
Prowadź mię w ciche ustronie,
W południe okryj mi skronie
Laurowym drzewem.
A gdy z dziennych trudów końcem,
Wrócę na spoczynek
Do méj chatki zachodniém ozłoconéj słońcem,
Niechaj mię powita
Taka piękna kobiéta,
I taki na ręku synek!

PRZYPOMNIENIE

z Alexandra Puszkina.

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc wpół-przejrzystą szatę
Rosciągając nad głuchéj stolicy obszary,
Spuszcza sen trudów zapiatę:

Wtenczas mnie samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką:
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznéj gadziny
Bezczynnemu srożéj pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu rostacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łzy leję;
Lecz smutny rysów nie zmywam.

MORLACH W WENECYI

z Serbskiego.

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mię chytra zdrądziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
„Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta,*)

Piękne dziéwczęta znajdziem w jego murach,
I grosza więcéj niż kamieni w górach,

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą,
I dobrze piją i dobrze się bawią:
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą,
I bogatego do domu wyprawią.
Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błyśnie
Na srebrnym sznurku twój kindżał zawiśnie.

Gdy wnidziesz do wsi, kędy się obrócisz,
Do okien będą cisnąć się kobiety,
A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry, do okrętu wsiędziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziem.“

Wierzyłem głupi, rzuciłem ojczyznę,
I góral wszedłem w ten okręt s kamienia,
Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia.
Ni wolnéj myśli, ni wolnego ruchu
Przykuty zdycham, jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziéwczętom rozwodzę swo żale,
Dziéwczęta szydzą z mojéj obcéj mowy:
Ta nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem jak drzewo przesadzone w lecie,
Słońce je spali, a wicher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego,
Wszystko to byli przyjaciele starzy:
Witaj, wołali, synu Alexego!
Tu niespotykam żadnéj znanéj twarzy!
Jestem jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie!

*) Rzeczpospolita Wenecka zaciągała na żołd swój wielką liczbą góralów Sławian.

DO D. D.

Moja pieszczotka gdy w wesołéj chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że niechcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, niemam odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali,
I pocznie mocniéj jagody różować:
Perłowe ząbki błysną śród korali,
Ah! w tenczas śmieléj w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nieżądam,
Tylko całować, całować, całować.

Odessa, 1825.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa;
Czemu, chcąc s tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać:
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną.

Kocham, ah! kocham, po sto razy wołam:
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego niezdołam
Dosyć wymówić: wyrazić, wyśpiewać,
I, jak w letargu, niewidzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremném użyciem,
Teraz je s twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata, i po końcu świata.

Odessa, 1825.

DO D. D.

ELEGIA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy,
Na dzień cały? nie — takiéj nie życzę katuszy.
Gdyby godzinę tylko — szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie.
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza,
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałosnym natrętem.

Ty mię nieznasz, namiętność zaćmiła me lice.
Ale spojrzyj w głąb' duszy, tam znajdziesz skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnéj dobroci,
I wyobraźni która ziemską dolę złoci.
Dziś ich niemożesz dojrzeć — Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wicher zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?

Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody.
O gdybym zyskał pewność, że jestem kochany:
Gdybym z serca, na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczona zdrada!
O niech będę szczęśliwym, będziesz że mnie rada.

Jak duch przez dzielnéj wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy.
A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana,
Śmiéj się luba, choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę; cóż miałbym do roskazywania?
Abyś raczyła chwilą dłużéj ze mną bawić,
Podług méj woli suknię i włosy poprawić:
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych:
Wszystkobyś nie wielkiemi dokazała trudy,
Godziną cierpliwści, półgodziną nudy,
Albo chwilką udania, kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać:
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobre czytać, na lepsze tłumaczyć.
W twe ręce powierzywszy moję przyszłą dolę.
Na twém złożyłbym łonie mój rozum i wolę,
Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nieczuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy jak z łodzi miotanéj niecnota,
Który burze sprowadza i bałwany pieni;
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni,
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrenabym nad nie wzbijał się i śpiewał.

S PETRARKA.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanéj fali
Laura kąpała swą anielską postać.
Drzewko wysmukłéj urody,
I ty będziesz święte u mnie.
W twym cieniu lubiła zostać
Nieraz sama zamyślona:
I prześliczne jéj ramiona
Spoczęły nie raz na twéj majowéj kolumnie.

O błonia których brylantowa rosa
Nieraz obwiana jéj lekkiemi szaty,
I wy trawki i wy kwiaty,
Ozdobo piersi i włosa,
Ostatni raz dajcie ucha,
Ostatnim żalom cierpiącego ducha.
Jeśli tak chciały wyroki,
I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpiał i płakał do zgonu,
Niech przynajmniéj moje zwłoki,
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom Syonu.

Z niewielką umrę trwogą,
Choć umieram w lat mych kwiecie,
Jeśli nadzieję uniosę błogą,
Że duch mój pośrod téj błoni,

W miłéj i cichéj ustroni
Zostawi łódkę, w któréj błąkał się
po świecie.

Może którego poranka,
Piękna, okrutna kochanka
Zabłądzi w znane doliny,
Gdzieśmy szczęśliwe pędzili godziny.
I swe jasne, wdzięczne oko
Zwróci szukając mię wszędzie,
Ujrzy wzgórek pod opoką,
Ah! to mój grobowiec będzie.
I może wtenczas iskierka miłości,
Albo litość ją poruszy,
Westchnie, a to westchnienie za progiem wieczności
Odezwie się w mojéj duszy.
I nad mogiłą stanie zamyślona,
Oczy jéj zaćmi łez mglista zasłona.

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku,
— Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna —
Kwiaty na pierś jéj strząsał klejnotów potokiem,
A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo różnofarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,
Drugie [illegible] między warkoczów pierścienie,
Sypiąc się błyszczą jak girlanda tkana
W perły i drogie kamienie.
Ten kwiatek do nóg jéj pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień rzucić,
Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nócić
„*Tu miłość włada!*“

Natenczas pełen świętego przestrachu,
Myślałem że z niébios gmachu
Sstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny, ileż razy:
Uniosły duszę w tak roskoszne błędy,
Że otoczony rajskiemi obrazy
Pytałem sam siebie,
Jak tu przybyłem? i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie!

Ostaficwo. 1827.

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca niezmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet niechciéj mnie zasmucić,
I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutném jutrem niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka:
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
W tenczas trucizny daj mnie kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę: powieki
Zamykać niechcę, gdy mię śmierć zamroczy:
Niechaj roskosznie usypiam na wieki
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I sstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twém łonie białém,
Znowu mię ramie kochane otoczy,
Zbudzę się, myśląc że chwilkę drzémałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa. 1825.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z DZIEJÓW LITEWSKICH I PRUSKICH.

WYDANA W RETFRSBURGU r. 1828.

Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere . . . bisogna essere volpe e leone.

Przemowa.

Naród litewski składający się z pokoleń Litwinów, Prussów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo w Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prussowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednéy strony prowadząc ciągłą i morderczą z zakonem krzyżowym wojnę, z drugiéj łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witołda, których władza rozciągała się od baltyckiego do czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznéj siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoję właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich i weszli w stósunki polityczne s Polską. Słowianie, oddawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacyi; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemiężycielem, i pochłonęli go, jak Chiny najezdców tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wassale stali się Polakami; wielu xiążąt litewskich na Rusi, przyjęło religiją, język i narodowość ruską. Tym sposobem wielkie xięstwo litewskie przestało być

litewskiem, a właściwy naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada, i płynie węższym niżeli piérwéj korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu wydarzenia: zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jéj nieprzyjaciel, zakon krzyżowy; stósunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały owczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jéj dzieje przedstawiają s tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta opiéwający owczesne wypadki, samym tylko przedmiótem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętnośei lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

„Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości.“

Nazwaliśmy powieść naszę historyczną, bo charaktery działających osób, i wszystkie ważniejsze wspomnione w niéj zdarzenia, skreślone są podług historyi. Owczesne kroniki w cząstkowych rozerwanych spisach, nienaz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnéj w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jéj członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada: *er war ein Pfaffenkind.* O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, a nawet nienawiść ku duchownym. *Er war ein rechter Leuteschinder.* (Kronika biblioteki Wallenroda). *Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von Wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen.* (David Lucas). *Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer.* Z drugiéj strony

przyznają mu owcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojéj utrzymać śród powszechnéj nienawiści i klęsk, które na zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witołd przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę: co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książę pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko s Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnéj zmianie okoliczności zależało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby zakonu na przygotowania (5,000,000 mark, około miliona złotych węgierskich; summa na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach nie zmarnował. Nadeszła jesień, Wallenrod zostawiwszy oboz bez żywności, i w największym bezładzie, uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, i nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda, pomieszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatyra, dają się pogodzić, jeśli przypuścimy że był Litwinem, i że wszedł do zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż, panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. *Er starb*, powiada kronika, *in Raserey ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht.* Halban czyli, jak go zowią kronikarze, doktor Leander von Albanus, mnich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był, podług kronikarzy, heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął, inni, że uszedł tajemnie lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większéj części z dzieła Kotzebue: *Preussens Geschichte*,

Belege und Erläuterungen. Hartknoch, nazywając Wallenroda *unsinnig*, bardzo krótką daje o nim wiadomość.

Lubo rodzaj wiérsza, użyty w powieści wajdeloty, mało jest znany; nie chcemy wykładać powodów, które nas do téj nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu; radziliśmy się też uwag zawartych w ważném dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu, nie poczytujemy za rzecz stósowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

Skąd Li | twini wra | cają | z nocnéj wra | cają wy | cieczki

Wiozą łupy bo | gate w zamkach i | cerkwiach zdo | byte.

Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to powia | dają.

W budowie wiérsza naśladowano hexametr grecki, s tą różnicą, że w miejscu spondeów (– –), używano najczęściéj trocheów (– ⏑), albo – ⏑̲. W dwóch lub trzech miejscach daktile zastąpione są przez *antibacchius* (⏑ ⏑ –), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długą; n. p. krzyk mojéj | matki.

KONRAD WALLENROD.

WSTĘP.

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy
We krwi pógaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rospuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednéj stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiéj stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźno ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry obiąć i garnąć pod siebie.

S téj strony tłumy litewskiéj młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziéj odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiéj stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen dawniéj sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanéj wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiéj topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodném zielu,
Śmiałe, jak dawniéj, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki kowieńskiéj dąbrowy,
Z bracią swoimi zapuszczańskiéj góry,
Wiodą, jak dawniéj, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozérwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie; — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

OBIOR.

Z marienburskiéj wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;
Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie;

Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu;
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżéj stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich gorach,
Czy Otomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Piérwsze mu zgodnie ustępując wianki.
Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata,
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swéj broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na krasne lica pogląda zdaleka,
Od czarującéj rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym s przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiéchem, jak dzieci łakocie.
Byłyto rzadkie chwile zapomnienia,
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły!
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania.
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Byłto mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnéj obrady
Rospamiętują Konrada przymioty;

Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowéj nie lubił pustoty,
Konrad pijanéj nie dzielił biesiady.
Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił;
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogni błyskawice:
S piersi żałosne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiéwa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją,
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiéwaka postać;
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejźrzenie
Chcące z głębiny ziemnéj coś wydostać.
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą, w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach. —
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiéchów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza strony po kolei,
Prócz jednéj strony — prócz strony wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnéj dziwili się zmianie.
Konrad zbudzony, zżymał się i gniéwał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiéwał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał roskazy,
Straszliwie groził, niewiadomo komu:
Trwożą się bracia, — stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada;
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowéjś tajemnéj wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi;
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą; wtém królewskie zwiérze
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada;
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma;
Tym nieśmiertelnéj talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z marienburskiéj wieży zadzwoniono,
Z obradnéj sali idą do kaplicy,
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiéwa hymny do świętego Ducha.

Hymn.

Duchu, Światło boże!
Gołąbku Syonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświéć postacią,
I rostocz skrzydła nad syońską bracią,
S pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszéj godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli;

A padniem na twarz syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skininiem wszechmocnéj ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Swiętym znakiem twojéj męki;
Piotra mieczem hetmanić żołniertswu twéj wiary,
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa twego sztandary;
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża.

Po modłach wyszli: arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco powracać do choru,
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody;
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowéj pogody,
Zdala niepewny wyglądał poranek;
Xiężyc obiegłszy błonie szafirowe
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzémiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę;
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wyléwa, to spojrzy wesoło,
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Skłania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz arcykomtur chwil darmo nie traci,
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby zdaleka od ciekawéj rzeszy,
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę spieszy;
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek; pora wracać do stolicy,
Stają, — głos jakiś — skąd? z narożnéj wieży:
Słuchają pilnie, — to głos pustelnicy.
W téj wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Maryi-miasta,
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty,
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
Pustelniczego szukała ukrycia,
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
Wreszcie stałością prośby przełamani,
Dali jéj w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie,
Została sama z myślami i Bogiém;
I bramę co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo, wietrzyk i dzienne promienie.
Biédna grzesznico, czyż nienawiść świata
Do tyla umysł skołatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jéj nie widział przy okienku wieży,
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnéj ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;
Bo nie raz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jéj błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma.
Dźwięk to zapewne pobożnéj piosenki:
I s pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiéj dąbrowy,
Natenczas z okna coś białego świéci,
Jak gdyby promyk wschodzącéj jutrzenki;
Czyto jéj włosa pukiel bursztynowy,
Czylito połysk drobnéj śnieżnéj ręki,
Błogosławiącéj niewiniątek głowy.
Komtur tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
„Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki,
„Ty masz być mistrzem abyś ich zabijał!
„Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie,
„Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
„Jeszczeby w twojéj duszy pozostało
„Wiele dawnego, — wszak zostało we mnie!
„Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
„Jeszcze krzyżacy poznaliby ciebie."
Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy,
Spojźrzą na kratę, zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona,
Do kogóż? pusto w całéj okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza
Nakształt płomyka stalowéj przyłbicy,
I cień na ziemi — czy to płaszcz rycerza?
Już znikło — pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany.
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom,
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły,
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom,
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,
Konrad dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
Słowo rycerskie; na jutrzejszéj radzie,
On mistrzem naszym! — zgoda, krzykną, zgoda!

I poszli krzycząc; długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije,
Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje zakon; niech pogaństwo zginie!

Halban pozostał mocno zamyślony,
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojźrzał ku wieży, i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

„Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka co jéj czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

„Wilija w miłéj kowieńskiéj dolinie,
Śród tulipanów i narcysów płynie;
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

„Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

„Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

„I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biédna;

I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

„Serce i potok ostrzegać daremnie,
Dziewica kocha, i Wilija bieży:
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczéj wieży."

III.

Gdy mistrz praw świętych ucałował xięgi,
Skończył modlitwę i wziął od komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
Wzniosł dumnie czoło: chociaż troski chmura
Ciążyła nad niém; wkoło okiem strzelił,
W którém się radość napół z gniéwem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiéch przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze,
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamie krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.

Woła, że zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów;
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnéj zaprzecza;
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnéj stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Piérwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą,
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd krymskie hany lud potężny wiodą.
Witołd zepchnięty od Jagiełły s tronu,
Przyjechał szukać opieki zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada,
Mistrza nie widać; Halban stary bieży,
W zamku, w kaplicy nieznalazł Konrada;
Gdzież on? zapewne u narożnéj wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo, każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora;
Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białéj zorzy
Świéci zdaleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje, i cicho daje odpowiedzi;

Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionéj przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionéj głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

Pieśń z wieży.

„Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzawiała krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

„Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany;
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

„Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia;
Spokojność nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mię zbliska, chociaż niewidomie.

„Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwéj żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czém w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

„O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta.
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają xiążęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

„Gdzie człowiek ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po roskoszném niebie;
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

„Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło:
Niestety! s krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję."

Nadzieję, cichém powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje,
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiéchem,
Gdzież jestem, wołał, tu słychać nadzieje?
Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście;
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwéj żądano w zamęście...
Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliznie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,

Gdyby..... ty milczysz, śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy;
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka

GŁOS Z WIEŻY.

Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna....
Precz mi s tą pieśnią — miałażbym narzekać?
S tobą, mój luby, s tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę, lecz téj jednéj chwili
Nie będę mieniać s całą ziemian zgrają
Na ciche życie przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako kouchy, co się w bagnie tają;
Ledwie raz na rok falą niepogody
Wypchnięte z mętnéj pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście niestworzona;
Jeszcze w ojczyznie ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czémś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz s poziomej uciekałam łąki,
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myśliłam sobie, gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku;
Poszłabym z niemi, i tylko s téj góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki; a potém za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i — zniknąć.
Tyś mię wysłuchał, ty, skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków wzniósłeś mię do siebie,
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie roskosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

KONRAD.

Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli.
Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
Kilka dni tylko, już ich tak nie wiele.
Stało się! próżno po czasie żałować:
Płaczmy, — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał ażeby mordować.
Pocoś tu przyszła, poco moja droga!
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam cię poświęcił na usługi Boga,
Nie lepiéjże było w świętych jego murach,
Zdala odemnie płakać i umierać;
Niż tu w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowéj wieży, w powolnych torturach
Konać, i oczy samotne otwierać;
I przez niezłomne téj kraty okucia
Pomocy żebrać; a ja słuchać muszę.
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc zdaleka, i kląć moję duszę,
Że w niéj są jeszcze ostatki uczucia.

GŁOS Z WIEŻY.

Jeśli wyrzekasz, nie przychodź tu więcéj;

Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcéj,
Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
Spuszczę się znowu w moję wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!
I niech zaginie pamięć téj godziny,
W któréj nie miałeś litości nade mną.

KONRAD.

Więc ty mnéj litość, ty jesteś aniołem:
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima.

GŁOS.

O! miejmy litość nad sobą samemi.
Pomnij, mój luby, że, jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnéj ziemi;
Na morzach piasku dwie wody kropelki;
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze, ach! gińmyż pospołu.
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć:
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niém ziemski panował kochanek:
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze:
Lecz tam bez ciebie wszystko w około mnie,
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze.
Wspomniałam sobie, że po latach wielu,
Miałeś powrócić do Maryi-grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biédnego narodu.
Kto czeka, lata myślami ukraca,
Mówiłam sobie, on już może wraca,
Może już wrócił: czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniéj umarła przy tobie.
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama, może rycerz jaki
Koło méj chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko:
Może pomiędzy obcemi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,
Zdaleka nawet, kochanka odgadnie.
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,
Co mu zdaleka śmié pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichéj ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmié podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiém, że lubisz samotne przechadzki;
Myśliłam sobie, on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy,
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia;
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.
Dawniéj prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy.
Dziś ile szczęścia! dziś możemy razem —
Razem zapłakać . . . .

KONRAD.

I cóż wypłaczemy?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem

Na wieki wieków s twojego objęcia:
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu;
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo.
Odtąd jak znowu z okna twéj wieżycy
Spojźrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic nié ma dla mojéj źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata.
Wokoło mnie wszystko wre wojny rozruchem;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,
Ja niecierpliwém, wytężoném uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A gdy wieczornéj doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rospamiętywaniem;
Ja życie moje liczę na wieczory.
Tymczasem zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnéj żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jedném westchnieniem, skinieniem oczyma,
Umié przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca,
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca,
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury.
A przecież, — wyznam ze wstydem w téj chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście; jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem lecz z męstwem! a dzisiaj ja stary,
Dzisiaj powinność, rospacz, wola Boża
Pędzą mię w pole! a ja siwéj głowy
Nie śmiém oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojéj nie stracić — rozmowy!

Umilknął; z wieży słychać tylko jęki.
W milczeniu, długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała, i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichéj wody.
Pomiędzy liściem drzémiącéj krzewiny
Ze szmérem ranne przewiéwały chłody,
Ptaszęta cichém ozwały się pieniem,
Umilkły znowu, — i długiém milczeniem
Znać dają że się zbudziły zawcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę pogląda boleśnie,
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spojrzał, już ranek; opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

UCZTA.

Był dzień patrona, uroczyste święto;

Komtur z braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto;
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem!
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi;
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele: po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swymi hetmany;
Dawniéj był wrogiem, dziś gościem zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już mistrz powstawszy daje uczty hasło,
„Cieszmy się w Panu!“ wnet puhary błysły.
„Cieszmy się w Panu!“ tysiąc głosów wrzasło:
Srébra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał s pogardą nieprzystojnych gwarów.
Umilkła wrzawa; jedwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharow.

„Cieszmy się,“ rzecze; „cóżto bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask pijany, a teraz szmér cichy:
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełném trupów bojowisku,
Śród gór kastylskich lub finlandzkich lasów,
Przy obozowém piliśmy ognisku.

Tam były pieśni: między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozweseli,
Ale piosenka jest dla myśli winem.“

Zarazem różni śpiewacy powstali'
Tam Włoch otyły, słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali,
Owdzie trubadur od brzegów Garony;
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzémał, piosenki ustały:
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
„Mnie,“ rzekł, „jednemu śpiewałeś pochwały:
Jeden nie może dać innéj nagrody;
Weź i pójdź z oczu. Ow trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiém gronie
Dziewicy niémasz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży.

Tu róże zwiędły: innego chcę barda;
Zakonnik rycerz innéj chce piosenki;
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak zalotnik pijany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniéwa i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza:
Takie jest życie — taka piosnka nasza.
„Kto ją zaśpiéwa? kto?“ — „Ja,“ odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział:
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną;
Głowę obwiéwa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tém skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — „Ja śpiéwam,“ zawoła.
„Dawniéj Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie:
Drudzy, żyć nie chąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jéj martwém ciałem;
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją:
Inni, jak Witołd, między wami żyją.

„Ale po śmierci, Niemcy, wy to wiécie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiéj barbarzyńkiéj mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

„O dzieci, jaka na Litwę sromota!
Żaden miżaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza stary wajdelota
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.
Samotny w obcéj ziemi zestarzałem:
Śpiéwak niestety! śpiéwać nié mam komu.
Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem,
Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiém, gdzie leży mój dom ulubiony:
Czy tam, czy owdzie, czyli s tamtéj strony.

„Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w méj ojczyznie najlepszego było:
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi, Niemcy, weźcie mi pamiątki.

„Jak zwyciężony rycerz na igrzysku,
Zachowa życie, ale cześć utraca;
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca,
I raz ostatni wytężając ramie,
Broń swą pod jego stopami rozłamie;

„Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę.“

Skończył, i czekał mistrza odpowiedzi:
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiém:
Konrad badawczém i szyderczém okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił;
Dręczy go równie i gniéw i sromota.
Nakoniec szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę rostrąca;
Spojźrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniéwu nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku;
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy s cicha — „czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumié?“
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiéchy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
„Oto jest nóta litewskiego śpiéwu.“

Wtém Konrad powstał: „Waleczni rycerze!
Dziś zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i xiążąt podarunki bierze;
Jak winne hołdy s podległego kraju,
Zebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie bronmy starcowi,
Weźmiéjmy piosnkę: będzie to grosz wdowi.

Pośród nas widzim xiążęcia Litwinów
Gośćmi zakonu są jego wodzowie:
Miło im będzie, pamięć dawnych czynów
Słyszéć w ojczystéj odświéżoną mowie.
Kto nie rozumié, niechaj się oddali:
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałéj litewskiéj piosenki;
Jak lubię łoskot rozhukanéj fali,
Albo szmér cichy wiosennego dészczu;
Przy nich spać miło — śpiéwaj stary wieszczu.“

Pieśń wajdeloty.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jéj przyjście wieszcza odgadnie źrzenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewice,
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiéwa.

„Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.

„Dziewica stąpa kroki złowieszczémi,
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie:
Gdzie nogą stąpi, świéży grób wyrasta.

„Zgubne zjawisko! — ale więcéj zguby,
Wróżył Litwinom od niemieckiéj strony,
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz széroki, krzyżem naczerniony.

„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów:
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić,

„O wieści gminne, ty arko przymierza!
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.

„Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy:
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem miéwasz i broń archanioła.

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

„Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stoletni
Trącając kości żelazem oraczém,
Stanął, i zagrał na wierzbowéj fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
Echa mu wtórzą; ja słuchałem zdala.
Tym mocniéj widok i piosnka rozżala:
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

„Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła;
Tak na dźwięk pieśni, kości pod méj stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony xiążąt, wojowników zbroje.
Śpiéwają wieszcze, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

„Zniknęły lasy i ojczyste góry:
Myśl znużonemi ulatując pióry
Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałém ręku,
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi: nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oświécą.
Pamięć naówczas, jak lampa s kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świécznik postawisz w jéj serce,
Jeszcze świéżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy
Krasne acz nieco przyćmione kobierce.

„Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości: gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy;
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

„Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiéwak nie obwini;
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiéwam: uczcie się Litwini!“

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy daléj pozwolą mu śpiewać:
W sali dokoła była cichość głucha:
Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzéwać.
Zaczął więc piosnkę, ale innéj treści;
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po stronach słabiéj i rzadziéj uderzał,
I z hymnu zstąpił do prostéj powieści.

Powieść wajdeloty.

Skąd Litwini wracali? z nocnéj wracali wycieczki.
Wieźli łupy bogate w zamkach i cérkwiach zdobyte,
Tłumy brańców niemieckich s powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców;
Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,

Poglądają na Kowno — i polecają
się Bogu.
W mieście Kownie pośrodku ciągnie
się błonie Peruna:
Tam xiążęta litewscy, gdy po zwycię-
stwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na
stósie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi
do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami
schylony.
Oni sami śród bitwy hufce niemiec-
kie rzuciwszy
Między Litwinów uciekli; xiążę Kiej-
stut ich przyjął:
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą
prowadził.
Pyta z jakiéj krainy, w jakich za-
miarach przybyli.
„Nie wiém, rzecze młodzieniec, jaki
mój ród i nazwisko;
Bo dziecięciem od Niemców byłem
w niewolą schwytany.
Pomnę tylko że kędyś w Litwie
śród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców; było to
miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych, dom był
z cegły czerwonéj.
Wkoło pagórków na błoniach puszcza
szumiała jodłowa:
Środkiem lasów daleko białe błysz-
czało jezioro.
Razu jednego w nocy wrzask nas ze
snu przebudził:
Dzień ognisty zaświtał w okna, trza-
skały się szyby:
Kłęby dymu buchnęły po gmachu:
wybiegliśmy w bramę.
Płomień wiał po ulicach, iskry sy-
pały się gradem:
Krzyk okropny: do broni! Niemcy są
w mieście, do broni!
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i
więcéj nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu: jeden wy-
puścił się za mną,
Zgonił, porwał mię na koń: niewiém,
co stało się daléj.
Tylko krzyk mojéj matki długo, długo
słyszałem.
Pośród szczęku oręża, domów run-
cych łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk
ten pozostał w mém uchu.
Teraz jeszcze gdy widzę pożar i
słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako
echo w jaskini
Za odgłosem piorunu. Oto jest wszy-
stko co z Litwy
Co od rodziców wywiozłem. W sen-
nych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną ojca i matki
i braci.
Ale coraz to daléj jakaś mgła taje-
mnicza
Coraz grubsza, i coraz ciemniéj za-
słania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły: żyłem śród
Niemców jak Niemiec.
Miałem imie Waltera, Alfa nazwisko
przydano;
Imie było niemieckie, dusza litewska
została:
Został żal po rodzinie, ku cudzoziem-
com nienawiść.
Winrych, mistrz krzyżacki, chował
mię w swoim pałacu:
On sam do chrztu mię trzymał, ko-
chał i pieścił jak syna.
Jam się nudził w pałacach, s kolan
Winrycha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas po-
między Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w nie-
wolą przed laty:
Służył tłumaczem wojsku; ten gdy
się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wa-
bił do siebie.
Rozpowiadał o Litwie, duszę stę-
sknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy oj-
czystéj i pieśnią.
On mnie często ku brzegom Niemna
sinego prowadził.
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste
poglądać.

Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń: łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę jak, w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty roskoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potém w latach młodzieńczych częstośmy z portu Kłejpedy,
W łódkę ze starcem wsiadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią zdało się że dzieciniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniej szemi słowami,
Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileżto dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach zakonu.
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze,
I s pienistéj gardzieli piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnéj kobierce,
Już je piasek odleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołem siłę się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie.
Ach! daremnie: bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy roztacza, lądy żyjące podbija,
I rozciąga dokoła dzikiéj królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini.
Synu, piaski z zamorza burzą pędzone, — to zakon.
Serce bolało słuchając: chciałem mordować Krzyżaków.
Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy.
Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże,
I na polu otwartém bić się równemi siłami.
Zostań jeszcze i przejmiéj sztuki wojenne od Niemców:
Staraj się zyskać ich ufność, daléj obaczym co począć.
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów;
Ale w piérwszéj potyczce ledwiem obaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, żeby braci sokołów wojował;
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojéj błękitnéj ojczyzny,
Wolném odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy,
Pójdź myśliwcze do domu, s klatką nie czekaj sokoła."

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie: słuchała
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory.

Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada, albo się bawi przędziwem:
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
I o swojéj młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka:
Wszystko umié na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem
I o niepokalanéj syna bożego rodzicy,
Któréj postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał; on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele; z jakiém roskoszném wzruszeniem
Słyszał z ust jéj litewskie już zapomniane wyrazy.
S każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
Jak iskra s popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiéj przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nié masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w méj córce odmiana;
Gdzie jéj dawna wesołość, gdzie jéj dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosną;
Jéj z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jéj oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Skąd powraca? z doliny; cóż w téj dolinie? młodzieniec
Ogród dla niéj zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy
Niżli me sady zamkowe? (Pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta.)
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jéj okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemił kryształu;
Walter chodzi tamtędy: pewnie siedziała u okna,
I gorącém westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myślilem, że on ją czytać i pisać nauczy,

Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli;
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony,
Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny dla Litwy!
Hufce najlepiéj szykuje, sypie najlepiéj okopy,
Broń piorunową urządza: jeden mi staje za wojsko.
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę.

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę; lecz miał duszę szlachetną.
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go niebyło w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, piérwszy zanócił skowronek,
Innym krajom skowronek miłość i roskosz obwieszcza,
Biédnéj Litwie co roku wróży pożary i rzezie.
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami;
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroi, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega:
Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem.
I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy daléj ciągną plądrując i paląc.

Kiejstut z Walterem piérwsi w bitwach, ostatni w odwrocie:
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywykł
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli;
Idąc w ślady swych przodków bił się i niedbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; schowany śród Niemców,
Znał potęgę zakonu; wiedział, że mistrza wezwanie
S całéj Europy wyciąga skarby, oręże i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony;
Litwa piérwéj czy późniéj równéj ulegnie kolei.
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
Synu! Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa s piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami? — Ojcze, Walter powiadał.
Wiém ja sposób jedyny, straszny, skuteczny, niestety!
Może kiedyś objawię. Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy: Walter jak mocno zmieniony!
Dawniéj, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał; ale w objęciach Aldony
Dawniéj miéwał pogodne czoło i lice spokojne;
Zawsze ją witał uśmiechem, czułém pożegnał wejźrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem, z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek:
Patrzy dzikiémi oczyma; w nocy porywa się ze snu;
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

Mężu drogi, co tobie? pyta ze łzami Aldona;
— Co mnie? będęż spokojnie drzémał, aż Niemcy napadną,
I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą?
— Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów.
— Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku;
Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznéj starości dożyję...
— Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek — wtém Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota. — Drogi Walterze, ujedźmy
Daléj w Litwę: skryjmy się w lasy i góry od Niemców.
— My odjedziemy, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił:
Jeśli nas w górach wyśledzi? — Znowu daléj ujedziem.
— Daléj? daléj nieszczęsna! daléj ujedziem za Litwę.
W ręce Tatarów, lub Rusi? Na tę odpowiedź Aldona
Pomieszana milczała; jéj zdawało się dotąd
Że ojczyzna jak świat jest długa, széroka bez końca;
Piérwszy raz słyszy, że w Litwie całéj nié było schronienia.
Załamawszy ręce, pyta Waltera, co począć?
— Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W któréj od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu.
Więcéj nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał:
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął,
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie
Dotąd mu żywot słodzące: nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne;
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.
Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,

Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiéj poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza:
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry,
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami:
Kurzem, posoką okryci, weszli po sępni do domu.
Walter nie spojźrzał na żonę, słowa do niéj nie wyrzekł.
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona: serce jéj tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzéj ku Aldonie smutne zwrocili wejźrzenie.
Walter patrzał najdłużéj z niemiéj wyrazem rospaczy;
Wtém gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jéj cisnął do serca,
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może: stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj, luba Aldono, dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkiém zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie.
Czém bywaliśmy dawniéj; jutro... i nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! zrazu myśli niebogа.
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły:
Widzi go mniéj zamyślonym, w oczach więcéj żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę wniepamięć; mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, piérwszéj z Aldoną rozmowy,
Piérwszéj w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych
Ale sercu pamiętnych, piérwszéj miłości zdarzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem: „jutro", przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmié.
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki,
Nato tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty,
Czyliż będą ostatnim błaskiem świecznika miłości!....
Darmo się pytać; Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy s komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta:
Dwaj rycerze s tumanem rannym śpieszą się w góry.

Wszystkieby straże zmylili, jednéj
nie mogli omylić.
Czujne są oczy kochanki: zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
Wróć się, o luba! do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa:
Może będziesz szczęśliwa, w lubéj rodziny objęciach.
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu xiążąt dawniéj o twą starało się rękę.
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną.
Walter wszystko utracił: Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni: błąkać się musi po świecie;
Zdradzać, mordować i potém ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych, imie Alfa nanowo
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
Czyny jego; natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednéj tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem:
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa.
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
Jedziesz, jedziesz! krzyknęła, i zatrwożyła się sama
Słowem jedziesz: to jedno słowo brzmiało w jéj uchu.
Nic nie myśliła, o niczém pomnić nie mogła; jéj myśli,
Jéj pamiątki, jéj przyszłość, wszystko splątało się tłumnie;
Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane toczyła:
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejźrzenie.
W tém wejźrzeniu już dawniéj nie znajdowała pociechy:
I zdawała się szukać czegoś nowego, i wkoło
Oglądała się znowu: wkoło pustynie i lasy.
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca:
Byłto klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa.
Na téj wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony.
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiéj topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu:
Opowiedział swéj zamiar, taić przed światem nakazał,
I u bramy — niestety! straszne to było rozstanie —
Alf z wajdelotą pojechał: dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada! jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem piosenkę.

Koniec, już koniec — wielki szmer na sali,
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden śród szumnéj drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową:
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,

Różne uczucia w nagłych błyskawicach
Po rozpalonych krzyżują się licach.
Coraz to groźniéj czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają, niby jaskółki śród burzy.
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy:
„Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiéwaj,
Albo daj lutnię; czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiéwam koniec, jeśli ty się boisz.

Znam ja was, każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie.
Mordy, pożogi, wy śpiéwać lubicie:
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolébce wasza pieśń zdradziecka,
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela:
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni, za nadto niestety!...
Stało się, stało: znam cię zdrajco stary:
Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety.
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary.

Wiém koniec pieśni: nie... zaśpiéwam inną;
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli.
Starcze! graj nótę; tę nótę dziecinną,
Którą w dolinie... o! byłto czas błogi. —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić.
Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie; — starzec musiał wrócić:
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada:
Lecz Konrad śpiéwa, budzą się nanowo:
Stają, i w szczupłém ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

ALPUHARA.

BALLADA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza:
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy:
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali:
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerznął się między szable i groty.
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świéżéj zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,

Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż oddźwierna wodzom dodosi:
Że rycerz z obcéj krainy
O posłuchanie co rychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor, król muzułmanów:
Rzucił bespieczne ukrycie:
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie!" woła, „na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć:
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem:
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcéj korony."

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczuléj uścisnął:
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojźrzał dokoła, wszystkich zadziwił;
Zbladłe, ssiniałe miał lice:
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrzenice.

„Patrzcie e! giaury, jam siny, blady:
Zgadniéjcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożérać;
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umiérać."

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły:
I śmiéch piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła:
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Takto przed laty mścili się Maurowie:
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mieszać zarazę do wina...
Ale nie — o nie — dziś inne zwyczaje;
Xiążę Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na swój lud znękany!

Przecież nie wszyscy — o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiéwam...
Precz mi s tą lutnią — zerwała się stróna;
Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,
Że kiedyś będą... dziś — zbytnie puhary...
Za nadto piłem — cieszcie się — i bawcie.

A ty Al... manzor, — precz mi z oczu stary —
Precz mi z Albanem — samego zostawcie.

Rzekł: i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił:
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół s puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła: wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali:
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada.
Ale na uczcie! publiczna sromota!
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? gdzie ów wajdelota?
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wié.

Były powieści: że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiéwał;
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał?
Co znaczy mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V.

WOJNA.

Wojna — już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witolda zdrady.
Witołd, co wsparcia u zakonu żebrał,
Dla odzyskania wileńskiéj stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem:
A potém oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla; morzem lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni xiążęta, z wassalów drużyną,
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynidź na okopy,
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje.
Oto są wojen napaśniczych dzieje;
Łacno je skréślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz daléj niosły:
Rycerze daléj w głąb Litwy zabiegli:
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
W końcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz daléj się czerwieni.
Darmo Prusacy s podbitéj krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;

Darmo ślą częstych gońców po nowiny,
Śpieszą się gońce, i — nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rospaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi:
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze; czy wojny pożogi?
Coraz widocniéj razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżéj się czerwieni.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze:
Już widać zdala: — kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych; — Konrad? nasi wodze?
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał daléj ciżbę rosprószoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę:
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady,
W ciasném naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;
Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy.
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał;
Bo całe dzieje nieszczęsnéj wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.

Tu słychać trąby litewskiéj pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni;
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło: Konrad wszystkich zgubił;
On, co z oręża takiéj nabył chwały;
On, co się dawniéj rostropnością chlubił;
W ostatniéj wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł niedostrzegał:
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel wkoło rosproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy;
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie;
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie;
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny,
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty knował tajemne układy,
I wodzów niechciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego niewzruszony łzami,
Coby na jego obronę miecz dźwignął,
Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.
Tymczasem zima nawaliła śniegi,
I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał;
O hańbo w dziejach mężnego zakonu!
Wielki mistrz pierwszy uciekł s pola bitwy.
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy.

Czyście widzieli, gdy s tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał — ale spojźrzyj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta źrzenica,
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami:
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami;
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał: Konrad niedbał o to:
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
Spojźrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga,
Bo kogóż z ludzi nie przekona — trwoga?

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie.
W Maryenburgu wiém ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali,
I w dzień i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na tronie ustaw xięga tajemnicza:
Dwunastu sędziów, każdy w czarnéj zbroi
Wszystkich maskami zamknięte oblicza:
W lochach od gminnéj ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nieprzepuszczą bratu;
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiéry u boku.
Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed xięgą zakonu,
Rzekł — „Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejźrzenie stwierdzone dowodem;
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest? niewiadomo: przed dwunastu laty
Niewiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek podejźrzany o jego zabicie
S Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody:
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został mistrzem dla zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiécie; téj ostatniéj zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miéwał z Witołdem tajemne rozmowy.

Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
Nie pojęli, co Konrad mówił s pustelnicą:
Lecz, sędziowie, on mówił językiem Litwinów.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku donosły,
I o czém świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyą, zdradę." —

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz niéma głosów, ni cichéj rozmowy,
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy:
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają,
Każdy s kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu, na księdze zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumnienia zapytał:
Osądził, rękę do serca przykłada:
I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
I trzykroć echem powtórzyły mury:
Biada! — w tém jedném, jedném tylko słowie
Jest cały wyrok; — pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone — w jednę pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — biada!

VI.

POŻEGNANIE.

Zimowy ranek — wichrzy się i śnieży:
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów:
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
Aldono, woła, żyjemy, Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby:
Oni zginęli, wszystko wypełniono.

PUSTELNICA.

Alf? to głos jego? mój Alfie, mój luby,
Jakże? już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już niepojedziesz?

KONRAD.

O! na miłość Boga,
O nic niepytaj; słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.
Oni zginęli: — widzisz te pożary?
Widsisz? to Litwa w kraju Niemców broi;
Przez lat sto zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowéj poczwary;
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło:
Jam to uczynił: dopełnił przysięgi:
Straszniejszéj zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcéj nie chcę, wszak jestem człowiekiem!
Spędziłem młodość w bezecnéj obłudzie,
W krwawych rozbojach, — dziś schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą, niezdolny do bitwy.
Już dosyć zemsty: i Niemcy są ludzie.
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy:

Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek, już tylko ruiny;
Odwracam oczy, przelatuję czwałem,
Biegnę do owéj, do naszéj doliny.
Wszystko jak dawniéj! też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły:
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami.
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłas spocząć między jaworami;
Zródło, gdziem szukał dla ciebie napoju;
Jam wszystko znalazt, obejźrzał, obchodził.
Nawet twój mały sadek zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził.
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniéj mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy.
Ach! na ten widok, pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana,
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni.

Tak, wróćmy! pozwól! mam w zakonie władzę,
Każę otworzyć; łecz po co roskazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybiję, wysadzę.
Tam cię, o luba! ku naszéj dolinie,
Tam poprowadzę; poniosę na ręku:
Lub daléj pójdziem; są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy niesłychać obcéj broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.
Tam w środku cichéj, pastérskiéj zagrody,
Na twoim ręku, u twojego łona,
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś, — będziem żyć dla siebie.
Wróć, powiédz, pozwól. — Milczała Aldona:
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
Wtém krwawa jutrznia błysnęła na niebie:
Aldono; przebóg! ranek nas uprzedzi:
Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma;
Aldono, wołał, drżał z niecierpliwości,
Głosu nie stało, błagał ją oczyma,
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana, i, żebrząc litości,
Objął, całował, zimnéj wieży mury.

Nie, już po czasie — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym, — Bóg mi doda siły:
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Niezstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dałesz pomoc przeciw Bogu.
Chcesz wrócić na świat, kogo? nędzną marę.
Pomyśl, ach pomyśl, jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,

Odwrócisz oczy i s trwogą zapytasz:
Ten straszny upiór jestże to Aldona?
I będziesz szukał w zagasłéj źrzenicy,
I w twarzy, która . . . ach! myśl sama razi . . .
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknéj Aldonie oblicza nie kazi.

Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany,
Ilekroć xiężyc żywszém światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany;
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zbliska.
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki:
Lecz dotąd w mojém zachowałeś łonie,
Też same oczy, twarz, postawę, szaty.
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać.
Alfie, nam lepiéj takiemi pozostać,
Jakiemi dawniéj byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu; — ale nie na ziemi.

Doliny piękne zostawmy szczęśliwym:
Ja lubię moję kamienną zaciszę:
Mnie dosyć szczęścia gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w téj zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić:
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi:
Staraj się częściéj i raniéj przychodzić.

Gdybyś — posłuchaj — wokoło róniny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;
Niech czasem dziatki s pobliskiego sioła
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy.
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,
I sny sprowadza o Litwie i tobie;
A potém, potém, po mojém skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie.

Alf już nie słyszał: on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci:
W dzikich widokach i w naglonym biegu,
Znajdował jakąś ulgę, — utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowéj słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie,
I s piersi zrzucił wszystko, — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskié okopy:
Ujźrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada;
Cień krąży daléj i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada:
Głos tylko słychać: — biada, biada, biada!

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał,
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojném okiem;
Pusto dokoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał:
Spojźrzy ku brzegom, staje rozrzewniony:
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była;

— Dzień dobry! krzyknął, przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz dzień dobry, — jaka wróżba miła!
Piérwszy dzień dobry, po latach tak wielu.

ALDONA.

Niechcę zgadywać, bądź zdrów, przyjacielu:
Już nazbyt światło: gdyby cię poznano...
Przestań namawiać, — bądź zdrów do wieczora:
Wyniść nie mogę, nie chcę.

ALF.

Już nie pora!
Wiész, o co proszę? — zrzuć jaką gałązkę —
Nie: kwiatów niemasz: więc nitkę z odzieży,
Albo s twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojéj wieży;
Chcę dzisiaj, — jutro nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojém łonie,
Na którém jeszcze świeża łezka płonie.
Chcę go przed śmiercią na mém sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem;
Mam zginąć wkrótce, nagle; zginmy razem.
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał; dla znaku, co ranek
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zapalę;
Tam wiecznie patrzaj: jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona;
Zamkniéj twe okno, może już nie wrócę.

Bądź zdrowa: — odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty.
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jéj białe z wiatrem igrające szaty,
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

„Zaszło nakoniec," rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swéj strażnicy,
W któréj zamknięty od samego rana
Siedział, patrząc w okna pustelnicy:

„Daj mi płaszcz, szablę; bądź zdrów, wierny sługo:
Pójdę ku wieży, — bywaj zdrów na długo,
Może na wieki: posłuchaj Halbanie:
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świécić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. —
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić —
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie nic powiedzieć
W godzinę skonu, — prócz jéj i prócz ciebie.
Bądź zdrów Halbanie: ona będzie wiedzieć:
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóżto? słyszysz? — w bramę kołatano.

Kto idzie? trzykroć odźwierny zawołał:
Biada! krzyknęło kilka dzikich głosów:
Widać, że strażnik oprzéć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,

Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega:
Alf zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła;
Poszedł ku oknu: — stało się: — zawoła:
Nalał i wypił: — starcze! w ręce twoje!

Halban pobladnął: chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój: wstrzymuje się, myśli:
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki:
Opuszcza rękę, — to oni, — już przyśli.

„Starcze! rozumiész, co ten łoskot znaczy?
I czegoż myślisz? masz nalaną czaszę:
Moja wypita; starcze! w ręce wasze."
Halban „poglądał w milczenia rozpaczy.

„Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci:
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiéwać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiéwać, i kiedyś w przyszłości
S téj pieśni wstanie mściciel naszych kości."
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał:
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, który wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali
W ostatniém, cichém, długiém uściśnieniu.

Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali;
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

„Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie:
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec, kapelan zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzéj przykładnie."

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz bladnie, pochyla się, skłania;
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy,
„Oto są grzechy mojego żywota!

„Gotówem umrzeć, czegóż chcecie więcéj:
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy:
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów;
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady:
One się gryzą o szczątki biesiady.

„Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jedném wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem."

Rzekł, spojźrzał w okno i bez czucia pada:
Ale nim upadł, lampę z okna ciska:
Ta trzykroć kołem obiegając, błyska:
Nakoniec legła przed czołem Konrada:

W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiéj topi się i mroczy:
Wreszie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy:
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielały — i światło zagasło.

I w téjże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany. —
S czyjéjto piersi? wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie:
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcéj nie wydadzą głosu.
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak strony lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną: zmieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jéj końca nikt się nie spodziéwa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiéwa.

Objaśnienia.

Str. w.

84. 43. **Z maryenburskiéj wieży zadzwoniono.**
Marienburg, po polsku MALBORG, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do rzeczypospolitéj polskiéj; późniéj oddane w zastaw margrabiom brandenburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby wielkich-mistrzów; niektóre dotąd ocalały. VOIGT, professor królewiecki, wydał przed kilku laty historyą Maryenburga, dzieło ważne dla historyi Prus i Litwy.

85. 4-6. **Wielki krzyż i wielki miecz**, insignia wielkich mistrzów.

85. 17. **Domy**, tak nazywały się klasztory, albo raczéj zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

85. 26. **Gonić na ostre**, dawne wyrażenie polskie, combattre à outrance.

86. 25-26. **Tym nieśmiertelnéj talizmanem duszy,**
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.
Wzrok człowieka, powiada Cooper, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z téj okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest, podniósł się i ujźrzał z przestrachem ogromnego tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznéj postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojéj strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli; ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. Bibliotheque Universelle. 1827. Fevrier. Voyage du Capitaine Head.

87. 19. **Arcykomtur**, GROSSKOMTHUR, najpiérwszy urzędnik po wielkim mistrzu.

87. 14. **Jakaś pobożna, nieznana**

Str. w.

niewiasta. Kroniki owych czasów piszą o niejakiéj dziewicy, która przybywszy do Maryenburga, żądała, aby ją zamurowano w osobnéj celi, i tam życia dokonała. Grób jéj słynął cudami.

88. 5. Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Konrad, dzielnego imie Wallenroda;
On mistrzem naszym. —
W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak WINRICH KNIPRODE pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało, jakoby w grobach mistrzów wołanie trzykrotne: Vinrice! ordo laborat. WINRICHU! zakon w niebespieczeństwie.

90. 19. Zamek Swentoroga, zamek wileńskie, gdzie był niegdyś utrzymywany Znicz, to jest ogień wieczny.

90. 19. Cieszmy się w Panu, hasło uczt zakonnych owego wieku.

94. 18. Pieśń Wajdeloci. Wajdeloci, Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególniéj w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać ludowi. Że starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezyą, przekonywają o tém pieśni dawne w niezmiernéj liczbie, dotąd między gminem pozostałe, i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Stryjkowskim, iż na pogrzebie xiążąt, kapłan opiéwał ich czyny; iż za czasów Miechowity, powtarzano piosnkę o xiążęciu Zygmuncie, zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniéjszy w tym względzie szczegół znajduje się w dziele niemieckiém: Versuch einer Geschichte der Hochmeister. Berlin 1798. Autor téj szacownéj xiążki Becker cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem wielkiego mistrza Dusenera von Arfberg, i pisał dzieje swoich czasów (od r. 1346). Między innemi czytamy, iż podczas wielkiéj uczty z okoliczności obioru wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode, Minnesänger niemiecki śpiéwał. Uczczony oklaskami i złotym puharem. Tak dobre przyjęcie poety, zachęciło przytomnego Prusaka nazwiskiem Rixelus; prosił więc o pozwolenie śpiéwania w ojczystym języku litewskim, i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów Wajdewuta; wielki mistrz i krzyżacy nierozumiejąc i nielubiąc mowy litewskiéj, wyśmiali poetę i dali mu w podarunku talérz pustych orzechów*). Nie powinny więc zdawać się śmiesznémi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezye bohatérskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzednikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka litewskiego; wywołali z kraju razem z cyganami i żydami Wajdelotów, litewskich Bardów, którzy sami dzieje narodowe znać i opiewać mogli, W Litwie znowu, za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiéj i języka polskiego, dawni kapłani i mowa ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie; odtąd lud prosty zamieniony w niewolnictwo i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż zapominał też i o pieniach rycerskich, powtarzając stósowniejsze do teraźniejszego położenia swojego, treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poezyi bohaterskiéj, to w domowych tylko zagrodach, albo w czasie obrzędów zdawna z zabobonnością połączonych, w tajemnicy gminowi udzielano. Szymon Grunau w 16stym wieku trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła, i ledwo uprosił życie, przysiągłszy wieśniakom, iż nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy. Wtenczas po spełnionéj ofierze stary Wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohatérów Litwy, mieszając nauki moralne i modły. Grunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nic podobnego nie spodziéwał się usłyszéć z ust Litwina;

*) Kotzebue lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątpić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże w bibliotece Szczerosowskiéj w zbiorze rospraw studentów gdańskich, jest pisemko niejakiego Taschke pod r. 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego jakoby drukowaną we Frankfurcie i dowodzi, że wspomniany Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

Str. w.

taka była piękność rzeczy i wysłowienia.

96. 32. Staje widomie morawa dziewica. Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, któréj zjawienie się, opisane tu według powieści gminnéj, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniéj, słyszaną niegdyś w Litwie balladę. „We wsi zjawiła „się morowa dziewica, i według „zwyczaju przeze drzwi lub okno „wsuwając rękę, i powiewając czer„woną chustką, rozsiewała śmierć „po domach. Mieszkańcy zamy„kali się warownie; ale głód i „inne potrzeby wkrótce zmusiły do „zaniedbania takowych środków „ostrożności; wszyscy więc czeka„li śmierci. Pewien szlachcic, lu„bo dostatecznie opatrzony w ży„wność i mogący najdłużéj wytrzy„mać to dziwne oblężenie, posta„nowił jednak poświęcić się dla „dobra bliźnich, wziął szablę zy„gmuntowską, na któréj było imię „Jezus, imię Marya, i tak u„zbrojony otworzył okno domu. „Szlachcic jednymz amachem uciął „straszydłu rękę, i chustkę zdo„był. Umarł wprawdzie, i cała „jego rodzina wymarła; ale odtąd „nigdy we wsi nie znano morowe„go powietrza.“ — Chustka owa miała być zachowaną w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i paleami wytykać wskazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a które nietylko pojedyńcze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Takw Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny

Str. w.

peloponeskiéj: w państwie rzymskiém upadek monarchii: w Ameryce przybycie Hiszpanów i t. d.

98. 23. Miałem imię Waltera. Walter von Stadion, rycerz niemiecki, wzięty w niewolą od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższemi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach zakonu Prusak Herkus Monte.

107. 40. Wojna. Obraz téj wojny skreślony podług historyi.

109. 34. Trybunał tajemny. W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadomiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: weh! biada! To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem femicznym (Vehmgericht) albo westfalskim. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nie raz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucyą całkiem obalano.

GRAŻYNA.

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Coraz to ciemniéj, wiatr północny chłodzi:
Na dole tuman, a miesiąc wysoko,
Pośród krążącéj czarnych chmur powodzi,
We mgle nie całe pokazywał oko:
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształt sklepu ruchomego,
Xiężyc jak okno, którędy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogródzkiéj góry (1)
Od miesięcznego brał pozłotę blasku:
Po wałach z darni, i po sinym piasku,
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fossę, gdzie śród wiecznych cieśni,
Dyszała woda s pod zielonych pleśni.

Miasto już spało: w zamku ognie zgasły:
Tylko po wałach i po basztach straże,
Powtarzanémi płoszą senność hasły.
Wtém się coś zdala na polu ukaże:
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach:
A, gałąź cieniu za każdym się czerni,
A, biegą prędko, muszą być na koniach:
A, świécą mocno, muszą być pancerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa,
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa:
Zjechali, stają, a piérwszy z rycerzy
Krzyknie, i w trąbkę mosiężną uderzy.
Uderzył potém raz, drugi i trzeci,
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada:
Brzękły wrzeciądze, pochodnia zaświéci,
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tentent koni zbiegli się strażnicy,
Chcąc bliżéj poznać i męże i stroje:
Piérwszy mąż jechał w zupełnéj zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje:
I krzyż miał czarny na białéj kapicy,
I krzyż na piersiach u złotéj pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopiją u toku,
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków:
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
„To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków, (2)

Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O gdyby nie był nikt tu więcéj z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten płucha; (3)
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty."
Tak oni mowią; on niby nie słucha;
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał:
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał. (4) *)

„Xiążę jest w zamku?" — „Jest; lecz o téj porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili:
Dziś nie możecie stawić się we dworze:
Chyba na jutro." — „Jutro? ani chwili.
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach donieście:
Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścień tylko weźcie.
Nie trzeba więcéj; skoro ujźrzy godło,
Pozna kto jestem, i co nas przywiodło." —

Cichość dokoła, zamek we śnie leży:
Co za dziw, północ; jesienią noc długa,
Za cóż dotychczas w Litawora wieży,
Lampa jak gwiazdka między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki:
Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. — Posłano na zwiady
Nie śpi; lecz żaden s pałacowéj straży,
Ani z dworzanów, ani s panów rady,

Do progu jego zbliżyć się nie waży,
Daremnie poseł i grozi i prosi:
Groźba i prośba na nic się nie przyda;
Kazano wreszcie obudzić Rymwida.
On wolą pańską nosi i odnosi:
On głową w radzie, prawą ręką w boju:
Jego nazywa xiążę drugim sobą:
W obozie, w zamku, jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.

W pokoju ciemno, i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającém płonął:
Litawor chodził po gmachu dokoła,
A potém stanął i w myślach utonął.
Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada:
Ale mu na to nic nie odpowiada.
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski nie powszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił:
Wrzkomo poprawia, a do głębi ciśnie:
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił:
Nie wiém przypadkiem, czyli téż umyślnie.

Snać; że poskromić nie mógł wnętrznéj wrzawy,
I w pogodniejsze wystroić się lice:
A jednak nie chciał, by sługa s postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi do koła:
Lecz kiedy okna kratowane mijał,
Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przez szyby i kraty przebijał,
Widna posępność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica,
I surowego zagorzałość lica.

Potém w róg gmachu zwraca się s pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi:
Siadł i s kłamliwą spokojnością mówi,
Szyderskim mowę zaprawując śmiéchem.

---

*) Czytelnik niech uważa; że to jest głos pogański, przeciw rycerstwu niemieckiemu użyty, który objaśnia się poniższemi przypiskami (2) (3) (4).

„Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś, Rymwidzie,
Że Witołd, pan nasz możny i łaskawy, (5)
Miał mię podwyższyć xiążęciem na Lidzie:
I spadłe dla mnie po żonie dzierżawy,
Jak swoję własność, lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze?"

„To prawda, xiążę." — „My więc po te dary
Jako przystało wystąpimy godnie:
Każ wynieść na dwór xiążęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie.
Gdzie są trębacze? niechaj o północy
Zjadą na miasto i stanąwszy w rynku,
Na cztéry wiatry trąbią s całéj mocy:
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.
Niech każdy piersi zbroją ubespiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi:
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranku do mroku.
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąć na drogę obroku.
A skoro słońce s Szczorsowskiej granicy (6)
Piérwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na lidzkiéj ulicy.
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie."

Tak mówił xiążę: wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykłe do drogi przybory;
Lecz za co nagle, i niezwykłéj pory?
Dla czego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą, że jedno drugiego nie ścignie;
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.

Ta postać coś mi niedobrego wróży,
I głos ten myśli spokojnéj nie służy.

Umilkł Litawor: zdało się, że czeka,
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem:
I Rymwid milczy, a odejście zwleka;
Bo to, co słyszał, i co widział razem,
Kiedy stosuje i waży w rozumie,
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umié.

Ale cóż pocznie: zna, że xiążę młody
Namowom cudzym mało daje ucha,
I nielubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swojéj głębi ducha:
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody,
I hamowany tym srożéj wybucha.
Lecz Rymwid jako wierna Panu rada
I zacny rycerz w litewskim narodzie,
Zapewne hańbie niemałéj popada,
Gdzieby powszechnéj nie zabieżał szkodzie.
Milczéć, czy radzić? na dwoje myśl dzieli:
Waha się; w końcu na drugie ośmieli.

„Panie, gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie:
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą
Nie patrząc kędy, gotowi iść wszędzie:
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale, o Panie, na różnym miéj względzie,
Pospólstwo ślepe, twoich rąk narzędzie,
I mężów, którzy na coś więcéj zdatni.

Bo i twój ojciec, choć lubił sam s siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy;
Jednak nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzódy ku radzie mądre wzywał głowy:
Kędym ja nieraz z wolném zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał.
Więc i dziś wybacz, jeśli w szczérym głosie
Zeznam, co serce ustom przekazało:
Długo ja żyłem i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów nie mało:
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkodą!
Rzecz dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na lidzkie państwo
Ciągniesz, do twojéj należące włości;
Ten pochód skory coś nakształt napaści,
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo.
Ci, jak zwycięzcy, czekają zdobyczy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

„Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie:
Ucho je gminne chwyta i przesadza:
Skąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie;
Okrzykną zaraz, żeś chciwy łupieży,
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.

„Inaczéj cale po dawnym zwyczaju,
Litewskie niegdyś stąpały xiążęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju:
Tych xiążąt dobrze wiek mój zapamięta.
I jeśli zechcesz iść po starym trybie,
Spuszczaj się na mnie, w niczém nie uchybię.

„Naprzód rycerstwo obeślemy wszędy,
I tych, co w mieście zostali się bliscy,
I co na wiejskie powrócili grzędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy.
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bezpieczeństwu, a większéj ozdobie,
Z sowitym pocztem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro, lub po jutrze z rana,
Tudzież s potrzebnym do uczty zapasem:
Aby się wszystko złatwiło na przodzie,
A na źwierzynie nie brakło i miodzie. (7)

„Nie tylko bowiem sam naród prostaczy
Lecz i starszyzna za łakocią goni:
A widząc z razu pańskiéj hojność dłoni,
Dobrze stąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawżdy było w Litwie i na Żmudzi:
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi."

Skończył, podchodzi ku oknom i dodа:
„Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz oparty na łęku:
Drudzy dwaj chodzą konie wodząc w ręku.
Posły niemieckie — poznałem z odzieży,
Czy ich zawołać? czyli niech na dole,
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?"

To mówiąc okno przemknięte zaszczepił:
Niby niechcący i patrzył i gadał.

Ale umyślnie pytanie uczepił;
By coś o posłach niemieckich wybadał.

Na to mu prędko Litawor odpowié:
„Jeżeli kiedy wychodzę po radę,
Do cudzych, własnéj nie ufając głowie,
Zawżdy twe zdanie na początku kładę.
Boś zewsząd godzien mojéj czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce,
Lada czyjemu były widne oku;
Zamiar wylęgły w myślenia pomroku,
Źle jest, przed czasem wykazać na słońce.
Niechaj rzecz cała dokonania bliska,
Jak piorun wprzódy zabija, niż błyska.
Przetoż ja krótko pytania odbywam:
Kiedy? dziś, jutro — gdzie? na Żmudź, do Rusi.
To być nie może! — będzie i być musi;
Lecz dzisiaj tobie głąb serca roskrywam.

„Dla tegom kazał do konia i zbroi,
Dla tego nagle i orężnie godzę,
Bo wiém Witolda, że z wojskami stoi
Gotowy wstręty czynić mi po drodze;
A może na to chciał do Lidy zwabić,
By zwabionego pojmać, albo zabić.

„Ale ja z mistrzem Pruskiego Zakonu (8)
Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze:
Za co w nagrodę ustąpię część plonu.
Jeśli, jak słyszę, przybyli posłowie,
Znać, żem na jego nie zwiedziony słowie.

„Wprzód więc, nim zajdą siedmiorakie gwiazdy, (9)
Ruszymy przydać ku litewskiéj sile
Niemców pancernéj trzy tysiące jazdy, (10)
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.
Będąc u Mistrza sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopy:
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem, (11)
Żelazem kute od głowy do stopy:
Wiész, jako dzielnie brzeszczotami *) sieką,
I dzidą srożsi od naszych daleko.

„Knecht zasię każdy ma żelazną żmiję,
Którą ołowiem i sadzą utuczy:
Potém ku wrogom nawracając szyję,
Podrażni iskrą: wnet paszcza zahuczy
Ogniem i gromem: zrani lub zabije,
Kogo jéj strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiéj broni niegdyś obalony
Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.

„Wszystko gotowo: tajemnémi drogi,
Jutro, gdy Witold w zaufaniu zbytniém,
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem."

Rymwid niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu nieprzytomny sobie:
Przegląda burzę, myśli o sposobie:
Skłócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie,
Z gniéwem i żalem zawoła: „O Panie,
Bogdajbym nigdy nie dożył téj pory!
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory, (12)
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?

*) Brzeszczot, główna szabli, klinga.

Zła jest niezgoda: ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać; raczéj ogień z wodą.

„Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
S którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniéwne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc przyjacielu,
Że bardziéj jeszcze niźli złe sąsiady,
Gniéwne na siebie Litwiny i Lachy,
Często u spólnéj pijają biesiady:
Snu używają pod jednémi dachy,
I miecze łączą ku wspólnéj potrzebie.
A jeszcze bardziéj nad litewskie męże,
I nad Polaki zawziętsi na siebie,
Od wieku wieków są ludzie i węże.
Przecięż, jeżeli do domowych progów (13)
Wąż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli, dla chwały nieśmiertelnych bogów,
Litwin mu chleba nie skąpi i mléka;
Wtenczas gad swojski pełznie w jego ręce:
Społem wieczerza, z jednych kubków pija:
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.

„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary;
Małoż Prusaki i Mazowsza cary,
Ziem, ludzi, złota, wepchnęli mu w paszcze?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszę rozdziéra gardziele.

„Spólna moc tylko zdoła nas ocalić:
Darmo hordami ciągniemy co roku,
Burzyć ich twierdze i mieściny palić.
Przebrzydły Zakon podobny do smoku:
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro:
I ten nięty rośnie w dziesięcioro.
Wszystkie utnijmy. Naprożno się trudzi,
Kto naszych szczérze chce godzić s Krzyżaki:
Bo czy to z kniaziów, czyli s prostych ludzi,
Na Litwie całéj nie znajdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich, jak od krymskiéj dzumy:
Coby nie wolał stokroć od ich broni,
Raczéj śmierć w polu, niźli pomoc zyskać:
Raczéj żelazo rospalone w dłoni,
Niźli krzyżacką prawicę uściskać.

„Lecz Witołd grozi: czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzéć się w polu?
Albo czy do tych kresów zaszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwad kąkolu,
Nie zdoła wyrwać dłoń bratniéj przyjaźni,
Oręż dla cudzéj zachowując kaźni?

„Skądże masz pewność, że słuszna twa skarga:
Że Witołd znowu stawiąc się upornie,
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj, szléj mnie do niego powtórnie:
Wznowim umowę.” — Dość tego Rymwidzie.
Znane mi dobrze Witołda umowy: (14)
Wczora mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczora ufałem xiążęcemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę;
Dziś Witołd uknuł coś różnego znowu,
Na gwałt swobodną wyśledziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi.
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli;

Więc Witołd Lidę dla siebie wydzieli:
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie.
Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega! (15)
Bo tam wskazana jest siedziba nasza:
Tam Witołd braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega.
Patrz jak uradził! a wié na co radzić;
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą:
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić,
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

„Przebóg! czyż niedość, że Witołda buta,
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła:
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki, zbiegliśmy do koła;
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry,
Na Polski pięknie zbudowane sioła:
Stamtąd po stepach żeglujący z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mogoła.
A cośmy skarbu z zamków wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień niedopali,
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta,
Od fińskich zatok po Chazarów morze (16)
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta.
Sam w jakiém mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojżrzy bez strachu:
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie, lub Trockiém jeziorze! (17)
Widziałem piękną dolinę przy Kownie, (18)
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniéjsza w świecie.
Lecz któżby wierzył? u syna Kiejstuta,
W pałacu świéższa murawa i kwiecie;
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra, i kwieciem ze złota;
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory,
Cudniejsza branek lechickich robota.
W kratach u niego szklanne okienice
Przywożne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycérzy zbroice:
Albo jak Niemen przed oczyma słońca
S pod śniegu zimne gdy odsłoni lice.

„A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
S pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Xiążę jak Tatar żył o końskiém mléku?
Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niéj noc wystoję,
A rankiem znowu trąba na koń wzywa;
Ze wtenczas kiedy moi rówiennicy
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bespiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę,
Zabawić wojny kłamanéj obrazem;
Wtenczas s Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz s Polaki ścinał się żelazem!

„Przecież me państwa od Erdwilla czasu
I piędzią szérzéj ziemi nie zaległy;
Patrz na te mury z dębowego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonéj cegły;
Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska,

Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska:
Miasto kobierców, śniade mchu skorupy.
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa, czy skarby? nie; nic, kromia sławy!

„Ale i sławą wszystkim po nad głowę
Witołd podleciał: Witołd wszystkich gasi:
Jego jakoby drugiego Mindowę, (19)
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi.
Jego na strónach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku:
Nasze śród gminu kto wypatrzy imie?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?

„Przecież nie zajźrzym, niech walczy, niech gromi:
Niechaj się w imie i skarby bogaci;
Tylko niech zęba chciwego poskromi,
Od swych ojczyców, od ziemie swéj braci.
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł, i s tronu zmiótł Olgierdowica? (20)
I sam owładał? a tak lubi władać,
By jego poseł jak Krywejty goniec, (21)
Xiążąt podwyższał, albo zmuszał spadać!
O! czas, że temu położymy koniec:
Czas, że po sobie jeździc nie dozwolim,
Póki młodego w piersiach żywie ducha,
Póki żelazo ręki zdrowéj słucha:
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rże przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi;
Dopóki koń mój, póki szabla moja."
Tu mu gniéw słowa i tchnienie zatłoczył:
Umilkł: lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa;
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę: od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

Znowu ich głuche obeszło milczenie:
Znowu rzekł xiążę: „Dosyć próżnéj mowy:
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie:
Wiész, com rozkazał: bądźcie w pogotowiu.
Ja legnę: może duch troskliwy spocznie,
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu:
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie;
Lecz dziś zapełnia xiężyc rogi nowiu:
Świt będzie widny, ruszymy niezwłocznie:
Synom Kiejstuta w Lidzie zostawimy
Godne dziedzictwo, popioły i dymy!"

To powiedziawszy usiadł, i w dłoń klasnął:
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty:
I legł nie na to może, aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz s komnaty.
I on gdy widzi, iżby nic nie sprawił:
Ani co mówił, ani dłużéj bawił.

Poszedł: a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził:
Potém do zamku wrócił się raz drugi:
Po cóż? czy żeby znowu s panem radził?
Nie: w inną stronę wiódł on kroki swoje,
Na lewe skrzydło zamkowéj budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł krużgankami przed xiężnéj podwoje.

Była naonczas xiążęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich piérwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną xiężną;
A chociaż wiekiem od młodéj jutrzenki,
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje, dziéwki i matrony wdzięki,
Na jedném licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi, a świeżością znęca:
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie;
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nietylko licem nikt jéj niemógł sprostać:
Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohatérską Litawora postać
Wzrostem wysmukłéj dorówna kibici.
Xiążęca pata, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Twarzą podobna i równa s postawy,
Sercem téż całém wydawała męża:
Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego imała oręża:
Często myśliwą na żmudzkim rumaku (22)
W szorstkim ze skóry niedźwiedziéj kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku,
S pociechą męża nie raz w tym ubiorze
Wracając s pola, oczy myli gminne,
Nie raz od służby zwiedzionéj na dworze,
Odbiéra hołdy xiążęciu powinne.

Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jéj zależały rady:
Acz innym rzecz ta niebyła świadoma;
Bo xiężna wyższa nad żon prostych rzędy,
Które zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby s tém się popisować wszędy:
Owszem cudzemu pilnie kryła oku,
Z jaką potęgą w sercu męża władnie:
Nawet baczniejsi i bliżsi jéj boku
Nie prędko mogli zbadać i nie snadnie.

Imo to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie:
Szedł więc i xiężnéj wynurzył otwarcie,
Wszystko, co widział i co przewidywał:
Jaka stąd dawnym zwyczajom obraza,
Xiążęciu hańba, narodowi skaza.

Mocno Grażynę wieść nowa uderzy:
Lecz panią swojéj będąca postaci,
Udaje wrzkomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i w twarzy nie traci:
„Nie wiém ja," rzekła „czyli nad rycerzy,
Więcéj u pana słowo niewiast płaci:
To wiém, że sobie sam radzi rostropnie,

Wiém jeszcze lepiéj, co uradzi, dopnie.
Wreszcie, jeżeli nagła gniéwu flaga
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi:
Jeśli niekiedy lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słuszność, lub nad możność wzmaga:
Zostawmy: niech czas i cicha uwaga,
Rozjaśni myśli, zapały przystudzi:
Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie:
Tymczasem drugich nie trwóżmy i siebie."

„Wybaczaj, xiężno! O, nie są to słowa,
Coz ust w gorącéj pryskają godzinie:
Których zagasłych pamięć nie dochowa:
Nie jest to zamiar, który w plątaninie,
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa:
Który jako dym zamroczy i zginie:
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu.

„Nie dzisiaj jestem przy pańskiéj osobie:
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą;
Przecięż na pamięć nie przywiodę sobie,
By ze mną mówił tak szczérze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię:
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka,
Noc będzie widna, droga niedaleka."

„Co słyszę, jutro? biada mojéj głowie!
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie:
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano.
Pójdę i w pierwszéj s xiążęciem rozmowie....
Owszem dziś idę, chocia już nierano:
Wprzód niżli nocną świt opędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę,"

Żegnają siebie po tym rozhoworze,
A w jedno miejsce dążyli oboje.
Xiężna i chwili niebawiąc w komorze,
Śpieszy w gmach pański przez tajne pokoje;
Rymwid niebawiąc i chwili na dworze,
Śpieszy krużgankiem, i w pańskie podwoje
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada:
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.

Niedługo czekał, klamka zaszeleści:
Z ubocznych progów mignie postać w bieli:
„Kto?" — woła xiążę: zerwał się s pościeli.
„Kto?" — „Ja" — odpowié, znany głos niewieści.
Potém coś dłużéj rozmawiać zaczęli:
A chociaż Rymwid domyślał się treści,
Głosu nie złowił; bo w echo wplątany,
Połknęło miejsce, lub odbiły ściany.

Rozmowa coraz żwawsza i zmieszana,
Coraz wolniała, coraz trudniéj słychać,
Częściéj głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiéchać.
Nakoniec xiężna padła na kolana:
Wstał: niewiadomo podnieść, czy odpychać:
Kilka słów po tém wymówił goręcéj,
A po tém milczał i nie mówił więcéj.
I było cicho; znowu postać w bieli,
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści;
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużéj: już w swój gmach niewieści
Odeszła xiężna; xiążę do pościeli

Wrócił: legł; cicho, i widać s téj cisze,
Że go sen twardy wprędce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał:
Odszedł nareszcie i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał:
Słucha ciekawie, lubo ku téj stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał.
Wtém giermek ręką ukazał ku bronie: *)
Coby oznaczał, Rymwid łacno zgadał;
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło:
Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło:
„Przysięgam," wrzeszcząc, „gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, komtura znamie,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem,
Prędkoby zemstę znalazło to ramie!
Między monarchy na poselstwach wzrosłem
Ni przy cesarskiéj, ni papiezkiéj bramie
Nie spotkało mię, co u twego panka;
Pod gołém niebem doczekać się ranka!
Iść precz, za czyim? za giermka rozkazem?
Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie płazem!
Wołać nas wrzkomo przeciw Witołdowi,
A potém spólném otoczyć żelazem!
No! obaczymy, czy Witołd odbije
Ten miecz zanadto waszéj bliski szyje!

„Powiédz xiążęciu, jeśli nie dowierza,
Sam niechaj spyta: powtórzyć gotowem
Choć razy dziesięć témże samém słowem,
Teraz i zawsze; bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza.
A com rzekł usty, prawicą dowiodę.
Jama, którąście pod nami kopali,
Na waszę własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze téj nocy się zwali:
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur zakonu: za mną knechty dali."

Zaczekał jednak: lecz po krótkiéj zwłoce,
Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni:
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce:
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni:
Kiedy niekiedy słychać rżenie koni:
Coraz znikają w dali i w pomroce:
Las ich nakoniec i góra zasłoni.

„Jedźcie szczęśliwie, bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiéj nie postała ziemi!
Rzekł Rymwid, patrząc z uśmiechem za niemi:
Dzięki o xiężno! jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ow głos gniewliwy, owa postać sroga?
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego zda się chciał pożyczyć lotu,
By spaśdź co prędzéj na Witołda głowę;
Wtém jeden uśmiéch i słowko miodowe
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.
Niedziw: zapomniał starzec siwobrody,
Że xiężna piękna, a Litawor młody!"

Tak mówiąc s sobą, wzniósł do góry oczy,
Może się lampa za kratą ukaże;
Napróżno patrzył, ciemność okna mroczy:
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Ażali xiążę wołać nie rozkaże.
Napróżno czekał, zapytywał straże:
Zbliża się ku drzwiom: w pokoju noc cicha,
A xiąże otąd snem twardym oddycha.

*) Bramie.

„Cuda prawdziwe nie odgadnę cale,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem;
Nie dawno wołał: w największym zapale
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam śpi dotąd? miał wyciągnąć rano?
Stoją rycerze od Niemców wezwani,
A Niemcom z niczém odjechać kazano.
Któż zaniósł rozkaz? oto giermek pani!...

„Ile z wczorajszéj wróżyłem rozmowy....
Wprawdzie żadnegom nie słyszał wyrazu;
Lecz długie prośby, głos pana surowy:
Miałażby xiężna pomimo rozkazu
Ważyć się sama aż na krok takowy?...
Ufna potędze niewieścich pieścideł,
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniéj śmiałości nie puściła skrzydeł.
Prawda, iż nieraz poczynała śmiele:
Lecz to byłoby więcéj, niż zawiele."

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,
Który wszedł cicho i zdaleka mruga:
Więc oba śpieszą w zamku lewy kraniec.
Stamtąd krużgankiem zbiegła xiężnéj sługa:
Wnet sama pani w sieniach go spotyka:
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

„Radco sędziwy! nie dobrze się dzieje:
Ale rospaczy oddać się nie godzi.
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.
Bądźmy cierpliwi: nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią;
Posły odprawim do innego czasu:
Ażeby xiążę nagłą odpowiedzią
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniéwu ochłonie.

„Ty się nie lękaj, jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom Pana nic się nie uszkodzi;
I po tém wojsko może zwołać snadnie,
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczérze,
Ja tak kwapionéj wyprawienie wierzę.
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczora zaledwie s piersi złożył zbroje:
Z dalekiéj jeszcze nie wytchnąwszy drogi,
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?" —

„Co słyszę xiężno? ty mówisz o zwłokach;
Jak cię niestety rachuba omyli!
Już jest zapóźno, już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili:
Wreszcie obaczym; lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął xiążę wczorajszą namowę?" —
Grażyna właśnie miała opowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomieszało nowe.

Tentent jezdnego słychać na dziedzińcu:
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiéj czaty,
Która po lidzkim biegając gościńcu,
Teraz od Niemców dostała języka:
„Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,
A za nią knechtów i obóz pomyka;
I że przed świtem, jak czatownik tuszył,
I jak niemieckie wyznawały brańce,
Chce miasto ubiédz i szturmować szańce,

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,

By go przebudzić i prędko uradzić:
Czyli na murach obrony rozsadzić,
Czyli na polu Niemcom zajźrzéć w oczy.
Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko:
Wprzód nim się knechty z działami przywleką,
Abyśmy znagła na lud jezdny padli;
Tak zapędzonym na chrapy i rowy,
Łacno rajtarom i bratom łby zmieciem,
Potém fussknechtów wzjąwszy pod podkowy,
Do szczętu plemie jaszczurcze wygnieciem."
Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniéj dziwi się Grażyna.

„Giermku!" zawoła, „kędyż są posłowie?"
Umilknął giermek, a niepewne lice,
I pytające topiąc w niéj źrzenice,
„Co słyszę xiężno?" zdumiony odpowié:
Alboż o własném zapomniałaś słowie?
Niedawno, kiedy piały drugie kury,
Samaś mi rozkaz xiążęcy przyniosła,
Ażebym biegał co prędzéj do posła,
I wyprawił go przed świtem za mury?" —

„Tak," rzecze xiężna: twarz odwraca zbladłą:
Lecz pomieszanie widne w jéj osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło;
„Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie.
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę — nie stójmy — albo, wiém co zrobię..."
Stanęła, milczy, przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którém się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka:
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka;
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem:
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

„Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża:
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera:
Ty giermku rozkaż osiodłać Hestera, (23)
I wynieś resztę pańskiego oręża.
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuje wam imieniem xiążęcia.
Odpowiedź starcze wkładam na twą głowę.
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Ni gadać, ani pytać do poranku:
Idźcie i pana czekajcie na ganku."

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzasła:
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
Gdzie idę: po co? wszak wojska i wodze
Już zgromadzono, już wydane hasła;
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,
Stanął z nagiętém ku ziemi obliczem:
I myśląc długo, nie myślał o niczém:
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku,
Myśli samopas plączą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony owładnie.

„Próżno tu czekam, już bliski poranek:
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi xiążę."
Więc stąpał prosto na pałacu ganek;
A wtém się zlekka rozwarły podwoje.
Litawor wyszedł sam jeden do sieni,
Szatę miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutéj błyszczącą czerwieni: *)
Głowę pod hełmem, piersi miasto zbroje
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni:
W lewicy tarczę mniejszego obłęku,
A pas od miecza na prawym niósł ręku.

*) Czerwień, purpura.

Gniéwem, lub troską zdał się kołatany,
Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;
Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawém nie raczył ich okiem.
Drżący z rąk giermka wzjął łuk i kołczany:
Miecz nawet zwiesił po nad prawym bokiem:
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,
Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

Już sstąpił z ganku, już chorągiew złota
Wzniesiona pocznie na dzień krwawy świtać:
Już dosiadł konia, już przyboczna rota
Miała go wrzaskiem i trąbami witać;
Lecz dał znać ręką, aby zamknąć wrota,
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać.
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.

Stąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale na prawo skręcając się dołem:
Przepadli między kurhany i krzaki:
Znowu ku drodze nawracają kołem;
Wąwoz ciemnémi wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiéj broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzéka,
Wąskiém korytem błądząca po lesie,
Ku drodze jednak coraz szérzéj ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jéj zwierciadła,
A s przodu góra wyniosła usiadła.

Tam gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujźrzą śród góry przy blasku xiężyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty,
Błysnęło: zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty,
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wygładzają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory:
Gdy z nich oskubie wicher szaty latnie,
A rosa jasne wieszając bisiory,
Nagłe się mrozem w śrzon perłowy zetnie:
Błędnym przechodniom zdają się w wniścia
Lasy ze srébra, a s kryształu liścia.

Ten widok gniéwy w xiążęciu poduszcza:
Skoczył z wyniosłém nad głowę żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszcza:
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ładajako puszcza:
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czele ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywodzić.

Więc Rymwid pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi:
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi;
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło: chylą majdany *) do nogi;
Warknęły strony, swisnęła strzał chmura:
Jezus, Marya! naprzód, hop hop, ura! (24)

Dopiéroż, drzewca ułożywszy w toku,
Zerwą się bliżéj, pierś na pierś uderzy.

---

*) Majdan, część łuku, za którą się ręką łuk trzyma.

Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku:
Zewsząd szczęk razów, wrzask,
chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy:
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.

Xiążę jak skoczył, tak goni na
czele,
Ani się jeden między tłumem boi;
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,
Poznali godła na hełmie i zbroi:
Cofa się, walczyć nie śmiała gromada:
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

Lecz któryż z bogów siłę w nim
osłabił!
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie
goni?
Cóż stąd, że bije? nikogo nie zabił:
Bezwładna szabla po pancerzach
dzwoni:
Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce: z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie,
I gęstym włoczni otoczą go lasem;
Czy przełęknione, czy splątany
w tłumie,
Brać ich na szable i tarcze nie umié.

Trudno mu było całą unieść szyję:
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela,
siecze;
Wtém huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze;
Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała: już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku:
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył, ni naprzód nie ruszono
kroku;
A bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc
losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd
bierze,
I szala dotąd w równéj stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi, (25)
Gdy rumszyskiego napotka olbrzyma:
Wkoło go mokrém ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuję, pierś górą wydyma:
Ten natarczywéj broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jéj dotąd trzyma:
Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jéj rzéka ustąpi koryta.

Krzyżactwo długiéj niecierpliwe
bitwy,
Na wiérzchu góry stojący odwodem
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy:
Komtur ich wiedzie, sam uderza
przodem:
A zmordowanych długiemi gonitwy,
Gdy naparł świéżym i dzielnym narodem,
Łamią się szyki, Krzyżactwo zwycięża:
Wtém z góry zagrzmiał straszliwy
głos męża.

Ku niemu wszystkich podnoszą się
oczy;
Stoi na koniu: a jako rozwiodła
Széroko cienie sterczących warkoczy,
Na śnieżnéj górze wybujała jodła;
Tak go széroki płaszcz dokoła mroczy:
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm
i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakształt
gromu:
Nie wiedziéc za kim, albo przeciw
komu.

Dobiega Niemców, między tłumem
tonie:
Bitwy nie ujźrzysz, ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć w jakiéj walka stronie,
I jak straszliwy piorun jego ręki;

Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie:
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali:
Jęczą topory, chrobocą pił zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec między wyciętemi zręby,
Ujźrzysz i mężów i błyskanie stali;
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj rycerzu ożywić duch męski,
Krzepić słabnących, śpieszaj, jeszcze pora;
Litwini bliscy ostatecznéj klęski:
Dzid i puklerzów warowna zapora
Już rozłamana; sam komtur zwycięski,
Po całém polu szuka Litawora:
On się nie kryje; oba konie bodą;
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.

Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia s piorunowéj broni,
Zadrżą Litwini, pojźrzą na xiążęcia;
Niestety! szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle s słabego wyciekły ujęcia,
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając s siodła już się bokiem chyli,
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny: a jak czarna chmura,
Ryknąwszy, błysnie piorunowym gradem;
S taką szybkością leci na komtura;
Zaledwie piérwszym zwarli się napadem:
Pojźrzeć, aliści komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po nim.

Gdzie obskoczyły xiążęcia dworzany,
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły:
Ostrożnie zdziéra blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.
Wtem krew nanowo wytrysnęła zrany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiéra oczy, spoziera do koła,
I znowu wciska na oczy przyłbicę;
Z gniéwem żołniérze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę,
„Już jest po wszystkiém starcze“, mówi s cicha:
Precz mi od piersi, szanuj tajemnice:
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę.
Wieźcie do zamku: tam wyzionę duszę.“

Rymwid szérokie oczy w nim utopił:
Ledwie śmié wierzyć, od zmysłów odchodzi:
Upuszcza rękę, którą łzami kropił:
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi.
Teraz poznaje głos nieznany wczora:
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył, sam do pana skoczył:
Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył:
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska:
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu:
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci bodąc konie, przez tłumy narodu,
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce;
A skoro wpadli, uchylono zwodu:
Rycerz strażnikom przykazuje srogo,
Ni tam, ni za się nie puszczać nikogo.

Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy:
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żałoba na czole.
Każdy się pyta troskliwy o pana:
„Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?"

Nikt nie był w zamku, nikt o niczém nie wié:
Podjęto mosty i zemknionо zwory.
Tymczasem w fossę, między gęste krzewie,
Schodzą trabanci s piłami, s topory:
Sieką chróst, walą topole, modrzewie:
A ociosane pnie, gałęzie, wiory,
Toczą na barkach i wozach do miasta;
Na taki widok żal i postrach wzrasta.

Kędy świątynie miał władzca pioruna, (26)
I bóg co wichrem niepogodnym świszcze,
Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna,
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze:
Tam stós ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.

W środku dąb sterczał, a pod dębem stoi:
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku (27)
Z orężem, w hełmie i zupełnéj zbroi.
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku;
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzody.
Zabójca xięcia, Dyterich z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany:
Czekają końca, zgadywać nie śmieją;
Każdy zarówno w myślach kołysany,
Między bojaźnią, żalem i nadzieją,
W zamęk smutnémi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,
I most opada, i wolnemi kroki
Rusza się orszak w żałobnéj odzieży,
Niosąc na tarczach bohatéra zwłoki:
Przy nich łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
W koło purpurą świéci płaszcz széroki,
Xiążęce stroje; lecz nie widać lica,
Bo je spuszczona zawarła przyłbica.

„To on, to xiążę, wielkiego pan kraju,
Mąż dużéj ręki, ktoż mu równien będzie,
Czy gromić Niemce, i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?
Panie nasz! zacóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?
Nie tak albowiem starożytność święta,
Czciła twe przodki, litewskie xiążęta.

„Zacóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek każdéj nieodstępny drogi,
I s próżném siodłem, okryty żałobą
Towarzysz pola, koń jelenionogi:
I sokoł i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie s pyskiem wietrzącym daleko."

Szemrała gawiedź. — Rycerze na stosie (28)
Składają ciało, mléko i miód leją:
Przy długiéj trąby i fletni odgłosie,
Śmiertelne pieśni Wajdeloci pieją.
Starszy pochodnią wzjął i nóż ofiarny:
Stójcie! — stanęli — nadjechał mąż czarny.

Któż on? pytają wszyscy: któż on taki!
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy litewskie złamano orszaki,
I obstąpiono zewsząd Litawora,
Przypadł: odwagę stygnącą zapalił:
Niemców wysiekał, komtura obalił,

Tyle o czarnym rycerzu wiedziano:
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku;
Lecz po co przybył? skąd ród? jakie miano?
Stójcie i patrzcie, uchyła szyszaku;
Uchyla twarzy: on! Litawor, xiążę!
Dziw nagły zmysły i mowę zabiéra;
Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże,
Opłakanego widząc bohatéra;
Wrzasną i klasną: wrzask o gwiazdy bije:
Litawor żyje! xiążę, pan nasz żyje!

Stał i ku ziemi dzierżał lice blade:
Hałas grzmi jeszcze powtarzany echem;
Zwolna wzniósł czoło, obejźrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.
Nie był to uśmiéch, co s serca począty,
Rozjaśni lica i w oczach zaświéci:
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty
Usiadł na ustach i wkrótce uleci;
Tyle dodaje smutnéj twarzy wdzięku,
Ile kwiat wbladym nieboszczyka ręku.

„Zapalcie zgliszcze!“ — palą! ogień bucha:
A xiążę daléj: „wiecieli wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?“ — cichość głucha. —
„Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje,
Niewiasta z wdzięków, a bohatér z ducha. (29)
Ja się zemściłem; lecz ona nie żyje!“
Rzekł; bieży na stos, upada na zwłokach.
Ginie w płomieniach i dymu obłokach. (30)

EPILOG WYDAWCY.

Czytelniku, jeżeliś przepatrzył cierpliwie
I nie rad snać do końca, czemu się nie dziwię;
Bo w zmudném zaplątaniu, gdy wątku nie schwyta
Podrażniona ciekawość, gniéwa się nie syta.
Za co xiążę sam został, a wyprawił żonę?
Za co śród boju przyniósł niewczesną obronę?
Czy xiężna własną wolą zastąpiła męża?
Przecz Litawor na Niemce jął się do oręża?
Dostatnich odpowiedzi napróżnobyś badał.
Wiédzże: iż autor, co te hystorye składał,
Ile widział, lub słyszał, (był naonczas w mieście)
To pokrótce spisawszy, zamilczał o reszcie.
Niemogąc prawdy zmacać i na jaw wysadzić,
A niechcąc fałszywemi domysłami zdradzić,
Gdy umarł, jam rękopis wziął po nieboszczyku;
A sądząc, iż rad będziesz, miły czytelniku,
Kiedy z ukrycia wyjdą na publiczne oczy,
I koniec się jakkolwiek przycięty dotoczy,
Pytałem Nowogródzian ludzi godnych wiary:
Ale żaden nie wiedział, jeno Rymwid stary:
I ten jak stary, prędko rozstał się z żywotem:
A póki żył, nikomu nie powiadał o tém.
(Snadź w przysiędze uwiązan albo w obietnicy.)
Szczęściem był drugi człowiek świadom tajemnicy,
Giermek xiężnéj, pod onczas we dworcu przytomny;
Ten jako człowiek prostak, mniéj w języku skromny,

Gadał: a jam spisował, widząc iż powieści
Wiążą się do podanéj od autora treści.
Czyli całkiem prawdziwe, trudno dać porękę:
A kto o fałsz pomówi, nie wyzwę na rękę.
Bo tu nic zgoła własną nie nadstarczam głową:
A com z giermka usłyszał, oddam słowo w słowo.
Giermek zaś tak powiadał: Xiężna sfrasowana,
Długo błagała, męża padłszy na kolana,
Ażeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół.
Ale on tak się w gniéwie uporczywy zacioł,
Iż jéj prośby z szyderczém słuchając obliczem,
Nie i nie, odpowiadał, i odprawił z niczém.
Sądziła go przekonać łacniéj w innym czasie:
Roskazała posłańców zatrzymać w tarasie,
Lub za mury wyprawić; wyprawiłem cicho.
Zbłądziliśmy oboje, a stąd całe cicho.
Bo komtur odpowiedzią twardą zagniéwany,
Miasto posiłków, niesie ogień i tarany.
Kiedym o téj nowinie uwiadomił panią,
Biegła znowu do męża; ja zdaleka za nią.
Weszliśmy: ciemno było w komnacie i głucho:
Xiążę strudzony zasnął na oboje ucho;
Stanęła podle łoża, lecz nie śmiała budzić.
Czy niechcąc darmo prosić, czy sennego trudzić.
Ale wrychle na obrót rzuciła się nowy:
Bierze szablę, xiążęcia leżącą u głowy,
Pancérz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach zwiesza:
I lekko drzwi przemknąwszy, na ganek pośpiesza.
Mnie srogo zakazuje o niczém nie gadać.
Koń już był osiodłany kiedy miała wsiadać:
Szabli nie obaczyłem przy jéj prawym boku:
Zapomniała przypasać, lub zgubiła w mroku.
Biegnę, szukam, powracam, aż zamknionо wrota.
Patrzę oknem; niestety! już zą bramą rota.
Strach mię ścisnął, jakobym obzucan żarzewiem:
Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć nie wiém.
Widać blask, i grzmot działa rozlega się w dali:
Zrozumiałem, że z Niemcy bitwę zagajali.
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się s posłania.
Woła, klaszcze i woła; ja drżący ze strachu,
Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu.
Widziałem, jakó szukał oręża i zbroje:
Kołatał we drzwi, skoczył na xiężny pokoje:
Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.
Ja do okna; (a już się zbierało na ranek):
Xiążę spoziera wkoło i nastawia uszy,
I krzyczy, ale w zamku nié ma żywéj duszy.
Po tém na dół, jakoby nieprzytomny sobie
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie;
Wyjechał ku okopom, wstrzymał się u wałów:
Słuchał skąd zgiełk uderza, skąd ogień postrzałów.
A wypuściwszy wodze, lotem błyskawicy

Przez dziedziniec, most, bramę, pędzi ku stolicy.
Ja w oknie patrzę, czekam niecierpliwie końca:
Wszystko ucichło, zgasło koło wschodu słońca.
Wraca Litawor, Rymwid; i Grażynę z łęku
Wysadziwszy omdlałą, dźwigali na ręku.
Strach wspomnieć: kędy stąpią, krwawy strumień pryska:
W pierś ciężko zraniona, i skonania bliska,
Padła niema, to nogi ściskając xiążęce,
To załamane kniemu wyciągając ręce;
„Przebacz, mężu mój, piérwsza i ostatnia zdrada!" —
Xiążę płacze, podnosi: zemdlona upada.
Skonała. Wstał i odszedł, i rękami oczy
Zakrył, i stał. Ja wszystko widziałem z uboczy.
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łoże ciało,
Umknąłem. Wiście wszyscy, co się daléj stało.
Tyle on giermek gadał pod sekretem zrazu,
Lecz ze śmiercią Rymwida minął strach zakazu.
(Bo Rymwid wzbronił o tém przed ludem rozpłatać.)
Wieść tłumiona poczęła coraz szérzéj latać.
Dziś żadnego nieznaidziesz w nowogródzkiéj gminie,
Coby ci nie zanócił piosnki o Grażynie.
Dudarze ją śpiéwają, powtarzają dziéwki,
I dotąd pole bitwy zwą polem *Litewki*.

PRZYPISY HISTORYCZNE.

1. *Zamek na barkach nowogródzkiéj góry.*

Nowogrodek, starożytne miasto w Litwie, niegdyś Jadźwingów, potém Rusinów posiadłość, zburzone przez Tatarów w czasie zagonu Batego; po ich ustąpieniu zajęte znowu przez Erdziwiła Montwiłowica, xiążęcia litewskiego. O tém zajęciu pisze Stryjkowski „a gdy się przeprawili (Litwini) przez Niemen, znaleźli we cztérech miłach górę krasną i wyniosłą, na któréj był piérwéj zamek stołeczny Nowogródek xiążęcia ruskiego, przez Bateja carza zburzony; tam zaraz Erdziwił założył sobie stolicę i zamek znowu zbudował; a osiadłszy i opanowawszy bez rozlania krwie, gdy nie było komu bronić, wielką część ruskiéj ziemi, począł się pisać wielkim xiążęciem nowogródzkim." Kroniki Stryjk. kar. 265. wyd. królewiec. Ruiny zamku dotąd widzieć się dają.

2. *To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków.*

Zakon krzyżacki, zwany zakonem kawalerów szpitalnych, Marianitów, Teutonów, fundowany w Palestynie r. 1190.; wezwany po tém około r. 1230 od xiążęcia mazowieckiego Konrada na obronę Mazowsza od Prusaków i Litwy, stał się po tém najstraszniejszym nietylko pogan, ale i okolicznych krajów chrześcijańskich nieprzyjacielem. Powszechny odgłos ówczesnych dziejopisów wyrzuca zakonowi łakomstwo, okrucieństwo, dumę i małą gorliwość o wiarę chrześcijańską. Biskupi skarżyli się przed Papieżem, że im Krzyżacy przeszkadzają w nawracaniu pogan, wydzierają własności kościelne, uciskają duchowieństwo. Moglibyśmy tu przytoczyć mnogie dowody takowego postępowania, w sprawach tylekroć przed Papieżem i Cesarzem wytaczanych; ale jeśli skargom

strony przeciwnéj ktoś wierzyć nie zechce, umieszczamy słowa bezstronnego kronikarza Jana z Wintertur (Johannes Witoduranus). Ten dziejopis sławiony z rzetelności, nie mający żadnéj do Krzyżaków urazy, a jako Niemiec i duchowny, bynajmniéj na stronę pogan nie uprzedzony, w prostocie ducha barbarzyńską łaciną pisze o Krzyżakach: „his temporibus (a. 1343) Crucigeri dominantes longe lateque in provincia prussena, regni regis Litaoniae, magnam partem per bellum quod sibi (regi) intulerunt auferentes in provinciam redegerunt; quam ut rehaberet (rex) ipsis fidam catholicam recipere firmiter pollicebat, (sic) quod eum facere recusarent, rex litaonice ajebat: „in hoc luculenter comprehendo, quod non meam fidem, sed pecuniam appetunt, et ideo in paganismo perseverabo." De his Crucigeris (verbum lamentabile, et fidei orthodoxae penitus inimicum, quod absit,) enarratur, quod omnes paganos, quos per bella sibi tributarios efficiunt, malunt in suo paganismo remanere, sub eorum tributo, quam a tributo exemptos, ut devote flagitabant vel adhuc hodierna die flagitant, fieri fidei catholicae professores. Famatur etiam ipsos (Crucigeros) non solum terras principum infidelium, sed etiam fidelium invadere." Corpus Historicorum medii aevi, editio Jo. Georg. Eccard Lipsiae p. 1874. Toż po polsku: „Około tych czasów, jakem słyszał z ust godnych wiary, Krzyżacy széroko panujący w Prusach wypowiedziawszy wojnę królowi litewskiemu, gwałtownie wydarli mu część kraju. Ażeby swoje odzyskać, król przyrzekł im wiarę katolicką przyjąć; gdy zaś Krzyżacy obietnicy słuchać nie chcieli, rzekł król po litewsku: „widzę, iż wam nie o wiarę, ale o pieniądze idzie, i dla tego w pogaństwie trwać będę." O tych Krzyżakach twierdzą (rzecz bolesna i wierze katolickiéj, bodaj się nie sprawdziło, wielce szkodliwa), iż wolą, aby poganie podbici zostali w bałwochwalstwie i haracz płacili; aniżeli uwolnieni od haraczu, chrzest przyjęli; o co pobożnie nalegali i nalegają. Jest także wieść, iż oni (Krzyżacy) nietylko ziemie xiążąt pogańskich, ale i chrześcijańskich najeżdżają."

Toż samo o Krzyżakach powiada i wszczegółach opisuje ich okrutne i nieprawe postępowanie s Prusakami i Litwą, pisarz niemiecki August Kotzebue, jakkolwiek sam nieprzyjazny Litwinom i Polakom, w dziele dla historyi litewskiéj bardzo ważném: Preussens ältere Geschichte von August v. Kotzebue 1808. Riga. 4 Bde. Ob. Tom drugi kar. 115: Schilderung der Ordensbrüder in diesem Zeitraum (r. 1312) in kar. 108. Tom drugi k. 60: Schilderung der Preussen nach geendigtem Kriege (r. 1240). Tom trzeci k. 275; Schilderung der Gräuel im Orden während dieses letzen Zeitraums (r. 1435). Niemożna bez wzdrygnienia czytać okrucieństw, jakich się Krzyżacy dopuszczali nad nieszczęśliwym narodem; przytoczymy jeden tylko szczegół. Na końcu jeszcze czternastego wieku, kiedy Prusy całkiém podbite i uspokojone były, mistrz krzyżacki Konrad von Wallenrod, zagniéwany na biskupa Kumerlandzkiego, kazał wszystkim chłopom z jego dyeceszyi prawe ręce poucinać. O czém świadczą Leo, Treter i Łukasz Dawid. Takiemi byli Krzyżacy, zakon z samych Niemców złożony, co nowy powód do zelżywego ich traktowania Sławianom i Litwie dawało. Zdawna psami Niemców przez wzgardę nazywano. I Bandtkie mniemał, że Psiepole Bolesława III. tryumfem pamiętne dla tego tak nazwane, iż tam wiele Niemców (psów) wymarło.

3. *Zarazby w bagnie skapał się ten plucha.*

Nie dziw więc, że Prusacy i pobratymcy ich Litwini czuli wieczną ku Niemcom nienawiść, która stała się wrodzoną prawie ich charakterowi. Za czasów pogańskich, a nawet po przyjęciu chrześcijaństwa, kiedy grzebano Litwina albo Prusaka, płaczkowie śpiéwali nad nim: idź nieboże z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Niemcy tobie panować nie będą, ale ty im. O czém świadczą Bielski i Stryjkowski. Dotąd w głębokiéj Litwie pod panowaniem pruskiém, nazwać wieśniaka Niemcem, jest to zelżyć go najsromotniéj.

4. *A chociaż Niemiec głos ludzki rozumiał.*

Nietylko o charakterze, ale i o rozumie Niemców złe mają wyobrażenie Prusacy i Litwini; przysłowiem jest u nich: głupi jak Niemiec. (Obacz Kotzebue Tom. I. k. 72): „Und weil die Deutschen selten der fremden Sprachen Feinheiten mächtig wurden, so sagten die Preussen auch wohl von einem einfältigen Menschen: er ist so dumm wie ein Deutscher." Ob. też Linde pod wyrazem Niemiec i Rhesa das Jahr in vier Gesängen, aus dem Lithauischen des Christian Donaleitis ins Deutsche übertragen. *)

*) Rhesa podobno teraz professorem w Królewcu, miłośnik starożytności litewskich,

5. *Że Witold pan nasz możny i łaskawy.*

Witold, syn Kiejstuta, jeden z największych mężów, których wydała Litwa. O jego dziełach wojennych i polityce, oprócz narodowych dziejopisów czytać w Kotzebue historyi wyżéj przytoczonéj szczególniéj Tom III. karta 232, tudzież w życiu Świdrygajła: Świdrigail, ein Beitrag zu den Geschichten von Lithauen, Russland, Polen und Preussen, von August v. Kotzebue. Leipzig 1820.

6. *A skoro słońce z szczorsowskiéj granicy*
Piérwszym promykiem grób Mendoga draśnie.

Szczorse, dziedzictwo Chreptowiczów, starożytnéj familii litewskiéj, na wschód Nowogródka położone. Mendog, Mindagos, albo Mindowe, Mindak, Mendulf, Ryngoltowie, wielki xiążę litewski, piérwszy, który Litwę s pod obcego wpływu uwolnioną do znacznéj potęgi wyniósł, i stał się strasznym sąsiadom, przyjął był religiją chrześcijańską i za pozwoleniem Papieża koronował się królem litewskim w Nowogródku r. 1252. Pod Nowogródkiem jest góra, którą zowią dotąd Mendogową, i która ma być grobem tego bohatéra.

7. *A na żwierzynie nie brakło i miodzie.*

Dwa głowne artykuły uczty u Litwinów dawnych.

8. *Ale ja z mistrzem pruskiego zakonu.*

Na czele zakonu niemieckiego czyli krzyżaków był wielki mistrz, obiérany od kapituły: po nim wielki komtur, Tretzler czyli podskarbi zakonu, marszałek czyli hetman i komturowie czyli komandorowie szczególnych konwentów po miastach i zamkach.

---

ogłasza zabytki ich literatury. Przed kilku laty wydał poema Litwina Donalejtysa o cztérech porach roku hexametrem napisane, s przydaniem tłumaczenia niemieckiego i uczonych objaśnień. Wspomnione poema co do rzeczy i pięknego wysłowienia godne pochwały, i stąd jeszcze mieć powinno dla nas szczególny interes, iż jest wiernym obrazem obyczajów ludu litewskiego. Dzięki szanownemu mężowi, który lubo cudzoziemiec, zawstydza rodaków mało dbałych o historyą swojéj ojczyzny.

9. *Wprzód więc nim zajda siedmiorakie gwiazdy.*

Litwini mieli właściwy sobie sposób oznaczania por roku, miesięcy i godzin. (Ob. Kotzebue Tom I. k. 35 do 68): Schilderung des alten Preussens. Konstellacya tu wspomniana w ich języku nazywa się Retis.

10. *Niemców pancernéj trzy tysiące jazdy,*
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.

Wojsko krzyżackie składało się naprzód z samych bratów czyli braci zakonu, giermków i lajków należących do zakonu, rajtarów czyli jazdy, ochotników lub zaciężnych, tudzież piechoty na żołdzie zakonu, zwanéj landsknechty, fussknechty lub knechty.

11. *Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem.*

W każdém prawie opisaniu bitwy dodają kronikarze, iż Niemcy przewyższali Litwę wzrostem i siłą; uderzenia ich kopii trudno było wytrzymać. Kiéjstud, Narymund, lubo dzielni rycerze, w takich pojedynkach z siodła wysadzeni byli.

12. *Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory.*

Topory i maczugi, najstraszniejsza broń Litwinów.

13. *Przecież jeżeli do domowych progów*
Wąż zaproszony gościem od człowieka.

Litwini czcili węże, które po domach oswajali i karmili: najdokładniéj o tém Joannes Lasicius Polonus de diis Samogittarum: „Nutriunt etiam quasi deos penates, nigri coloris obesos et quadrupedes serpentes quosdam, givoitos, vocatos.“ Resp. Polon. et Lithu. ed. Elzevirio-rum p. 309.

Stryjkowski jeszcze widział za czasów swoich zabytki téj czci starożytnéj u Łotyszów; a Gwagnin we wsi Ławaryszkach (Lavariski) o cztéry mile od Wilna.

14. *Znane mi dobrze Witolda umowy.*

Cała mowa Litawora jest wiernym obrazem tego, co podówczas w Litwie udzielać xiążęta o Witoldzie myślili.

15. *Bagna Warega.*

Okolice przyległe morzu wariagskiemu czyli normandskiemu, dzisiejszemu Bałtykowi. Polityką było zdawna wielkich xiążąt litewskich rozsadzać swoich krewnych, prawem lennem w ziemiach na nieprzyjacielu zdobytych. Montwił, Mendog, Giedymin dali tego przykład.

16. *Od fińskich zatok po Chazarów morze.*

Fińskie zatoki, pobrzeża Finlandyi. Morze chazarskie, dzisiaj czarne.

17. *Co jest na Wiłnie lub trockiém jeziorze.*

Troki z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potém dziedzictwem Witołda.

18. *Widziałem piękna dolinę przy Kownie.*

O kilka wiorst od Kowna śród gór ciągnie się dolina, ubarwiona kwieciem i przerznięta strumieniem. Jedno z najpiękniejszych miejsc w Litwie.

19. *Jego jakoby drugiego Mindowc*
Głoszą na ucztach Wajdeloci nasi.

O Mindowie obacz przypisek pod liczbą 6. Wajdelot zob. str. 116.

20. *Nadszedł i s tronu zmiótł Olgierdowica.*

Witołd wypędził z Wilna Skirgajłę, i sam wielkie xięstwo objął.

21. *By jego poseł, jak Krywejty goniec.*

U starożytnych Litwinów był rząd poczęści teokracki. Kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się Kriwe Kriwejto lub Kirwejto. Kronikarze, którzy Litwę od Rzymian lub Greków wyprowadzać chcieli, upatrywali w tytule kapłana wyraz grecki (Kyrios, Kyriótatos.) Mieszkanie tego naczelnika religijnego było niedaleko miasta Romowe w Prusach, gdzie potém wieś Heiligenbeil. Tam pod świętym dębem odbiérał ofiary i stamtąd ogłaszał swoję wolą, rozsyłając po krajn Wajdelotów i Sygonetów, uzbrojonych na znak pełnomocnictwa wielkiego kapłana. Ob. Guagnini Alexandri Rerum polonicarum Tomi III. Francforti 1584. V. II. p. 167. i w zbiorze Elzewirów, p. 321. Kotzebue T. I. p. 81. Cromeri Martini Polonia sive de originibus et rebus gestis Polonorum libri XXX. Coloniae Agripinae a. MDLXXXIV. (libro III. p. 42.)

22. *Często myśliwa na żmudzkim rumaku.*

Konie żmudzkie, na których jazda litewska tyle dokazywała, nie musiały być tak słabe, jakiémi je dziś widzimy. Godna wspomnienia s téj okoliczności dawna piosnka litewska o koniu Kiejstuta (tłumaczenie.)

Wszak nad tatarskie nié ma w świecie koni,
Nad niemiecką nié ma broni;
A z Litwy rodem jest konik Kiejstuta,
Szabla jego w Litwie kuta.
Konik cisawy, niewielkiego wzrostu,
Szabla okuta po prostu.
Za cóż na widok kiejstutowéj burki,
Drżą Niemce i bledną Turki?
Niemiec s Kiejstutem gdy w szable zadzwoni,
Złamie bułat na żelezie;
Han krymskim koniem od żmudzkiéj pogoni
Głowy w hordę nie uwiezie.
Bo gwałt, co ramie na cięcie wytęża,
Przechodzi i do oręża.
Bo serce jeźdca, na wojenném błoniu,
Po połowie bije w koniu.

22. *Osiodłać Hestera.*

Szczególny rodzaj koni żmudzkich, obacz Czackiego o litewskich i polskich prawach T. I. p. 214.

24. *Hop, hop; naprzód, ura!*

„Hop, hop, da stich und poss!" wołali Niemcy na nieprzyjaciół.

25. *Tak ojciec Niemen, gdy rumszyskiego napotka olbrzyma.*

Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa w Niemnie, żegludze niebezpieczna, zwana olbrzym.

26. *Kędy świątynie miał władzca pioruna,*
I bóg, co wichrem niepogodnym świszcze.

Perkunas, bóg piorunu, czczony w Litwie; i Pochwist, bóg niepogody, u Rusi. Dotąd pokazują w Nowogródku miejsce, gdzie miały stać tych bóstw świątynie, a gdzie teraz kościół XX. Bazylianów.

27. *Krzyżacki braniec na dzielnym rumaku.*

Brańców wojennych, szczególniéj Niemców, Litwini palili na ofiarę bogom. Przeznaczano do tego obrzędu wodza, lub znaczniejszego z rodu i męstwu rycerza; jeśli kilku dostało się w niewolą natenczas losem wyciągano nieszczęśliwą ofiarę. Po zwycięstwie naprzykład Litwy r. 1315. nad Krzyżakami, Stryjkowski powiada: „A Litwa i Żmudź za to zwycięstwo i za hojne łupy z nieprzyjaciół pogromionych i pobitych złupione, gdy bogom swoim ofiary i zwykłe modły czynili, jednego zacnego Krzyżaka imieniem Gierarda Ruddę, wojta albo starostę ziemie sambijskiéj, z więźniów przedniejszego, s koniem, na którym wojował, i z zbroją, w któréj był ubrany i z bronią żywego na wyniosłym stosie drew spalili, i z dymem duszę do nieba, a ciało s perzynami na powietrze posłali.” Stryjkowskiego kron. k. 391 wyd. królewiec.

Przy końcu tegoż wieku, Prusacy już ochrzceni, zbuntowawszy się i zbiwszy 4000 Niemców, komtura memelskiego poimali i spalili. Ob. Lucas Dawid. k. 2156.

28. *Rycerze na stosie*
Składają ciało, mléko i miód leją.

Zwyczaj palenia ciał, wspólny wielu narodom starożytnym, był téż w Litwie zachowywany aż do przyjęcia chrześcijaństwa. Kronikarze i w tém znajdowali dowód pochodzenia Litwy od Greków lub Rzymian. Obrzędy pogrzebowe nie raz széroko opisuje Strykojwski, szczególniéj po zgonie sławnego Kiejstuta. „Ciało jego (Kiejstuta) Skirgajło, brat Jagiełłów, do Wilna uczciwie obyczajem xiążęcym przyprowadził, a uczyniwszy wielki stos z drew suchych na zgliskach wileńskich, według zwyczaju ojczystego pogańskiego, zgotowali wszystkie potrzeby do palenia ciała; tamże ubrawszy go we zbroję i w szaty xiążęce, s szablą, z włócznią i z sajdakiem, włożyli go nas stos drew, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, sokołów i wyżłów, paznogcie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwską; potém uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary, i wyśpiéwawszy dzielności jego, co za żywota czynił, zapalili on stos drew smolny, i tak wszystko ciało zgorzało, popiół potém i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali; a to było dokonanie i pogrzeb sławnego xiążęcia Kiejstuta.” (Kar. 467.)

29. *Niewiasta z wdzięków, a bohatér z ducha.*

Charakter i działanie Grażyny mogą się zdawać zbyt romansowe, i z obyczajami owoczesnémi niezgodne; dziejopisowie albowiem niepochlebnemi kolorami malują stan niewiast w Litwie starożytnéj. To nieszczęśliwe ofiary przemocy i ucisku żyły w pogardzie, wskazane na służbę prawie niewolniczą. Ale z drugiéj strony u tychże dziejopisów znajdujemy całe przeciwne podania. I tak na chorągwiach pruskich i na monetach starożytnych widziano, jak świadczy Schütz (Kotzebue „Beläge und Erläuterungen” T. I. p. 291.), niewiastę w koronie; skądby wnosić można, iż kiedyś niewiasta panowała w tym kraju. Pewniejsze daleko, bo aż do poźnych czasów dochodzą powieści, o sławnych ubóstwionych kapłankach; o Gezanie i Kadynie, których szaty i relikwie długo jeszcze w kościołach chrześcijańskich zachowywane były. Słyszałem od świadomego dziejów narodowych P. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza Wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które po wyjściu mężów na wojnę, same murów broniły; a niemogąc oprzéć się nieprzyjaciołom, przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolą. Coś podobnego wspomina Kromer (Polonia sive etc. p. 206.) o zamku Pullen. Sprzeczności te pogodzić się dadzą, jeśli zważymy, iż ród litewski składał się z dwóch oddawna razem zamieszkałych, ale zawsze nieco różniących się pokoleń, tojest s krajowców (autochtonów) i przychodniów, jak się zdaje, Normandów; ci ostatni zachowali zapewne wrodzone ku płci pięknéj uczucia szacunku i przywiązania. Jakoż podług dawnych praw czyli zwyczajów litewskich, żony s tego obcego pokolenia zaszczycane były szczególnemi od mężów względami. Nadto pogarda ku niewiastom i ich upodlenie zdaje się, iż tylko w czasach najdawniejszych i zupełnie barbarzyńskich

miało miejsce. Następnie zaś, a mianowicie w wieku, w którym przypuszczamy akcyą téj powieści, duch rycerski i prawie romansowy przebija się coraz bardziéj. Wiadomo, jak dzielny i surowy wojownik Kiejstut czule kochał swoję Birutę, którą, bogom poświęconą, narażając się na niebezpieczeństwo porwał, i s prostego stanu xiężną uczynił; jak małżonka Witolda zręcznie i śmiało męża z więzienia i od bliskiéj śmierci uwolniła.

30. *Ginie w płomieniach i dymu obłokach.*

Zgon Litawora wymyślony jest stósownie do obyczajów dawnych. Litwini w ciężkiéj chorobie lub w wielkiém nieszczęściu, zwykli byli żywcem palić się w domach. Najpiérwszy ich król i arcy-kapłan Wajdewutas i jego następcy, na stosach dobrowolną śmiercią pospolicie żywot kończyli. Takowe samobójstwo w mniemaniu ich bardzo zaszczytném było.

DZIADY.

POEMA.

DZIADY.

Jest to nazwisko uroczystości obchodzonéj dotąd między pospólstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandyi na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś ucztą kozła, na któréj przewodniczył Koźlarz, Huslar, Guslarz, razem kapłan i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach, ponieważ światłe duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj połączony z zabobonnémi praktykami, i zbytkiem częstokroć nagannym; pospólstwo więc święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania zmarłych, zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim, w dawnéj Grecyi za czasów homerycznych w Skandynawii, na wschodzie, i dotąd po wyspach nowego świata. Dziady nasze mają to szczególnego, iż obrzędy pogańskie pomieszano z wyobrażeniami religii chrześcijańskiéj; zwłaszcza, iż dzień zaduszny przypada około czasu téj uroczystości. Pospólstwo rozumié, iż potrawami, napojem i śpiéwami przynosi ulgę duszom czyscowym. Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojéj imaginacyi; słuchałem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach, powracających s prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie moralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu; śpiéwy zaś obrzędowe, gusła i inkantacye, są powiększéj części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnéj poezyi wzięte.

UPIOR.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!
Cóż to za człowiek? Umarły.

Patrz, duch nadziei, życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków użycza,
Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem,
Na świecię znowu, ale nie dla świata;
Czémże ten człowiek? Upiorem.

Ci, którzy bliżéj cmentarza mieszkali,
Wiedzą, iż upior ten co rok się budzi,
Na dzień zaduszny mogiłę odwali,
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą opadły na sile,
S piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku,
Żyją co byli na jego pogrzebie;
Słychać, iż zginął w młodocianym wieku,
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał;
Niedawno jeden zakrystyan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upior, skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił,
Załamał ręce i usty chłodnemi
Takową skargę wyrzucił:

„Duchu przeklęty! po co śród parowu
Nieczułéj ziemi ogień życia wzniécasz?
Blasku przeklęty zagasłeś, i znowu,
Po co mi znowu przyświécasz?

O sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć;
I com ucierpiał, to cierpieć co roku,
I jakem skończył, zakończyć.

Żebym cię znalazł, muszę między zgrają
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia;
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają.
Wszystkiegom doznał za życia.

Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa,
Słyszałem co dzień i musiałem co dzień,
Milczéć jak deska grobowa.

Śmiali się niegdyś przyjaciele młodzi;
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;
Starszy ramieniem ściska i odchodzi,
Lub mądrą nudzi mię radą.

Śmieszków i radców zarówno słuchałem
Choć i sam może nie lepszy od drugich,
Sambym się gorszył zbytecznym zapałem,
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

Ktoś inny myślał, że obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitéj dumie,
Przecież ulegał grzeczności, potrzebie,
Udawał, że nie rozumie.

Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczéć umiém:
Mówiłem gwałtem, a gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiém.

Ale kto nie mógł darować mi grzéchu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma;
Niechętne lica gwałci do uśmiéchu,
I litość kłamie oczyma.

Takiemu tylko nigdym nie przebaczył,
Wszakżem skargami nigdy ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiéch okazał.

Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę s pod cieni;
Jedni mię będą exorcyzmem chłostać,
Drudzy ucieką zdziwieni.

Ten dumą śmieszy, ten litością znudzi,
Inny szyderskie oczy zechce skrzywić.
Do jednej idąc, za cóż tyle ludzi,
Muszę obrażać, lub dziwić?

Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiéch litościwemu.
Tylko o luba! tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu.

Spojrzyj i przemów, daruj małą winę,
Że śmiém do ciebie raz jeszcze powrócić.
Mara przeszłości, na jednę godzinę
Obecne szczęście zakłócić.

Wzrok twój nawykły do świata i słońca,
Może się trupiéj nie ulęknie głowy,
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowéj dosłuchać mowy.

I ścigać myśli po przeszłych obrazach
Błądzące, jako pasorzytne ziele,
Które śród gmachu starego po głazach
Rospierzchłe gałązki ściele."

DZIADY.

CZĘŚĆ II.

GUSLARZ — STARZEC PIERWSZY Z CHORU — CHÓR WIEŚNIAKÓW I WIEŚNIACZEK — KAPLICA — WIECZÓR.

There are more Things in Heaven and Earth.
Than are dreamt of in our Phylosophy.
Shakespeare.

Są dziwy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Zamknijcie drzwi od kaplicy,
I stańcie dokoła trumy:
Żadnéj lampy, żadnéj świécy,
W oknach zawieście całuny.
Niech xiężyca jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Czyscowe duszeczki!
W jakiéjkolwiek świata stronie;
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszéj kary
W surowém wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie;
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Podajcie mi garść kądzieli,
Zapalam ją; wy s pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go lekkim oddechem.
O tak, o tak, daléj, daléj,
Niech się na powietrzu spali.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Naprzód wy z lekkiémi duchy,
Coście śród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu,
Zabłysnęli i spłonęli,
Jako ta garstka kędzieli,
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy;
Tego lekkim, jasnym znakiem,
Przyzywamy, zaklinamy;

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUSLARZ.

Patrzcie, ach patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto złocistemi pióry
Trzepioce się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

GUSLARZ I STARZEC.

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK (*do jednéj z wieśniaczek*).

Do mamy lecim, do mamy.
Cóż to mamo, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiéj, niż u mamy.
Patrz jakie główki w promieniu,
Ubior z jutrzenki światełka,
A na obojém ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Codzień, to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotkniem, rozkwita kwiatek.

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga.
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR.

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga.
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

GUSLARZ.

Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mléczko,
I owoce i jagodki.
Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK.

Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi,
Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojém życiu całém
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię, wszystko caca.
Śpiéwać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki;
Oto była moja praca,
A jéj praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady,
Nie dla modłów i biesiady,
Niepotrzebna msza ofiarna:
Nie o pączki, mléczka, chrósty;
Prosim o pieprzu dwa ziarna;

A ta usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

GUSLARZ.

Aniołku! duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie.
To ziarneczko, to ziarneczko.
Teraz z Bogiem idzcie sobie.
A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha.
Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcie nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha.
Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcież nas w pokoju.
A kysz, a kysz! (*Widmo znika.*)

GUSLARZ.

Już straszna północ przybywa,
Zamykajcie drzwi na kłódki;
Weźcie smolny pęk łuczywa,
Stawcie w środku kocioł wódki.
A gdy laską skinę zdala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jużem gotów.

GUSLARZ.

Daję hasło.

STARZEC.

Buchnęło, zawrzało
I zgasło.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Daléj wy z najcięższym duchem,
Coście do tego padołu
Przykuci zbrodni łańcuchem
Z ciałem i z duszą pospołu.
Choć zgon lepiankę roskruszy,
Choć was anioł śmierci woła;
Żywot s cielesnéj katuszy,
Dotąd wydrzéć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą,
I zbawić piekielnéj jamy,
Któréj jesteście tak blisko;
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?

GŁOS (*za oknem.*)

Hej kruki, sowy, orlice!
O wy przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki.

GUSLARZ.

Wszelki duch! jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu wybladły;
Patrzcie! patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy nad głowę wysiadły,
Świécą jak węgle w popiele.
Włos rozczochrany na czele.
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska;
Tak od potępieńca głowy
S trzaskiem sypią się iskrzyska.

GUSLARZ I STARZEC.

A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska;
Tak od potępieńca głowy
S trzaskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO (*z a okna*).

Dzieci! nie znacie mnie dzieci?
Przypatrzcie się tylko zbliska,
Przypomnijcie tylko sobie
Ja nieboszczyk pan wasz dzieci!
Wszak to moja była wioska.
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach zbyt ciężka ręka boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie.
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę szukając nocy;
A uciekając od słońca,
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędom końca.
Wiecznych głodów jestem pastwą;
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;
A któż będzie mój obrońca?
Niémasz, niemasz mękom końca!

CHÓR.

Szarpie go żarłoczne ptastwo,
A któż mu będzie obrońca?
Niémasz, niemasz mękom końca!

GUSLARZ.

A czegoż potrzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czy o poświęcone gody!
Jest dostatkiem mléka, chleba,
Są owoce i jagody.
Mów, czego trzeba dla duszy,
Aby się dostać do nieba?

WIDMO.

Do nieba?... bluźnisz daremnie...
O nie! ja nie chcę do nieba;
Ja tylko chcę, żeby ze mnie
Prędzéj się dusza wywlekła.
Stokroć wolę pójść do piekła,
Wszystkie męki zniosę snadnie;
Wolę jęczeć w piekle na dnie,
Niż z duchami nieczystemi
Błąkać się wiecznie po ziemi,
Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiątki dawnéj szkarady;
Od wschodu aż do zachodu,
Od zachodu aż do wschodu
Umiérać s pragnienia, z głodu,
I karmić drapieżne ptaki.
Lecz niestety! wyrok taki,
Ze dopóty w ciele muszę
Potępioną włóczyć duszę;
Nim kto z was, poddani moi,
Pożywi mię i napoi.

Ach jak mnie pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach gdybyście mnie podali,
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR.

Ach jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach gdybyśmy mu podali,
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH.

Darmo żebrze, darmo płacze:
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś panku sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem;
Ziemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej sowy, puhacze, kruki,
Szponami, krzywemi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię:
Dostanę aż do wątroby.

Nie znałeś litości panie!
Hej sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świécą kości.

KRUG.

Nie lubisz umiérać z głodu!
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni;
Trzy dni nic nie miałem w ustach,
Otrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik skryty w chrustach
Zaraz narobił hałasu,

I poszczuł psami jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa,
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
„Potrzeba dać przykład grozy.“
Zbiegł się lud s całego sioła,
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy.
Każdą kość, jak s kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry mojéj odbito!
Nie znałeś litości panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki;
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świécą kości!

SOWA.

Nie lubisz umiérać z głodu!
Pomnisz, jak w kucyą samą,
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecięciem pod bramą.
Panie! wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami!
Mąż mój już na tamtym świecie,
Córkę zabrałeś do dwora,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecie.
Panie, daj nam zapomogę,
Bo daléj wyżyć nie mogę!

Ale ty panie bez duszy!
Hulając w pijanéj ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś s cicha:
„Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha.“
Posłuchał hajduk niecnota,
Za włosy wywlekł za wrota!
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleść noclegu;
Zmarzłam z dziecięciem na drodze.
Nie znałeś litości panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świécą kości.

WIDMO.

Nié ma, nié ma dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze,
Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!

Tak, muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia boże!
Bo kto był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże,

CHÓR.

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia boże!
Bo kto nie był nie razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUSLARZ.

Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz nieboże.
A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju.

A kysz, a kysz! (*Widmo znika.*

GUSLARZ.

Podajcie mi przyjaciele,
Ten wianek na koniec łaski.
Zapalam święcone ziele,
W górę dymy, w górę blaski!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Teraz wy pośrednie duchy,
Coście u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Zyłyście z ludźmi pospołu;
Lecz od ludzkiéj wolne skazy,
Zyłyście nie nam, nie światu,
Jako te cząbry i slazy.
Ni z nich owocu, ni kwiatu.
Ani się ukarmi zwierze,
Ani się człowiek ubierze.
Lecz w wonne skręcone wianki
Na ścianie wiszą wysoko.
Tak wysoko o ziemianki,
Była wasza pierś i oko!
Która dotąd czystém skrzydłem
Niebieskiej nie przeszła bramy;
Was tém światłem i kadzidłem
Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUSLARZ.

A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać;
Tak ona świéci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUSLARZ i STARZEC.

Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

Duo.

GUSLARZ i DZIEWCZYNA.

GUSLARZ.

Na głowie ma krasny wianek,
W ręku zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Woła: baś, baś mój baranku.
Baranek zawsze zdaleka:
Motylka rózeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni;
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Na głowie mam krasny wianek,
W ręku zielony badylek,
Przede mną bieży baranek,
Nade mną leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Wołam: baś, baś mój baranku.
Baranek zawsze zdaleka:
Motylka rózeczką gonię,
I już, już, chwytam go w dłonie;
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Arya.

Tu niegdyś w wiosny poranki
Najpiękniejsza s tego sioła,
Zosia pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.

Oleś za gołąbków parę,
Chciał raz pocałować w usta;
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce;
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la.

Recitativo.

Tak jest Zosia ja była, dziewczyna
s téj wioski,
Imie moje u was głośne.
Że chociaż piękna, nie chciałam zamęścia,
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam nie znając troski,
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie; lecz ach! nie dla świata!
Myśl moja nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiéj nie spoczęła błoni.
Za lekkim zafirkim goni,
Za muszką, za krasnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem;
Ale nigdy za kochankiem.
Pieśni i lietów słuchałam rada:
Często kiedy sama pasę,
Do tych pastérzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnego nie kochałam.
Za to po śmierci nie wiém, co się ze mną dzieje,
Nieznajomym ogniem pałam;
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli,
Jakie chcę wyrabiam cuda.
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przezroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki.
Przecież nie wiém, skąd ta nuda:
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem pomiata.
Nie wiém, czy jestem s tego, czy s tamtego świata.
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwéj fali
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

CHÓR.

Tak pośród pierzchliwéj fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi nie może.

GUSLARZ.

Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga,
Czy o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko,
I owoce i jagódki.
Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi.
Bo słuchajcie i zważcie tu siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu.
Ten nigdy nie może być w niebie.

GUSLARZ (*do kilku wieśniaków*).

Darmo bieżycie; to są marne cienie,
Darmo rączki ściąga biédna,
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.
Lecz nie płacz piękna dziewico.
Oto przed moją źrzenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,
A po tém staniesz za niebieskim progiem.
Dziś modlitwa nic nie zjedna.
Leźże sobie s Panem Bogiem.
A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,

Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz! (*Dziewicaznika.*)

GUSLARZ,

Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą zosobną,
Ostatnim wołam rozkazem!
Dla was ta biesiada drobna;
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR.

Bierzcie, czego któréj braknie,
Która pragnie, która łaknie.

GUSLARZ.

Czas odemknąć drzwi kaplicy,
Zapalcie lampy i świécy.
Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara;
Czas przypomnieć ojców dzieje,
Stójcie ....

CHÓR.

Cóż to?

GUSLARZ.

Jeszcze mara!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ (*do jednéj z wieśniaczek*).

Pasterko, ot tam w żałobie...
Wstań, bo czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! patrzajcie dla Boga!
Wszak to zapada podłoga,
I blade widmo powstaje;
Zwraca stopy ku pasterce,
I stanęło tuż przy boku.
Zwraca lice ku pasterce,
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku.
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jéj oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga:
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga.
Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR.

Co to jest, nie zgadniem wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUSLARZ.

Czego potrzebujesz duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mléka, chleba,
Są owoce i jagody.
Czego potrzebujesz duchu młody,
Żeby się dostać do nieba? (*Widmo milczy.*)

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

Odpowiadaj maro blada!
Cóż to, nic nie odpowiada?

CHÓR.

Cóż to, nic nie odpowiada?

GUSLARZ.

Gdy gardzisz mszą i piérogiem,
Idźże sobie s Panem Bogiem;
A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz! (*Widmo stoi.*)

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha,
W imie Ojca, Syna, Ducha!

Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

GUSLARZ.

Przebóg! cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR.

Nie odchodzi i nie gada!

GUSLARZ.

Duszo przeklęta, czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto roztwarta podłoga,
Kędy wszedłeś, wychódź tędy.
Bo cię przeklnę w imie Boga. (*po paucie.*)
Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki! (*Widmo stoi.*)
Przebóg! cóż to za szkarada?
I milczy i nie przepada!

CHÓR.

I milczy i nie przepada!

GUSLARZ.

Darmo proszę, darmo gromię,
On się przekleństwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza...
Nie pomaga i kropidło!
Bo utrapione straszydło
Jak stanęło, tak i stoi,
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

CHÓR.

Bo utrapione straszydło
Jak stanęło, tak i stoi,
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.
Ciemno wszędzie, głucho w szędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUSLARZ.

To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
Wtem są jakieś straszne rzeczy.
Po kim ty nosisz żałobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Cóż to! nie mówisz i słowa?
Spojrzyj, odezwij się przecię!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegoż uśmiéchasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓR.

Czegoż uśmiéchasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

GUSLARZ.

Daj mnie stułę i gromnicę,
Zapalę, jeszcze poświęcę.
Próżno palę, próżno święcę,
Nie znika przeklęta dusza.
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę.
Czegóż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR,

Czegoż oglądasz sie? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

GUSLARZ.

Przebóg, widmo kroku rusza!
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie..
Co to będzie, co to będzie?

CHÓR.

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie.
Co to będzie, co to będzie?

DZIADY.

CZĘŚĆ IV.

MIESZKANIE XIĘDZA — STÓŁ NAKRYTY; TYLKO CO PO WIECZERZY — XIĄDZ — PUSTELNIK — DZIECI — DWIE ŚWIECE NA STOLE — LAMPA PRZED OBRAZEM NAJŚWIĘTSZÉJ PANNY MARYI — NA ŚCIANIE ZEGAR BIJĄCY.

Ich hob alle mürbe Leichenschleier auf, die in Särgen lagen — ich entfernte den erhabenen Trost der Ergebung, bloss um mir immer fort zu sagen: „ach so war es ja nicht! Tausend Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Grüfte und stehst allein hier und überrechnest sie!" — Dürftiger! Dürftiger! schlage nicht das ganze zerrissene Buch der Vergangenheit auf! . . . Bist du noch nicht traurig genug?

JEAN PAUL.

XIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz po powszednim chlebie;
Klęknijcie przy mnie dokoła,
Podziękujmy ojcu w niebie.
Dzień dzisiejszy kościół święci
Za tych spółchrześcian dusze,
Którzy s pomiędzy nas wzięci
Czyscowe cierpią katusze.
Za nich ofiarujmy Bogu
(*rozkłada xiążkę*)
Oto stosowna nauka.
(*Dzieci czytają.*)
Onego czasu...

XIĄDZ.

Kto tam? kto tam stuka?

PUSTELNIK.

(*wchodzi ubrany dziwacznie*).

DZIECI.

Jezus, Marya!

XIĄDZ.

Któż to jest na progu?
(*zmieszany.*)
Ktoś ty taki?... po co?... na co?

DZIECI.

Ach trup, trup! upiór, ladaco!
W imie Ojca!... zgiń, przepadaj!

XIĄDZ.

Ktoś ty bracie? odpowiadaj.

PUSTELNIK (*powolnie i smutnie*).

Trup... trup!... tak jest moje dziecię.

DZIECI.

Trup... trup... ach! ach! nie bierz tata!

PUSTELNIK.

Umarły!... o nie! tylko umarły dla świata!
Jestem pustelnik, czy mnie rozumiecie?

XIĄDZ.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję z bliska,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w téj stronie.
Powiédz mój bracie, jakiegoś ty rodu?

PUSTELNIK.

O! tak, tak, byłem tutaj... o dawno! za młodu!
Przed śmiercią!... będzie trzy lata!
Lecz co tobie do mego rodu i nazwiska?
Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie;
Pytają ludzie, kto zeszedł ze świata?
(*udając dziada.*)
A na co ta ciekawość? zmów tylko pacierze.
Otóż ja także umarły dla świata.
Na co tobie ciekawość, zmów tylko pacierze.
Nazwiska, (*patrzy na zegar.*) jeszcze rano... powiedzieć niemogę;
Idę z daleka, nie wiém, s piekła, czyli z raju,
I dążę do tegoż kraju.
Mój xięże pokaż, jeśli wiész, drogę!

XIĄDZ (*łagodnie z uśmiéchem*).

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(*poufale.*)

My xięża tylko błędne prostujemy ścieszki.

PUSTELNIK (*z żalem*).

Inni błądzą, xiądz w małym, ale własnym domu,
Czy to na wielkim świecie pokój, lub zamieszki;
Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie,
O nic nie dbasz, usiadłszy z dziećmi przy kominie.
A ja się męczę, w słotnéj, ciemnej porze!
Słyszysz jaki szturm na dworze?
Czy widzisz łyskanie gromu? (*ogląda się.*)
Błogosławione życie w małym własnym domu!
(*śpiéwa.*)
Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy, *)
W cichym własnym domu!
(*śpiéwa.*)
S pałaców stérczących dumnie **)
Znijdź piękna do mojéj chatki;
Znajdziesz u mnie świéże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie.
Widzisz ptaszął zalecanki,
Słyszysz srébrny szmer strumyka;
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika.

XIĄDZ.

Kiedy tak chwalisz mój dom i kominek,
Patrz oto ogień służąca nakłada,
Siądź i pogrzéj się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK

Pogrzéj się! dobra xięże, arcy przednia rada!
(*śpiéwa pokazując na piersi.*)
Nie wiész jaki tu żar płonie,
Mimo dészczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nie raz chwytam śniegu, lodu,
Na gorącém cisnę łonie;
I śnieg tonie, i lód tonie,
S piersi moich para bucha,
Ogień płonie!
Stopiłby kruszcze i głazy,
Gorszy niż ten tysiąc razy, (*pokazując kominek.*)
Milion razy.
I śnieg tonie, i lód tonie,
S piersi moich para bucha,
Ogień płonie

XIĄDZ (*na stronie*).

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.
(*do pustelnika.*)
Jednak do nitki przemoczony wszystek,
Zbladłeś, przeziąbłeś strasznie, drzysz jak listek.
Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK.

Kto jestem... jeszcze rano... powiedzieć nie mogę.
Idę z daleka, nie wiém, s piekła, czyli z raju.
A dążę do tegoż kraju,
Tymczasem małą dam tobie przestrogę.

XIĄDZ (*na stronie*).

Trzeba z nim widzę innego sposobu.

PUSTEŁNIK.

Pokaż.., wszak dobrze wiész do smierci drogę?

XIĄDZ.

Dobrze, gotowém na wszelkie usługi:
Lecz od twojego wieku aż do grobu,
Gościniec jest arcy długi.

PUSTETNIK (*spomieszaniem i smutnie sam do siebie*).

Ach tak prędko przebiegłem gościniec tak długi!

*) Pieśń gminna. **) S Szyllera.

XIĄDZ.

Dla tego jesteś znużony i chory.
Posil się: wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK (*z obłąkaniem*).

A potém pojdziem?

XIĄDZ (*z uśmiéchem*).

Zróbmy na drogę przybory.
Czy dobrze?

PUSTELNIK (*z roztargnieniem i nieuwagą.*)

Dobrze.

XIĄDZ.

Chodźcie dzieci moje!
Oto mamy w domu gościa;
Nim ja powrócę, bawcie jegomościa.
(*odchodzi.*)

DZIECKO (*oglądając*).

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?
Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce.
Z różnych kawałków sukmany.
Na skroniach trawa i liście;
Wytarte płótno, przy pięknéj kitajce?
(*postrzega sztylet, pustelnik chowa*).
Jaka to na sznurku blacha?
Różne paciorki, wstążek okrajce?
Cha cha cha cha!
Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!
Cha cha cha cha.

PUSTENIK (*zrywa się i jakby przypomina się*).

O dziatki, wy się ze mnie śmiać niepowinniście!
Sluchajcie, znałem pewną kobiétę za młodu,
Tak jak ja nieszczęśliwą, s takiego powodu;
Miała takąż sukienkę i na głowie liście.
Gdy weszła do wsi, cała wieś nawałem,
Urągając się z jéj biedy,
Pędzi; śmieje się, wykrzyka,
Podrzyźnia, palcem wytyka;
Ja się raz tylko zaśmiałem!
Kto wié, jeśli nie za to?... słuszne sądy Boże!
Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,
Ze ja podobną sukienkę włożę?
Ja byłem taki szczęśliwy!
(*śpiéwa.*)
Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.

XIĄDZ (*przychodzi z winem i talerzem*).

PUSTELNIK (*z wymuszoną wesołością*).

Xięże, a lubisz ty smutne piosenki?

XIĄDZ

Nasłuchałem ich w życiu dosyć Bogu dzięki!
Lecz nie traćmy nadziei, po smutkach wesele.

PUSTELNIK (*śpiéwa*).

A odjechać od niéj nudno,
A przyjechać do niéj trudno! *)
Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

XIĄDZ.

No! Potém o tém, teraz zajrzymy do misy.

PUSTELNIK.

Prosta pieśń! o! w romansach znajdziesz lepszych wiele!
(*z uśmiéchem biorąc xiążki z szafy.*)
Xięże, a znasz ty żywot Heloisy?
Znasz ogień i łzy Wertera?
(*śpiéwa.*)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem, **)
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.
(*dobywa sztylet.*)

*) S pieśni gminnéj. **) Z Göthego.

XIĄDZ (*wstrzymuje*).

Co to ma znaczyć? . . . szalony! czy można?
Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.
Jesteś ty chrześcianin? taka myśl bezbożna!
Znasz ty ewanielią?

PUSTELNIK.

A znasz ty nieszczęście?
(*chowa sztylet.*)
Ale dobrze! nie trzeba chwytać się przed porą,
(*patrzy na zegar.*)
Skazówka na dziewiątéj i trzy świéce górą?
(*śpiéwa.*)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
T obrazę krwią okupię moją.

Za coś dla mnie tyle ulubiona?
Za com s twojém spotkał się wejrzeniem?
Jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona,
I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach jeśli ty Göthego znasz w oryginale,
Gdyby przytém jéj głosek i dźwięk fortepianu!
Ale cóż! ty o boskiéj tylko myślisz chwale,
Oddany twego tylko powinnościom stanu.
(*przerzucając xiążkę.*)
Wszakże lubisz xiążki świeckie? . . .
Ach te to są xiążki zbójeckie! (*ciska xiążkę.*)
Młodości mojéj niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł,
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem na dół skręcić lotu.
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł.
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniéj natury,
Szukałem, ach szukałem téj boskiéj kochanki,
Któréj na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnéj pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.
Lecz gdy w czasach tych zimnych nié ma ideału,
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki,
Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,
Goniąc i błądząc w błędach nieznużony goniec?
Wreszcie napróżno zbiegłszy kraj daleki,
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie!
I znalazłem ją nakoniec!
Znalazłem ją blisko siebie,
Znalazłem ją! . . . ażebym utracił na wieki!

XIĄDZ.

Podzielam twoią boleść nieszczęśliwy bracie!
Lécz może jest nadzieja? są różne sposoby.
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK.

Choroby?

XIĄDZ.

Czy już dawno płaczesz po twéj stracie?

PUSTELNIK.

Jak dawno? dałem słowo, powiedzieć nie mogę.
Kto inny powié tobie. Mam ja towarzysza,
Zawzdy z nim razem odbywamy drogę!
(*ogląda się.*)

Ach tu tak ciepło, wygodna zacisza;;
A na podworzu wicher, gromy, burza sroga!
Mój towarzysz zapewne biédny drzy u proga!
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,
Dobry xięże i jego przyjmij na gospodę.

XIĄDZ.

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK.

Ale stój, stój mój bracie, ja sam go przywiodę. (*odchodzi.*)

DZIÉCIĘ.

Cha cha cha! tato, co się jemu dzieje?
Biega i gada ani to, ani owo.
Jakie dziwaczne upiory!

XIĄDZ.

Dzieci, będzie ten płakał co się s płaczu śmieje!
Nie śmiejcie się! to człowiek bardzo biédny, chory.

DZIECI.

Chory? a on tak biega wygląda tak zdrowo!

XIĄDZ.

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK (*ciągnąc gałąź jedliny.*)

Chodź bracie, chodź tu!...

XIĄDZ (*do dzieci.*)

On ma rozum pomieszany.

PUSTELNIK (*do jodły.*)

Chodź bracie nie lękaj się dobrego xiężyny.

DZIECI.

Tato! ach patrzaj, co on w ręku niesie!
Jak zbójca z wielką gałęzią jedliny.

PUSTELNIK (*do xiędza ukazując gałąź.*)

Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie!
Może cię zdziwia jego postać?

XIĄDZ.

Czyja?

PUSTELNIK.

Mojego przyjaciela.

XIĄDZ.

Jako? tego kija?

PUSTELNIK.

Niezgrabny, jak mówiłem, wychowany w lesie;
Przywitaj się! (*podnosi gałąź.*)

DZIECI.

Co robisz? Co robisz? ach zbójca!
Pójdźże precz rozbójniku, nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK.

O prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca!
Ale on tylko sam siebie rozbija!

XIĄDZ.

Upamiętaj się bracie; do czego ta jodła?

PUSTELNIK.

Jodła? a xiądz uczony! o głowo ty głowo!
Przypatrz się lepiéj, poznaj gałąź cyprysową;
To pamiątki, rozstania mego losu godła.
(*bierze xiązki.*)
Weź xięgę, i odczytaj dzieje zeszłych wieków;
Dwie były poświęcone krzewiny u Greków.
Kto kochał, od swéj lubéj ukochany wzaiem,
Błogie włosy mirtowym przyozdabiał maiem. (*po pauzie.*)
Jéj ręką ułamana gałąź cyprysowa,

Zawsze mi przypomina ostatnie: „bądź zdrowa!"
Przyjąłem ją, schowałem, dotąd wiernie służy;
Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.
Jéj płacz mój nie rozśmiésza i skarga nie nudzi;
Jedna mi pozostała, s przyjaciół tak wielu!
Wszystkie tajniki serca mojego posiada;
Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj przyjacielu:
Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada. (*do gałęzi.*)
Powiédz, jak dawno płaczę lubéj straty;
Dawno to być musiało! przed dawnemi laty!
Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jéj ręki,
Był to listeczek taki, ot taki maleńki;
Zaniosłem, posadziłem na piasku, daleko...
I gorącą łez moich polewałem rzeką.
Patrz jaka z liścia gałązka urosła,
Jaka gęsta i wyniosła!
Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,
Niechcąc na zagniewane poglądać niebiosa,
Okryłem moj grobowiec cieniem tych warkoczy.
(*z łagodnym uśmiéchem.*)
Ach taki właśnie był kolor jéj włosa,
Jak te cyprysu gałąski!
Chcesz, pokażę. (*szuka i ciągnie od piersi.*)
Nie mogę odpiąć téj zawiązki.
(*coraz z większém sileniem się.*)
Zawiązka miękka... z warkocza dziewicy...
Lecz skorom tylko położył na łonie,
Opasała mię wkoło nakształt włosiennicy;
Pierś przejada... w ciało tonie!...
Tonie, tonie, i wkrótce przetnie mi oddechy!
Wiele cierpię! ach! bo téż wielkie moje grzechy!

XIĄDZ.

Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy!
Ach tak okropne bole, moje dziécie;
Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK.

Grzechy? i proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznéj godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki.
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki s sobą!
Wprzód nim je wziął ze światłości stoku,
Nim je stworzył, i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał s sobą!
Teraz kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,
Rościąga się ten łańcuch, ale się nie pęka!
Czucia nasze dzielącéj ulugłe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się zbliska:
Przecież zawzdy po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

XIĄDZ.

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.

PUSTELNIK.

Chyba tam! gdy nad podłém wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje;
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,

Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!
(*po pauzie.*)
Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam śród jesieni... przy wieczornym chłodzie;
Jutro miałem wyjechać... błądzę po ogrodzie!
W rozmyślaniu, w modlitwach, szukałem téj zbroi,
Którąbym odział serce miękkie s przyrodzenia,
I wytrzymał ostatni pocisk jéj spojrzenia!
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze,
Na kilka godzin piérwéj wylały się deszcze,
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziéwa, jakby morze śniegu:
S téj strony chmura gruba napędzała lawy,
A s tamtéj strony xiężyc przezierał bladawy.
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu,
Spojrzę... jak raz nade mną świéci gwiazdka wschodnia;
O znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół... na szpaler... patrz tam przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie!
Suknią, między ciemnémi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowéj podobna kolumnie;
Potém biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
Oczy zwrócone w ziemię... nie spojrzała ku mnie!
A lica jéj bardzo blade;
Nachylam się, zajrzę z boku,
I dojrzałem łezkę w oku:
Jutro, rzekłem, jutro jadę!
Bądź zdrów! odpowié s cicha: ledwie posłyszałem,
Zapomnij!... ja zapomnę? o! rozkazać snadno!
Rozkaż luba twym cieniom, niechaj wraz przepadną,
I niech zapomną biegać za twém ciałem!...
Rozkazać snadno!
Zapomnij! (*śpiéwa.*)
Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoję drogę,
Ja cię wiecznie będę (*urywa śpiéwanie*)
wspominać (*kiwa głową.*)
(*śpiéwa.*)
Ale twoją być nie mogę!
Wspominać tylko?... jutro, jutro jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę.
(*śpiéwa.*)
Najpiękniejsza, jak aniołek raju,
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica,
Wzrok niebieski, jako słońce w maju,
Odstrzelone od modrych wód lica.
Pocałunek jéj, ach nektar boski!
Jako płomień chwyta się s płomieniem:
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijném ożenione brzmieniem.
Serce s sercem zbiega, zlatuje się, ściska:
Lica, usta łączą się, drżą, palą,
Dusza wionie w duszę... niebo, ziemia pryska
Rostopioną dokoła nas falą! *)
Xięże! o nie! ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubéj nie tknąłeś ni razu!
Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy.
Serce twe skamieniało na natury głosy.
O luba zginąłem w niebie,
Kiedym raz piérwszy pocałował ciebie!
(*śpiéwa.*)

*) Szyllera.

Pocałunek jéj, ach nektar boski!
Jako płomień chwyta się s płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijném ożenione brzmieniem.
(*chwyta dziécię i chce pocałować; dziécię ucieka.*)

XIĄDZ.

Czegoż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK.

Przed nieszczęśliwym, ach wszystko ucieka,
Jakby przed straszydłem s piekła!
Ach tak! i ona przede mną uciekła!...
... Bądź zdrów!... i w długiéj ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy.
(*do dzieci.*)
I czegoż ona przede mną uciekła?
Czylim ją śmiałem przeraził wejźrzeniem?
Czyli słówkiem, lub skinieniem?
Muszę przypomnieć! (*przypomina*) tak się w głowie kręci!...
Nie! nie! ja wszystko widzę, jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu s pamięci;
Dwa tylko słowa powiedziałem do niéj.
(*z żalem.*)
Xiężе dwa tylko słowa!
Jutro! bądź zdrowa!
Bądź zdrów!... gałązkę odrywa, podaje...
Oto jest, rzekła: co nam tu (*na ziemię pokazuje*) zostaje!
Bądź zdrów! i w długiéj ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy!

XIĄDZ.

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz słuchaj, są tysiące biédniéjszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce, już mówię pacierze,
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie;
Ach i moja wspólniczką szczęścia, i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!...
Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według jego świętéj woli.

PUSTELNIK (*mocno*).

Żona?

XIĄDZ.

Ach to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK.

Jak to? gdzie się obrócę, wszyscy płaczą żony!
Lecz ja nie winien, twojéj nie widziałem żony!
(*spostrzega się.*)
Słuchaj! przyjmij pociechę małżonku strapiony,
Żona twoja przed śmiercią już była umarłą!

XIĄDZ.

Jak to?

PUSTELNIK (*mocniéj*).

Gdy na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją żywcem pogrzebiono!
Wyrzeka się przyjaciół, ojca, matki, brata:
Nawet... słowem, całego wyrzeka się świata,
Skoro stanęła na cudzym progu!

XIĄDZ.

Chociaż wyznania twoje mgła żalu pokrywa,
Wszakże ta, któréj płaczesz, jest podobno żywa?

PUSTELNIK (*z ironią*).

Żywa? właśnie jest za co podziękować Bogu!
Żywa? jako? nie wierzysz? cóż się tobie zdaje!
Poprzysięgnę, uklęknę, palce na krzyż złożę,
Ona umarła i ożyć nie może!...
(*po pauzie zwolna.*)
Ależ bo różne są śmierci rodzaje;
Jedna śmierć jest pospolita.
Śmiercią tą starzec, kobiéta,
Dziecię, mąż, słowem tysiące
Ludzi umiéra co chwila;
I taką śmiercią Maryla,
Którą widziałém na łące.
(*śpiéwa.*)
Tam u Niemnowéj odnogi,
Tam u zielonéj rozłogi,
Jaki to stérczy kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi... (*przestaje śpiéwać.*)
Ach i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Zegnać się musi z lubym jeszcze światem!
Patrz, patrz, blada na pościeli,
Jak na obłoczkach mglisty poranek!
S płaczem dokoła stanęli:
I smutny xiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,
I smutniejsza od niéj druszka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek.
Patrz, uchodzi z lica krasa,
Wzrok zapada i zagasa;
Ale jeszcze, jeszcze świeci,
Usta, gdzie się róża kwieci,
Więdną, gubią blask szkarłatu,
I jak s piwonii kwiatu,
Wycięty wąski listeczek.
Taka siność jéj usteczek.
Podniosła głowę nad łóżko;
Rzuciła na nas oczyma:
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko
Bije s cicha, bije z rzadka,
Już stanęło, już jéj nié ma!
Oko to, niegdyś podobne słonku...
Czy widzisz xięże pierścienie?
Smutna pamiątka została!
Jak w pierścionku
Brylant pała;
Takie jaśniały w oczach płomienie.
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszczą one, jak rdzeni spróchniałéj światełka,
Jak na gałąskach wody perełka,
Kiedy ją wicher skrysztali.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma,
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko
Bije s cicha, bije z rzadka,
Już stanęło... już jéj nié ma!

DZIÉCIĘ.

Umarła! ach jaka szkoda!
Słuchając, płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?
Ale nie płacz, niechaj jéj wieczny pokój świéci,
Będziemy za nię codzień mówili pacierze.

PUSTELNIK.

To jedna śmierć, moje dzieci;
Ale jest straszniejsza druga,
Bo nie umarza od razu,
Powolna, bolesna, długa:
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi.
Lecz moje tylko zabija nadzieje;
Drugiéj bynajmniéj nie szkodzi.
Ona żyje, ona chodzi,
Kilka drobnych łez wyleje,
Potém w niéj czucie rdzawieje,
I została nakształt głazu.
Ach dwie osoby uderza od razu!
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,
A jéj bynajmniéj nie szkodzi!
Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem.
Taką śmiercią umarła... kto? o nie..
nie powiém!

Nieprawdaż dzieci? straszniejsza daleko,
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką.
(*dzieci uciekają.*)
Jednak umarła!... kiedy płaczę, ręce łamię,
Zbiegli się ludzie do koła,
Wyciągają długie szyje,
Jeden mówi, że ja kłamię,
Drugi potrąca i woła:
Patrz szaleńcze, ona żyje! (*do xiędza*)
Nie wierz, choćby ci szyderce,
Po tysiąc razy mówili;
Słuchaj co mówi to serce:
Nié masz, nie masz Maryli! (*po pauzie.*)

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:
Śmierć wieczna, jak pismo mówi.
Biada, biada człowiekowi,
Którego ta śmierć zabierze!
Tą śmiercią może ja umrę dzieci;
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

XIĄDZ.

Przeciwko światu i przeciwko sobie,
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiéchy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardéj Bóg doświadcza probie,
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata.
Ta myśl wielka, pomniejsze zapały przysludzi.
Sługa Boży pracuje do poźnego lata,
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

PUSTELNIK (*zdziwiony.*)

Xięże! a to są czary? sztuka niepoięta!
(*na stronie.*)
Musi posiadać czarodziéjskie sztuki,
Albo téż nas podsłuchał i wszystko pamięta.
(*do xiędza.*)
Wszak ja od niéj słyszałem też same nauki!
Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jéj wyjęta,
Przy owém pożegnaniu, owego wieczora.
(*z ironią.*)
Właśnie, właśnie to była do kazania pora!
Słyszałem od niéj słówek pięknobrzmiących wiele;
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada,
Ja sobie spokojnie drzymię.
Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,
Kiedyś budził mię ze snu tryumf Milcyada. (*śpiéwa.*)
Młodości ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij s końca do końca!
Już tchnienie jéj rozwijało te kształty olbrzymie:
Został się lekki cienik, mara blada,
Drobniuchne źdźbła odłamki,
Które lada motyl spasa,
Któreby ona mogła wciągnąć z odetchnieniem;
A ona chce budować na tym proszku zamki!
Zrobiwszy mnie komorem, chce zmienić w Atlasa.
Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem.
Naprożno! jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku,
Czasem ją tylko oddech Minerwy rozniéci,
Wtenczas nad ciemne plemiona
Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
W długie wieki wieków świéci.
Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie,
Wtenczas zagrzmi bohatér, pnie się do szkarłatu

Przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie,
I s pastuszego kija robi berło światu,
Albo skinieniem oka stare trony wali.
(po pauzie zwolna.)
Czasem tę iskrę oko niebianki zapali,
Wtenczas trawi się w sobie, świéci sama sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie.

XIĄDZ.

O nieszczęśliwy zapaleńcze młody!
W żalach, które tak mocno zraniona pierś jąka,
Że nie jesteś zbrodniarzem odkrywam dowody;
I że piękność, za którą twój rozum się błąka,
Nie s saméj tylko powabna urody.
Jak z zapałem kochałeś, tak naśladuj godnie
Myślenia i uczucia niebieskiéj istoty.
Zbrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty,
A ty niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!
Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gw azdy, choć je mgły zaciemią:
Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi:
Łańcuchy tu wiążące prysmą razem z ziemią,
A tam nad ziemią znowu poznają się swoi.
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK.

Jako? ty wiész o wszystkiém? co to wszystko znaczy?
(udaje głos xiędza.)
Jéj serce równie święte, jak powabne lice!
Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie!
Ty wiész o wszystkiém, ty nas podsłuchałeś zdradnie:
Wyłudziłeś tajemnicę
Ukrywaną w sercu na dnie,
O któréj przyjaciele nie wiedzą najszczersi:
Bo jednę rękę na cyprysu drzewie,
A drugą kładąc na piersi,
Zaprzysięgliśmy milczéć, i nikt o tém nie wié.

Ale tak! przypominam... tak, jednego razu,
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek,
Odkradzione jéj w dzięki przeniosłem w obrazek,
Przyjaciołom okazać chciałem cud obrazu.
Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy;
Czułość dla nich zabawą, która nam potrzebą;
Nie mają oka duszy, nie przejźrzą do duszy!
Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety!
Jak wilk, lub jak astronom patrzają na niebo.
Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety.

Ach! ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiém licem skazić jéj bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy xiężyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Niejśmiém roskryć mych piersi, s szyi odpiąc chustek,
Nim jéj listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.
A moi przyjaciele!... żałuję pośpiechu!...
Jeden gdy ubóstwienie w oku mojém czyta,
Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiéchu,
I rzekł ziewając: at sobie kobiéta!
Drugi przydał: jesteś dziecko!...
Ach tento starzec s swoim przeklętym rozumem,

Pewnie wydał nas zdradziecko!
(*coraz z większém pomieszaniem.*)
Opowiedział na rynku, przed dziećmi, przed tłumem;
A ktoś s tych dziatek, albo z gawiedzi,
Przyszedł i xiędzu wyznał na spowiedzi....
(*z największém obłakaniem.*)
Możeś ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

XIĄDZ.

I na cóż nam te zdrady, spowiedź i podstępy?
Chociaż się dziwnym kłębkiem twoja żałość gmatwa,
Lecz czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,
Temu do wywikłania tajemnica łatwa.

PUSTELNIK.

Prawda! lecz to są ludzkiéj własności narowy.
Że co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,
Na noc przechodzi do głowy:
Wtenczas człowiek sam nie wié, co rozplecie wé śnie.
Dawno! dawno!... raz miałem przypadek ten samy.
Po piérwszém z nią widzeniu, wróciwszy do domu,
Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.
Nazajutrz gdy dzień dobry przyniósłem dla mamy:
Co to jest, mówi do mnie, żeś taki pobożny?
Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie,
I litanią mówisz o Najświętszéj Pannie.
Zrozumiałem i na noc zamknąłem podwoje:
Ale teraz niemogę być równie ostrożny:
Nié mam domu, gdzie przyjdę, tam posłanie moje,
A często przez sen gadam... w myślach jak na fali!
Ustawna burza, zawieja:
Błyśnie i zmierzchnie:
Mnóstwo się zarysów skleja,
W jakieś tworzydło ocali,
I znowu pierzchnie.
Jeden tylko obrazek nazawsze wyryty,
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,
Błyszczy jak xiężyc w wodzie odbity:
Nie mogę dostać, lecz błyszczy przede mną.
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,
Za moim wzrokiem dokoła
Płynie i postać anioła,
Aż na górne nieba szczyty.
Potém jak orlik na żaglach piérza
(*patrząc w górę.*)
Stanie w chmurze i z wysoka,
Nim sam upadnie na zwierza,
Już go zabił strzałą oka;
Nie wzrusza się i z lekka w jedném miejscu chwieje,
Jakby uplątany w sidło,
Albo do nieba przybity za skrzydło.
Tak właśnie ona nade mną jaśnieje!
(*śpiéwa.*)
Czyli słońce światu płonie,
Czy noc wciąga szatę ciemną;
Jéj wyglądam, za nią gonię,
Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną!
Otóż gdy ona stanie przed memi oczyma,
A sam jestem na polu, albo w gajów cieniu,
Naprożno każę milczéć, język nie dotrzyma,
Przemówię do njéj słówko, nazwę po imieniu,
A zły człowiek podsłucha. Tak właśnie dziś rano
Zdradliwie mię podsłuchano.
Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam, dziś jeszcze,
Na kilka godzin piérwéj wylały się dészcze,
W dolinach tuman, nakształt pruszącego śniegu,
A na łąkach zaranna połyska się rosa,
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:

Jedna tylko nade mną świéci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę codnia.
Tam przy altanie (*spostrzega się*) cha! cha! pobiegłem z ukosa...
To nie o tym poranku! ha! szał romansowy!
Przeklęty zawrocie głowy!... (*po pauzie przypomina.*)
Był ranek, kiedy dumam, narzekam i jęczę,
Dészcz lał jak z wiadra, tęgi wicher dmuchał,
Utuliłem głowę w krzaczek; (*z łagodnym uśmiéchem.*)
Ten ladaco mnie podsłuchał...
Lecz nie wiém, czy tylko jęki,
Czy nawet imie podsłuchał;
Bo bardzo blisko był krzaczek.

XIĄDZ.

O biédny, biédny młodzieńcze!
Co mówisz? kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK (*poważnie.*)

Kto? oto pewny robaczek maleńki,
Który pełzał tuż przy głowie,
Świętojański to robaczek.
Ach jakie ludzkie stworzenie!
Przypełznął do mnie i powié:
(Zapewne mię chciał pocieszyć.)
Biédny człowieku, po co to jęczenie?
Ej dosyć rospaczą grzészyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna,
Żeś czuły? nie twoja wina.
Patrz, mówił daléj robaczek,
Na iskrę, co ze mnie strzela,
I cały objaśnia krzaczek.
Z razu szukałem z niéj chluby,
Teraz widzę, że będzie przyczyną méj zguby,
I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasły!
Kląłem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza,
Chcę, żeby te iskry zgasły;
Ale cóż robić? nie moja w tém władza,
I póki żyję, te iskry nie zgasną. (*po pauzie, pokazując na serce.*)
Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI.

A posłuchajcie... a jaki cud, jaki!
Tato, słyszałeś o cudzie? (*xiądz odchodzi, ściskając ramionami.*)
Czy można, żeby robaki
Rozmawiały tak, jak ludzie?

PUSTELNIK.

Czemuż nie? chodź tu malcze pod kantorek,
Nachyl się i przyłóż uszko;
Tu biédna duszka prosi o troje paciorek.
A ha, słyszysz jak kołata?

DZIECKO.

Tak tak, tak tak, tata, tata,
A dalibógże kołata,
Jak zegarek pod poduszką.
Co to jest, tata? tek, ta tek!

PUSTELNIK.

Mały robaczek, kołatek,
A niegdyś wielki lichwiarz! (*do kołatka*) czego żądasz duszko?
(*udaje głos.*)
Proszę o troje paciorek.
A tuś mi panie sknero! znałem się s tym dziadem,
Był moim bliskim sąsiadem:
Zakopawszy się do złota,
Zawaliwszy chatę drągiem,
Niedbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,
Nikogo nie obdarzył chlebem, ni szelągiem.
Za życia dusza jego przy piéniędzy worku
Lezała na dnie w kantorku.
Za to i teraz po śmierci,
Nim słuszną karę odbierze w piekle,
Słyszycie, jak gryzie wściekle,
Jak świdruje i jak wierci.

Przecięż jeśli łaska czyja,
Mówcie trzy zdrowaś Marya.
(*Xiądz wchodzi ze szklanką wody.*)

PUSTELNIK (*coraz mocniéj pomieszany.*)
A co, słyszałeś pisk złego ducha?

XIĄDZ.
Przebóg! co się tobie plecie? (*ogląda się.*)
Nic nié ma, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK.
Nadstaw tylko lepiéj ucha. (*do dziéciccia.*)
Chodź tu, chodź tu moje dziécie!
Czy słyszałeś?

DZIÉCIĘ.
Prawda tato,
Coś tam gada.

PUSTELNIK.
Cóż ty na to?

XIĄDZ.
Pójdźcie spać dzieci: co się wam marzy,
Nic ani szaśnie, cicho w około.

PUSTELNIK (*do dzieci z uśmiéchem*).
Nie dziw, głosu natury nie dosłyszą starzy!

XIĄDZ.
Mój bracie, weź wody w dłonie,
I zmyj trochę twoie czoło,
Może ten zapał gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK (*bierze i myje; tymczasem zégar zaczyna bić; po kilku uderzeniach, pustelnik upuszcza wodę i patrzy nieporuszony poważnie i ponuro*).
Oto dziesiąta wybija, (*kur pieje.*)
I kur piérwsze daje hasło;
Czas ucieka, życie mija, (*świéca jedna na stoliku gaśnie.*)
I piérwsze światło zagasło.
Jeszcze, jeszcze dwie godziny, (*zaczyna drżéć.*)
Jak mnie zimno! (*xiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świécę.*)
Wiatr zimny świszcze przez szczeliny:
Jak tu zimno! (*idzie do pieca*) gdzież jestem?

XIĄDZ.
W przyjaciela domu.

PUSTELNIK (*przytomnie*).
Pewnie cię nastraszyłem o niezwykłéj porze,
Do nieznanego miejsca, w dziwacznym ubiorze?
Musiałem wiele gadać? ach nie mów nikomu!
Jestem biédny podróżny, z dalekich stron jadę.
(*ogląda się i przytomniéj.*)
W młodości jeszcze, na środku gościńca,
Napadł, odarł mię całkiem (*z uśmiéchem*) skrzydlaty złoczyńca.
Nié mam sukien: co znajdę, to na siebie kładę.
(*obrywa liście i szaty poprawia z żalem.*)
Ach! odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata:
Została przy mnie jedna niewinności szata!

XIĄDZ (*który ciągle patrzał na świécę; do pustelnika.*)
Uspokój się dla Boga! (*do dzieci*) kto to zgasił świécę?

PUSTELNIK.
Każdy cud chcesz tłómaczyć; biegaj do rozumu...
Lecz natura, jak człowiek ma swe tajemnice,
Które nietylko chowa przed oczyma tłumu,
(*z zapałem.*)
Ale żadnemu xiędzu i mędrcom nie wyzna.

XIĄDZ (*bierze go za rękę.*)
Synu mój!

PUSTELNIK (*poruszony i zdziwiony.*)
Synu! głos ten, jakby blaskiem gromu,
Rozum mój z mroczącego wydobywa cienia!
(*wpatruje się.*)
Tak! poznaję gdzie jestem, w czyim jestem domu.
Tak, tyś mój drugi ojciec, to moja ojczyzna!
Poznaję luby domek! jak się wszystko zmienia!
Dziatki urosły, ciebie przyprusza siwizna!

XIĄDZ (*pomieszany bierze świécę, wpatruje się*).
Jak to? znasz mię? to on! ...nie... tak... nie, bydź niemoże!

PUSTELNIK.
Gustaw.

XIĄDZ. (*upuszcza świécę, dzieci podejmują, zapalają i stawiają na stole.*)
Gustaw! ty Gustaw? (*ściska*) Gustaw! wielki Boże!
Uczeń mój! syn mój!

GUSTAW (*ściska patrząc na zégar.*)
Ojcze, jeszcze ściskać mogę!
Bo potém... wkrótce... zaraz pójdę w kraj daleki!
Ach i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę,
Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

XIĄDZ.
Gustaw! skąd? kędyś? przebóg! tak długa wędrówka?
Gdzieś ty bywał dotychczas przyjacielu młody?
Nie wiedzieć kędyś zniknął, jakbyś wpadł do wody,
Litery nie napisać, nie nakazać słówka?
Wszak to lat tyle!... Gustaw! cóż się s tobą dzieje?
Ty niegdyś w mojéj szkole ozdobą młodzieży,
Na tobie najpiękniejszem zakładał nadzieje
Czy można tak się zgubić? w jakiéjże odzieży?

GUSTAW (*z gniéwem*).
Starcze! a gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś! ty mnie nauczyłeś czytać!
W pięknych xięgach i piękném przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś (*z żalem i uśmiéchem*) i rajem!
(*mocniéj i ze wzgardą.*)
A to jest tylko ziemia!

XIĄDZ.
Co słyszę? o Chryste!
Ja ciebie chciałem zgubić? mam sumnienie czyste!
Kochałem cię, jak syna!

GUSTAW.
I dla tego właśnie
Daruję ci!

XIĄDZ.
Ach! o nic nie prosiłem Boga,
Jak, abym cię raz jeszcze na życiu obaczył!

GUSTAW (*ściska*).
Uściśniéjmy się jeszcze, (*patrząc na świécę*) nim druga zagaśnie.
Pan Bóg do twojéj prośby przychylić się raczył.
Lecz już późno (*patrzy na zégar*), a długa do przebycia droga!

XIĄDZ.
Chociem mocno ciekawy słyszéć twe przygody,
Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i wczasu.
Jutro...

GUSTAW.
Dziękuję, przyjąć nie mogę gospody,
Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu,

XIĄDZ.

Jakto?

GUSTAW.

O! tak! przeklęci, którzy nic nie płacą!
Za wszystko trzeba płacić, lub wzajemną pracą,
Albo wdzięcznem uczuciem, datkiém jednéj łezki,
Za którą znowu ojciec odpłaci niebieski,
Ale ja przebłądziwszy te kraje pamiątek,
Gdzie tyle łez zabiéra każdy znany kątek,
I resztę uczuć i łzy wylałem ostatnie;
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.
(*po pauzie.*)
Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki:
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojźrzysz rudera, pustka i zniszczenie!
S płotów koły, s posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła:
Jak na cmentarzu w północ, milczenie do koła!
O, inny dawniéj bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiém oddaleniu gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali;
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali.
Lecą nazad gościńca, wziąwszy po piérogu!
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwo nie zagłuszy...
Teraz pustka, noc, cichość, ani żywéj duszy:
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku.
Ach! tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całéj kochanku rodziny:
Z licznych sług i przyjaciół, tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrot bez zamku i bez panów chaty!
Kruku mój! pójdź tu Kruku! bieży, staje, słucha:
Skacze na piersi, wyje i pada bez ducha!...
Ujźrzałem światło w oknach: wchodzę, cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekiérami plondrują złodzieje,
Burząc do reszty świętéj przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojéj matki,
Złodziéj rąbał podłogę i odrywał cegły:
Schwyciłem, zgniotłem: oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi płacząc, w przedporannym mroku:
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku.
Kobiéta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziéj do czyscowego podobna widziadła:
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Zegnając się i krzycząc skłania się s przestrachu:
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?
„Jestem biédna uboga," ze łzami odpowié:
„Wtym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
Dobrzy panowie, niech im wieczny pókój świéci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił, dla nich i dla dzieci.

Pomarli, dom ich pustka, upadł i gnije:
O paniczu niesłychać, pewnie już nieżyje."
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga...
Ach! więc wszystko minęło?

XIĄDZ.

Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

GUSTAW.

Ileż znowu pamiątek, w twoim domku, w szkole!
Tam z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek:
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek:
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca:
Po błoniach s studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przede dniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się s Tassem.
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiédniem.
Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem;
Tu krwawe z chmur pohańskich świécą się xiężyce:
Tam Niemców potrwożonych następują roty:
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty:
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice.
Przerzadzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije:
Gradem lecą turbany i obcięte szyje.
Janczarów zgraja pierzchła, lub do piasku wbita:
Zrąbaną s koni jazdę rozniosły kopyta.
Aż pod wał trzebim drogę!... ten wzgórek był wałem.
Tam ona wyszła patrzéć na igraszkę dzieci,
Tam gdy ją przy chorągwi Proroka ujźrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Gotfred i Jan trzeci.
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią,
Ach odtąd dla niéj tylko, u niéj, przez nią, za nią!
Jéj pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice.
Tu po raz piérwszy boskie obaczyłem lice:
Tu mnie piérwszéj rozmowy uczciła wyrazem
Tutaj na wzgorku Russa czytaliśmy razem:
Altankę jéj pod témi uwiązałem chłody:
S tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
S tych zdrojów stojąc przy mnie wywabiała wędką
Srébrnopiórego karpia, pstrąga s krasną cętką:
A dziś!... (*płacze.*)

XIĄDZ.

Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic w koło nas niezmienia!

GUSTAW.

Dzisiaj po latach tylu, po takiéj przemianie,
Na miéjscach najszczęśliwszych, w najsmutniejszym stanie!
Gdybyś wziął martwy kamień, s którym igra dziécię.
I gdybyś s tym kamieniem obchodził po świecie,
A potém do ojczyzny wróciwszy zdaleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie;
Gdyby s tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Xiężę, kamień, bez sądu rzuć prosto do piekła!

XIĄDZ.

O! łza ta nie jest gorzka gdy w obecne troski
Przypomnianego szczęścia miesza nektar boski:
Czułość ją na ludzkości wyłewa ołtarze.
Gorzką truciznę sączą tylko łzy zbrodniarza.

GUSTAW.

Słuchaj, powiém coś jeszcze... byłem i w ogrodzie.
Pod też porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie:
Też same cieniowane chmurami niebiosa:
Tenże bladawy xiężyc i kroplista rosa:
I tuman nakształt zlekka pruszącego śniegu,
I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu.
I taż sama nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia:
W tychże miejscach toż samo uczucie paliło.
Wszystko było jak dawniéj — tylko jéj nie było!
Podchodzę ku altance, jakiś szmer u wniścia;
To ona?... Nie! to wietrzyk zżółkłe strząsał liścia.
Altano, mego szczęścia kolebko i grobie,
Tum poznał, tum pożegnał!.., ach! com uczuł w tobie!
To miejsce może wczora było jéj siedzeniem:
Ona wczora tém samém oddychała tchnieniem!
Słucham, ogłądam wkoło, próżno wzrok się błąka:
Małegom tylko ujźrzał nad sobą pająka,
Z listka wisząc u słabéj kołysał się nici:
Ja i on, równie słabo do świata przybici!
Oparłem się o drzewo: wtém na końcu ławki
Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki:
Tenże sam listek, listka mojego połowa,
(*dobywa listek.*)
Który mi przypomina, ostatnie: bądź zdrowa!
To mój dawny przyjaciel, czulem go powitał:
Długo z nim rozmawiałem, i o wszystkom pytał:
Jak ona rano wstaje? czém się bawi zrana?
Jaką piosnkę najczęściéj gra u fortepiana?
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
W jakim najczęściéj lubi bawić się pokoju?
Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
Czy sama czasem nie chcąc nie wspomina o mnie?...
Lecz co słyszę! o straszna ciekawości karo!
(*ze złościa uderza się w czoło.*)
Kobiéta!... (*śpiéwa.*) Naprzód!...
(*urywa, i do dzieci.*)
Dzieci! znacie piosnkę starą?
(*śpiéwa.*)
Naprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI.

Jakże kocha dziewczyna,
Co chwilę przypomina!

GUSTAW.

Potém po razu co dnia:
A potém, co tygodnia.

CHÓR DZIECI.

Jakże czuła dziewczyna,
Co tydzień przypomina!

GUSTAW.

A potém co miesiąca
S początku, albo s końca.

CHÓR DZIECI.

Jakże dobra dziewczyna,
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW.

Biegą wody potoku,
Pamięć nie w naszéj mocy:
Już tylko raz co roku
Około wielkiéjnocy.

CHÓR DZIECI.

Jaka grzeczna dziewczyna,
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW.

Więc (*pokazując listek*) ostatni przeszłości odrzuciła szczątek!
Więc już jéj moich nosić niewolno pamiątek!...
Wychodziłem z ogrodu, krok mię własny zdradza:
Pod pałac niewidoma ciągnęła mię władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty:
Słychać wrzaski pojezdnych i karét tarkoty.
Już jestem blisko ściany, skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje s kryształu.
Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto:
Muzyka, śpiéwy — jakieś obchodzono święto!
Toast!... słyszałem imie... ach nie powiém czyje.
Jakiś głos nieznajomy, wykrzyknął: niech żyje.
Niech żyje! z ust tysiąca zabrzmiały te słowa
Tak, niech żyje!... i s cicha przydałem: bądź zdrowa!
Wtém (o gdy mię wspomnienia same nie zabiją!)
Xiądz wyrzekł drugie imie i krzyknął: niech żyją!
(*wpatruje się jakby we drzwi.*)
Ktoś dziękuje z uśmiéchem... znam głos... pewnie ona...
Nie wiém pewnie... nie mogę widzieć za zwierciadłem:
Wściekłość mię oślepiła, poparłem ramiona:
Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem...
(*po pauzie.*)
Myślałem, że bez duszy... tylko bez rozumu!

XIĄDZ.

Nieszczęsny! dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW.

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu,
Leżałem na zroszonéj gorzkim płaczem darni:
Sprzeczność ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!
Przebudzony, ujźrzałem krwawy promyk wschodu.
Czekam chwilę: już nigdzie blasku, ani szumu.
Ach ta chwila, jak piorun, a jak wieczność długa!
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!
(*po pauzie zwolna.*)
Wtém anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

XIĄDZ.

I nacóż ból rozdrażniać w przygojonéj ranie?
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga:
Że kiedy co się stało, i już nie odstanie,
Potrzeba wtém uznawać wolą Pana Boga.

GUSTAW. (*z żalem*).

O nie! nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu:
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem:

Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem:
Ten sam powab we wszystkiém, toż samo niechcenie:
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła,
Bóg osnuł przyszłe węzły, (*z żalem największym*) a tyś je rozstrzygła!
(*mocniéj, gniéwny.*)
Kobiéto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojéj zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli!...
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto!
I honorów świécąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto:
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiéj Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niżli aniołów oblicza,
Niżli sny moje, niżli poetów zmyślenia,
Niźli ty nawet... oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojźrzenia!
Ach! i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie;
Oddałbym ją za ciebie;
Najmniejszych względów nie zyska odemnie,
Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jéj luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,
Który dla ciebie całkiem poświęca daremnie,
Gdyby prosiła o rok, o półroka,
Gdyby jedna z nią pieszczota,
Gdyby jedno mgnienie oka;
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby.
(*surowo.*)
A ty sercem oziębłém, obojętną twarzą,
Wyrzekłaś słowo méj zguby,
I zapaliłaś niecne ogniska,
Któremi łańcuch wiążący nas pryska,
Które się wiecznem piekłem między nami żarzą,
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mię, zwodnico! Nieba cię ukarzą,
Sam ja... nie puszczę bezkarnie:
Idę, zadrżyjcie odmieńce!
(*dobywa sztylet i ze wściekłą ironią.*)
Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
Ot tym wina utoczę na ślubne toasty...
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojéj wieńce!
Idę jak moję własność do piekła zagrabić:
Idę!... (*wstrzymuje się i zamyśla*) o nie! nie... nie... żeby ją zabić,
Trzeba być trochę więcéj, niż piérwszym szatanów!
Precz to żelazo (*chowa*), niech ją własna pamięć goni: (*xiądz odchodzi.*)
Niech ją sumnienia sztylety ranią!
Pójdę, lecz pójdę bez broni:
Pojdę, tylko spojźrzéć na nią,
W salach, gdzie te od złota świécące pijaki
Przy godowym huczą stole,
Ja w téj rozdartéj sukni, s tém liściem na czole
Wnijdę i stanę przy stole.....
Zdziwiona zgraja od stołu powstała:
Przepiją do mnie zdrowiem:
Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,
Ani słowa nie odpowiém.
Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,
Prosi mię w taniec drużba godowa,
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,
Nie odpowiém ani słowa!
Wtém ona z swoim anielskim urokiem,
Gościu mój, rzecze: pozwól niech się dowiém,
Skąd przychodzisz, kto jesteś? — ja nic nie odpowiém,
Tylko na nią cisnę okiem.
Ha! okiem! okiem jadowitéj żmije:

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka:
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka,
Na wskróś okiem przebiję.
Wgryzę się jak piekielny dym pod jéj powieki,
I w głowie utkwię na wieki.
Będę jéj myśli czyste przez cały dzień brudził,
I w nocy ją ze snu budził.
(*powolniéj z czułością.*)
A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy,
I lada rosa obrywa.
Każde wzruszenie moje, natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie:
Od cienia smutku mego, jéj wesołość gaśnie:
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnéj duszy,
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojźrzawszy tylko na twarzy zwierściadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jéj serca przenika,
I na powrót błyszczy w oku.
Ach! tak, tak ją kochałem! pójdęż teraz trwożyć,
Inakochanka larwę potępieńca włożyć?
Poco? czego chcę od niéj? o zazdrości podła!
I jakież są jéj grzechy?
Czyli mię słówkiem dwóznacznem podwiodła?
Czy wabiącémi łowiła uśmiéchy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jéj przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niéj, choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła:
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!
Pocóż ta wściekłość? jakie do niéj prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! ach jednę miłość mam za sobą!
Znam to; nigdym śmiałémi nie zgrzeszył zapędy,
Nie prosiłem, ażeby była mnie wzajemną:
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną;
Choćby, jak krewna s krewnym, jak siostrzyczka z bratem,
Bóg świadkiem, przestałbym na tém.
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora,
I jutro widzieć będę.
Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siędę,
Z nią zrana, w dzień koło niéj, koło niéj z wieczora.
Ach, jak byłbym szczęśliwy! (*po pauzie*) zapędzam sie marnie.
Ty pod zazdrośnych oczu, chytrych żądeł strażą!
Ani obaczyć niewolno bezkarnie.
Pożegnać, porzucić każą....
Umrzéć!... (*z żalem*) kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie!
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka!
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać nié masz komu!
O gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie!
Gdybyś na mojéj pamiątkę męki,
Jeden przynajmniéj dzionek chodziła w żałobie,

Przypięła jednę czarną wstążkę do sukienki!...
Może spojźrzysz ukradkiem... i łezka boleści...
I pomyślisz westchnąwszy, ach on mię tak kochał!
(*z dziką ironią*).
Stój, stój, żałosne piskle!... precz wrzasku niewieści!
Będęż jak dziecko szczęścia umiérając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy niemogą odebrać!
Żywy o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę umarły!
(*z determinacyą*).
Rób, co chcesz; jesteś woli swojéj panią:
Zapomnij!... ja zapomnę! (*pomieszany*) wszak już zapomniałem?
(*zamyślony.*)
Jéj rysy... co raz ciemniéj... tak, już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią,
Doczesnym pogardzam szałem...!
(*pauza.*)
Ach wzdycham! czegoż wzdycham? ha! westchnąłem za nią.
Nie! nie mogę zapomnieć o niéj i umarły.
Wszakże ją widzę? wszak tu, o tu stoi!
Płacze nade mną... jaka łezka szczéra!
(*z żalem.*)
Płacz moja luba, twój Gustaw umiéra!
(*z determinacya.*)
No, daléj śmiało Gustawie! (*podnosi sztylet.*)
(*z żalem.*)
Nie bój się luba, on się nic nie boi,
Czego żałujesz, on nie z sobą nie zabiéra!
Tak! wszystko! wszystko tobie zostawię:
Zostawię życie i świat i roskosze,
(*z wściekłością.*)
I twego!... wszystko... o nic... ani łzy nie proszę!

(*do xiędza, który wchodzi ze służącymi.*)
Słuchaj ty... jeśli kiedy obaczy...
(*z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością.*)
Pewna nadludzka dziewica... kobieta,
I jeśli ciebie zapyta.
S czego umarłem? nie mów, że z rozpaczy:
Powiédz, że byłem zawsze rumiany, wesoły;
Żem ani wspomniał nigdy o kochance;
Że sobie grałem w karty, piłem s przyjacioły...
Że ta pijatyka... tańce...
Ze mi się w tańcu... ot (*uderza nogą*) skręciła noga.
S tego umarłem... (*przebija się.*)

XIĄDZ.

Jezus, Marya! bój się Boga.
(*chwyta za rękę; Gustaw stoi; zégar zaczyna bić.*)

GUSTAW.

(*pasując się ze śmiercią, patrzy na zégar.*)
Łańcuch szeleści... Jedenasta wybija!

XIĄDZ.

Gustawie! (*kur pieje drugi raz.*)

GUSTAW.

To drugie hasło!
Czas ucieka, życie mija!
(*zegar kończy bić, świéca druga gaśnie.*)
I drugie światło zagasło!
Koniec boleści!... (*dobywa sztylet i chowa.*)

XIĄDZ.

Ratujcie przebóg, może jaka rada!
Ach już, już kona, wbił do rękojeści,
Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW (*z zimnym uśmiéchem*).
Przecież nie upada!

XIĄDZ (*chwyta za rękę*).
O zbrodnio! Boże odpuść... Gustawie! Gustawie!

GUSTAW.
Zbrodnia taka nie może dopełniać się co dzień,
Daj pokój próżnéj obawie;
Stało się — osądzono — tylko na nauki,
Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

XIĄDZ.
Jak to? co to jest?

GUSTAW.
Czary, omamienie, sztuki.

XIĄDZ.
Ach! włosy mi się jeżą, drżą pode mną nogi,
W imie Ojca i Syna! co to wszystko znaczy?

GUSTAW (*patrząc na zégar*).
Wybiło dwie godziny; miłości, rozpaczy,
A teraz następuje godzina przestrogi.

XIĄDZ. (*chce go sadzić.*)
Usiądź, połóż się, oddaj zabojcze narzędzie,
Pozwól rany opatrzyć —

GUSTAW.
Daję tobie słowo,
Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.
O ranach próżna troska, wszak wyglądam zdrowo?

XIĄDZ.
Jak Bóg na niebie, nie wiém co to..

GUSTAW.
Skutki szału.
Albo może kuglarstwo? — Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika, i aż w duszy tonie;
Przecież widomie nie uszkadza ciału,
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity...
(*po pauzie z uśmiéchem.*)
Taką bronią za życia są oczy kobiéty.
(*ponuro.*)
A po śmierci grzesznika cierpiącego skrucha!

XIĄDZ.
W imie Ojca, i Syna, i świętego Ducha!.
Czego stoisz jak martwy, zaglądasz na stronę?
Ach oczy! .... przebóg, jakby bielmem powleczone!
Puls ustał... ręce twoje zimne, jak żelazo!
Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW.
O tém inną razą!
Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły.
Kiedy wchodząc do ciebie stanąłem u progu,
Pamiętam że z dziatkami odprawiałeś modły,
Któreś za dusze zmarłe ofiarował Bogu.

XIĄDZ (*chwyta krucifix*)
Prawda, zaraz dokończym...
(*ciągnie dzieci do siebie.*)

GUSTAW.
No, przyznaj się szczérze,
Czy wierzysz w piekło, w czyściec?..

XIĄDZ.
Ja we wszystko wierzę,
Cokolwiek w piśmie świętem Chrystus nam ogłasza,
I w co zaleca wierzyć kościół, matka nasza.

GUSTAW.
I w co twoje pobożne wierzyły pradziady?
Ach! najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek,

Za cóż zniósłeś dotychczas obchodzone Dziady?

XIĄDZ.

Ta uroczystość ciągnie s pogaństwa początek;
Kościół mnie rozkazuje i nadaje władzę,
Oświécać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW (*pokazując na ziemię.*)

Jednak proszą przeze mnie, i ja szczérze radzę,
Przywróć nam Dziady. Tam u Wszechmocnego tronu,
Kędy nasz żywot ścisłe odważają szale,
Tam większym jest ciężarem łza jednego sługi,
Którą szczérze wyleje nad tobą u zgonu,
Niż kłamliwe po drukach rozgłaszane żale,
Płatny orszak i kirem powleczone cugi.
Jeśli żałując śmierci dobrego dziedzica,
Lud zakupioną świécę stawia mu na grobie,
W cieniach wieczności jasniéj błyszczy się ta świéca,
Niż tysiąc lamp w niechętnéj palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko,
I garścią mąki grobowiec posypie:
Lepiéj posili duszę, o! lepiéj daleko,
Niż krewni modnym balem wydanym na stypie.

XIĄDZ.

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki,
Po cérkwiach, pustkach, lub ziemnych pieczarach,
Pełen guslarstwa obrzęd świętokradzki,
Pospólstwo nasze w grubéj utwierdza ciemnocie,
Stąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie,
O nocnych duchach, upiorach, i czarach.

GUSTAW.

Więc żadnych nié ma duchów? (*z ironią*) świat ten jest bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko, jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy;
Albo jest to coś nakształt wielkiego zégaru,
Który obiega popędem ciężaru?
(*z uśmiéchém.*)
Tylko nie wiécie, kto zawiesił wagi!
O kołach, o sprężynach rozum was naucza:
Lecz nie widzicie ręki i klucza!
Gdyby s twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
Obaczyłbyś nie jedno wkoło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu.
(*do dzieci, które wchodzą.*)
Dzieci chodźcie pod kantorek.
(*do kantorka.*)
Czego potrzebujesz duchu?

GŁOS S KANTORKA.

Proszę o troje paciorek.

XIĄDZ (*przerażony*).

W imie Ojca... niech biega... Altarystę zbudzi,
Słowo stało się ciałem!... zawołajcie ludzi! ...

GUSTAW.

Wstydź się, wstydź się mój ojcze, gdzie rozum? gdzie wiara?
Krzyż jest mocniéjszy, niżli wszyscy ludzie twoi,
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

XIĄDZ.

Mów, czego potrzebujesz... ach to upiór, mara!

GUSTAW.

Ja! nic nie potrzebuję, jest potrzebnych tylu!

(*łowi koło świécy motyla.*)
A tuś mi panie motylu?
(*do xięd za pokazując motyla.*)
Ten migający wkoło ocmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy promyczek oświaty,
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie;
Tymczasem s potępioną błąkając się duszą,
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą,
To są dla ciemnych duchów najsroższe męczarnie!
Patrzaj ów motyl strojny barwionemi szaty,
Był jakiś królik, albo pan bogaty.
I wielkim skrzydeł roztworem
Zaciemiał miasta, powiaty.
Ten drugi mniéjszy, czarny i pękaty,
Był xiążek głupim cenzorem,
I przelatując sztuk nadobne kwiaty,
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył;
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka,
I nauk ziarno s samego zarodka
Gadziny zębem roztoczył...
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,
Są dumnych podchlebnisie, czernideł pisarze.
Na jakie pan ich gniewał się zagony,
Tam przeklęta chmura leci,
I czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony,
Jako szarańcza wybija.
Za tych wszystkich moje dzieci
Niewarto zmówić i Zdrowaś Marya.
Są inne słuszniej godne litości istoty,
A między niémi twoi przyjaciele, ucznie,
Których ty wyobraźnią w górne pchnąłeś loty,
Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie.
Jaką żyjąc pokutę mieli za swe winy,
Oznajmiłem wieczności przestąpiwszy progi:
Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny
I znowu wycierpiałem dla twojéj przestrogi.
Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą;
Dla mnie, oprócz wspomnienia nic więcéj nie proszę.
Za grzęch mój życie było dostateczną karą,
A dziś nie wiém, nadgrodę czy pokutę znoszę.
Bo kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,
Kto znalazł drugą swojéj połowę istoty,
Kto nad świeckiego życia wylatując krańce
Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jéj tylko myślą myśli, jéj oddycha tchnieniem,
Ten i po śmierci również własną bytność traci,
I przyczepiony do lubéj postaci,
Jéj tylko staje się cieniem.
Jeśli żyjąc świętemu był uległy panu,
Niebieską z nim chwałę dzieli;
Albo ze złym do wiecznéj strącony topieli
Jest bolesnego wspólnikiem stanu.
Na szczęście Bóg mię zrobił poddanym anioła:
Dla niéj i dla mnie przyszłość śmieje się wesoła.
Tymczasem jak cień błądząc przy kochanych wdziękach,
Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach.
Gdy ona wspomni, westchnie i łezkę wyleje,
Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieję,
Zmieszam się z odetchnieniem i przenikuę ciebie,
I jestem w niebie!
Lecz kiedy!... ach czujecie, wy co ście kochali!

Jakim zawiść ogniem pali!...,
Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcie powoła,
Natenczas śladem lubego anioła,
I cień mój błędny wkradnie się do nieba.
(*zegar zaczyna bić.*)

(*śpiéwa.*)
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.
(*zégar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika.*)

CHÓR,

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.



SONETY.

Quand' era in parte altr' uom da quel, ch'io sono.

PETRARCA.

I.

DO LAURY.

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznaném oku dawnéj znajomości pytał:
I s twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
Jak z róży, któréj piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił:
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał:
Zdało się, że ją aniół po imieniu witał,
I w zégar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją,
Jeśli cię mém spojźrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Ze uciekać i kochać bez nadziei muszę.
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją:
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

II.

Mówię s sobą, z drugimi plączę się w rozmowie,
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrzenicach, a na twarzy bladnę;
Nie jeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powié.
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łoże padnę,
W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie.

Zrywam się, biegę, składam na pamięć wyrazy.
Któremi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu:
Składane zapomniane po milion razy.

Ale gdy ciebie ujźrzę, nie pojmuję: czemu
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy?
Aby goreć na nowo — milczéć podawnemu.

III.

Nie uczona twa postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko, nad inne nie błyska:
A każdy rad cię ujźrzéć, rad posłyszéć zbliska:
Choć w ubraniu pastérki, widno żeś królowa.

Wczora brzmiały i pieśni i głośna rozmowa,
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska:
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś — każdy święte milczenie zachowa.

Tak śród uczty, gdy śpiéwak do choru wyzywał,
Gdy koła tańcujące wiły się po sali,
Nagle staną i zmilkną: każdy zapytywał.

Nikt nie wiedział dlaczego w zadumieniu stali.
„Ja wiém," rzecze poeta, „anioł przelatywał."
Uczcili wszyscy gościa — nie wszyscy poznali.

IV.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

— Tyżeśto? i tak późno? — Błędną miałem drogę,
Śród lasów, przy niepewnym xiężyca promyku;
Tęskniłaś? myślisz o mnie? — Luby niewdzięczniku,
Pytaj się, czy ja myśléć o czém inném mogę!

— Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę:
Ty drżysz! czego? — Ja nie wiém, błądząc po gaiku,
Lękam się szméru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę.

— Spojźrzyj mi w oczy, w czoło; nigdy s takiém czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmyż winni, że siedzimy społem?

Wszak siedzę tak daleko, mówię tak nie wiele,
I zabawiam się s tobą mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.

V.

Potępi nas świętoszek, rospustnik wyśmieje:
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje.

Ja bronię się ponętom, ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los opłakany.
Nie wiémy sami co się w sercach naszych dzieje.

Jestże to ból? lub roskosz? gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia,
Luba! czyż mogę temu dać imie cierpienia?

XI.

REZYGNACYA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła:
Nieszczęśliwy jest, kogo próżne serce nudzi:
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kochał; że Kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa roskosz co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmié z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.

Albo drugiemi gardzi, albo siebie wini:
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini:
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją:

I serce ma podobne do dawnéj świątyni,
Spustoszałéj niepogód i czasów koleją!
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XII.

DO * * *

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz: zgubna twa prostota.
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie:
Uciekaj nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczérość, jeszcze mi jedna pozostała cnota:
Wiédz że niegodny ogień zapalasz w mém łonie:
Lecz umiém żyć samotny, i pocóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię roskosz; lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko, mnie namiętne przepaliły bole:
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole:

Moje, gdzie są przeszłości smętarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole:
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XIII.

Piérwszy raz jam niewolnik z mojéj rad niewoli:
Patrzę na ciebie, s czoła nie znika pogoda:
Myślę o tobie, z myśli nie znika swoboda:
Kocham ciebie, a przecież serce mię nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli:
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda:
Lecz wtenczas i roskosznéj złorzeczyłem doli.

Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga,
I żal teraz na samę imienia jéj wzmiankę.

S tobą tylko szczęśliwy, s tobą moja droga.
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę:
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XIV.

Luba! ja wzdycham, pamięć niebieskiéj pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślania chwile.
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle.
Może, boję się wyrzec, pustoszą zgryzoty.

Luba, i cóżeś winna, że twych oczął groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile;
Zbyt ufałaś méj cnocie, zbyt swéj własnéj sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz ach! pójdę łzami oblewać ołtarze:
Nie będę mojéj żebrać przebaczenia zbrodni:
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

XV.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! nie śmiém budzić, o wdzięczny widoku!
Jéj duch na poły w rajskie wzleciał okolice:
Na poły został boskie ożywiając lice,
Jak słońce na pół w niebie, pół w srébrnym obłoku.

Dzieńdobry! już westchnęła, błysnął promyk w oku:
Dzieńdobry! już obraża światłość twe źrzenice:
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice:
Dzieńdobry! słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzień dobry; lecz twe senne wdzięki,
Odebrały mi śmiałość. Niech się wprzódy dowiém
Z łaskawém wstajesz sercem? z orzeźwionémzdrowiem?

Dzieńdobry! nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść: odchodzę. Oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko — dzieńdobry ci powiem.

XVI.

DOBRANOC.

Dobranoc! już dziś więcéj nie będziem bawili.
Niech snu aniół modremi skrzydły cię otoczy:
Dobranoc! niech odpoczną po łzach twoje oczy:
Dobranoc, niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! s każdéj ze mną przemówionéj chwili,
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy:

Niechaj gra w twojém uchu; a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrzenicom przymili.

Dobranoc, obróć jeszcze raz na mnie oczęta:
Pozwól lica — Dobranoc — chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować — Dobranoc: zapięta.

— Dobranoc! już uciekłaś, i drzwi chcesz zatrzasnąć.
Dobranoc ci przez klamkę: niestety! zamknięta!
Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

XVII.

DOBRYWIECZÓR.

Dobrywieczór! on dla mnie najsłodszém życzeniem;
Nigdy, czyto przed nocą dzieli nas zapora,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, ni witam s takiém zachwyceniem

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem.
Ty nawet, milczéć rada i płonić się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszém okiem, głośniejszém rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dziendobry wschodzi tym co społem żyją,
Objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,
Gdy z roskoszy kielicha trosk osłodę piją;
A tym co się kochają i swą miłość kryją,
Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XVIII.

Do D. D.

Wizyta.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża; wpada galonowy,
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy:
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki *), kolczate okowy:
A jeśli niedość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O przeklęty nudziarzu! ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz co go czeka ostatnia katusza:
Ty pleciesz błahe dzieje wczorajszéj reduty.

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza:
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza.
O bogi! znowu siada jak przykuty!

*) Łapki.

XIX.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem, czytaj rady moje:
Niedość wszedłszy donosić o czém wszyscy wiedzą,
Że dzisiaj tam walcują, owdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, dészcz pada, w Grecyi rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą:
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą:
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się niechcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zégarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach, a coś złego w oku:
Wiesz jak ich trzeba witać? Bywaj zdrów, bądź zdrowa;
A kiedy ich masz znowu odwiedzić? — po roku.

XX.

POŻEGNANIE.

Do D. D.

Odpychasz mię? — czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał. — Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego. Czy że mi dam złota?
Lecz jam go wprzódy nie dał, a ciebie posiadał.

I nie darmo; choć skarbów przed to bąm nieskładał,
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota.
Na wagę duszy mojéj, pokojem żywota;
Dla czegóż mię odpychasz? nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojém:
Pochwalnych wiérszy chciałaś; marny pochwał dymie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem:
I ten wiérsz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imie.

XXI.

DANAIDY.

Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki;
Gdy do lubéj gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, któréj złoto daję, prosi o piosenki:
Ta, któréj serce daję, żądała méj ręki:
Ta, którą opiéwałem, pyta czym bogaty,

Danaidy! rzucałem w bezdeń waszéj chęci
Dary, pieśni, i we łzach rostopioną duszę;
Dziś z hojnego jam skąpy, s czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Chcę jeszcze was opiéwać i obdarzać muszę.
Lecz dawniéj wszystko dałbym, dziś wszystko — prócz serca.

XXII.

EXKUZA.

Nuciłem o miłostkach w rówieników tłumie:
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali:
Nic innego nie czuje, lub śpiéwać nie umié.

W dojźrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdéj nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga! — wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna (1)
Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna (2)
Rozpiérzchła się, unosząc zadziwione słuchy.
Zrywam strony, i w Letę ciskam bardon głuchy. (3)
Taki wieszcz, jaki słuchacz.

XXIII.

PRZYPOMNIENIE.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata
Jeszcze się kiedy twojéj malują pamięci?
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata.

Chłodnik, co się zielonym jaźminem wyplata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci,
Tam nas często wzajemne tłumaczących chęci,
Późnéj nocy miłosna osłoniła szata.

A xiężyc s pod bladego wyjźrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświécał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą, i z westchnieniem miesza się westchnienie!

Do sonetu EXKUZA przypiski wydawcy.

1) Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna.

BARDON czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego lyryka greckiego ALCEUSZA, który urodzony w Mitylene, na wyspie Lesbos, żył około r. 604 przed Chrystusem.

URSYNA: domyślaj się: Juliana Ursyna Niemcewicza.

2) Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna.

DRUŻYNA: towarzysze, poczet.

3) Zrywam strony i w Letę ciskam bardon głuchy.

LETE: rzéka zapomnienia w Elyzyum, s któréj dusze zmarłych piły, aby zapomnieć doznane na ziemi cierpienia; a kiedy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niéj piły, aby wygluzować s pamięci tajemnice tamtego świata.





SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

GOETHE IM CHULD-NAMEN.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu:
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi:
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu 1)

Już mrok zapada: nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo, gwiazd szukam przewodniczek łodzi;
Tam zdala błyszczy obłok? tam jutrzenka wschodzi?
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! — jak cicho! słyszę ciągnące żorawie,
Którychby nie doścignęły źrzenice sokoła:
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie:

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiéj ciszy! — tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy, — jedźmy: nikt nie woła.

II.

CISZA MORSKA.

Na wysokości Tarkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzémią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnéj burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony.

III.

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściéj morskie snują się straszydła:
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnéj sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! — wiatr! — dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła:
Przewala się, nurkuje w pienistéj zamieci:
Wznosi kark, zdeptał fale, i skróś niebios leci:
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch, masztu lotem, buja śród odmętu:
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli:
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem;

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu:
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli.
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiém co to być ptakiem.

IV.

BURZA.

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niém reszta nadziei.

Wicher s tryumfem zawył; a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołniérz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umié, lub ma s kim się żegnać.

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM i MIRZA.

Pielgrzym.

Tam? czy Allah postawił w poprzek morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonéj chmury?
Czy Diwy 2) s ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! 3) pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc chylat 4) rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu?

MIRZA.

Tam? — Byłem; zima siedzi: tam dzioby potoków
I gardła rzék widziałem pijące z jéj gniazda.
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał: pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda;
Minąłem grom drzémiący w kolébce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah! 5)

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAKCZYSARAJ. 6)

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości s chronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skróś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imie przyrodzenia,
I pisze Balsazara głoskami 7) „RUINA".

W środku sali wycięte z marmuru naczynie,
To fontanna haremu, dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało.

VII.

BAKCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów 8) pobożni miszkańce:
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze:
Zawstydziło się licem rubinowém zorze:
Srébrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce:
Śród nich po safirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze,
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Daléj czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa 9)

Pod namiotem ciemności: niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem Farisa 10)
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.

GRÓB POTOCKIÉJ. 10)

W kraju wiosny pomiędzy roskosznemi sady
Uwiędłaś, młoda różo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ ku Polsce świécą gwiazd gromady:
Dlaczegóż na téj drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc jasne powypalał ślady?

Polko, i ja dni skończę w samotnéj żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnéj ocuci;
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujżrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU. 12)

MIRZA DO PIELGRZYMA.

Tu z winnicy miłości niedojźrzałe grona
Wzięto na stół Allaha: tu perełki wschodu,
Z morza uciech i szczęścia, porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona:
Nad niemi turban zimny 13) błyszczy śród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów; i ledwie u spodu
Zostały dłonią gaura 14) wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie, u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liściami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasze spojźrzenie cudzoziemca plami.
Pozwalam mu — darujesz, o wielki Proroku,
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY. 15)

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów:
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy śpieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitém źwierciedle, tak w mém spiekłém oku
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu niema: skaczę
w morskie łona:
Czarny wydęty bałwan z hukiem na
brzeg dąży:
Schylam ku niemu czoło, wyciągam
ramiona:

Pęka nad głową fala, chaos mię o-
krąży:
Czekam aż myśl jak łódka wirami
kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć
pogrąży.

XI.

AŁUSZTA W DZIEŃ. 16)

Już góra s piersi mgliste otrząsa
chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złoto-
kłosa, 17)
Kłania się las i sypie z majowego
włosa,
Jak z różańca kalifów 18), rubin i
granaty. 19)

Łąka w kwiatach, nad łąką latające
kwiaty
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły nie-
biosa;
Daléj szarańcza ciągnie swój całun
skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda
się łysa,
Wre morze i odparte znowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło, jak
w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziem-
skiéj krawędzi;
A na głębini fala lekko się kołysa,
I kąpią się w niéj floty i stada łabędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wol-
nieje posucha:
Na barki Czatyrdahu spada lampa
światów:
Rozbija się, rozlewa strumienie szkar-
łatów,
I gaśnie. Błędny pielgrzym ogląda
się, słucha.

Już góry poczerniały, w dolinach
noc głucha:
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu
z bławatów:
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką
kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym dla
ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i cie-
mnoty:
Wtém budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty!

Nocy wschodnia! ty nakształt wscho-
duiéj odaliski,
Pieszczotami usypiasz: a kiedym snu
bliski,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pie-
szczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

MIRZA.

Drżąc muślemin, całuje stopy twéj
opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki
Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór padyszа-
chu! 20)
Ty nad skały poziomu uciekłszy
w obłoki.

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel 21) pilnujący edeńskiego gmachu.
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu,
Twój turban z chmur haftują, błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy gaur pali domy;
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman *) stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice; 22)
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki! tak różna wabi mię ponęta;
Dlaczegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do téj, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubéj dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jéj wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

*) tłumacz.

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W CZUFUT-KALE. 23)

MIRZA i PIELGRZYM.

MIRZA.

Zmów paciérz, opuść wodze, odwróć nabok lica;
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza; 24)
Dzielny koń! patrz jak staje, głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca,

I zawisnął — tam nie patrz, tam spadła źrzenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj; nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj; bo myśl jak kotwica

Z łodzi drobnéj ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci,
I łódź s sobą przechyli w otchłanie chaosu.

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojźrzałem! przez świata szczeliny
Tam widziałem — com widział, opowiem — po śmierci;
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

XVI.

GÓRA KIKINEIS.

MIRZA.

Spojźrzyj w przepaść — niebiosa leżące na dole,
To jest morze; — śród fali zda się, że ptakgóra, 25)
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Rostoczył kręgiem szérszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole.
Ta wyspa żeglująca w otchłani — to chmura! 26)
Z jéj piersi na pół świata spada noc ponura.
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jéj czole?

To jest piorun! — Lecz stójmy: otchłanie pod nogą.
Musim wąwóz przesadzić w całym koniu pędzie;
Ja skaczę, ty z gotowym biczem i ostrogą;

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie:
Jeżeli nie: już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE. 27)

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj stérczą na górach jak czaszki olbrzymie:
W nich gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę: szukam herbów śladu:
Jest i napis: tu może bohatyra imie,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzymie,
Obwinione jak robak liściem winogradu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby:
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza,
I mekański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarném skrzydłem oblatują groby:
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

AJUDAH.

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak śpienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają: to jak srébrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi:
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody,
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni:
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
S których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Objaśnienia do sonetów krymskich.

I. 1) *Ostrowy burzanu.*

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwiatem okryte nadają przyjemną rozmaitość płaszczyznom.

V. 2) *Diwy.*

Diwy, podług starożytnéj mitologii Persów, złośliwe gieniusze, które niegdyś panowały na ziemi; potém wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata za górą Kaf.

3) *Na szczycie jaka łuna.*

Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

4) *Chylat.*

Suknia honorowa, którą Sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

5) *Czatyrdah.*

Najwyższy w pasmie gór krymskich na brzegu południowym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 werst, z różnych stron, w postaci olbrzymiéj chmury sinawego koloru.

VI. 6) *Bakczysaraj.*

W dolinie otoczonéj ze wszech stron górami leży miasto Bakczysaraj, niegdyś stolica Girajow, hanów krymskich,

7) *Balsazara głoskami.*

„Téjże godziny wyszły palce ręki „człowieczéj, które pisały przeciwko „świecznikowi na ścianie pałacu kró„lewskiego: a król (Balsazar) widział „część ręki, która pisała.“ Proroctwo Danielowe. V. 5, 25, 26, 27, 28.

VII. 8) *Rozchodzą się z Dżamidów.*

Mesdzid lub Dżiami, sąto zwyczajne meczety. Zewnątrz po rogach świątyni wznoszą się cienkie wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami, menaré, zowią; są one w połowie swéj wysokości otoczone galeryą, szurfé, s któréj minezzinowie, czyli oznajmiciele, zwolują lud na modlitwę. To, zwoływanie wyśpiewane z galeryi zowie się izanem. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszéć izan ze wszystkich minaretów, czysty i donośny głos minezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzokręgu miast muzułmańskich, w których, s powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniéjsza cichość panuje. (Sękowski, Collectanea. T. I. k. 66.)

9) *W dywanie Eblisa.*

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to lucyper u Mohametanów.

10) *Pędem Farysa.*

Farys, rycerz u Arabów Beduinów.

VIII. 11) *Grób Potockiéj.*

Niedaleko pałacu hanów wznosi się mogiła w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospólstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerim Girajа dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanéj podróży po Krymie, Murawjew-Apostoł, utrzymuje: że powieść ta jest bez zasady, i że grobowiec kryje zwłoki jakiéjś Gruzinki. Nie wiémy na czém opiéra swoje mniemanie; bo zarzut, iż Tatarowie w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzać niemogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd nie mało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polszcze liczne są familije szlacheckie imienia Potockich; i wspomniona branka nie koniecznie mogła na ezéć do znakomitego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim łub rozruchom kozackim mniéj był

dostępnym. S powieści gminnéj o grobowcu bakczysarajskim poeta rossyjski Alexander Puszkin, z właściwym mu talentem, napisał powieść: Fontanna Bakczysarajska.

IX. 12) *Mogiły Haremu.*

W roskosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru hanów i sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu; były one niegdyś bogato wybite, dziś stérczą nagie deski i szmaty całunu.

13) *Nad niemi turban zimny.*

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast, stawiają kamienne zawoje innego dla obu płci kształtu.

14) *Dłonią gaura wyryte imiona.*

Gaur znaczy „niewierny". Tak muzułmanie nazywają chrześcijan.

X. 15) *Bajdary.*

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

XI. 16) *Aluszta.*

Jedno z miejsc najroskoszniejszych Krymu; tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą, i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich jeszcze zielonych.

17) *Rannym szumi namazem niwa.*

Namaz, modlitwa muzułmańska, którą odprawiają siedząc i bijąc pokłony.

18) *Jak z różańca Kalifów.*

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób s kosztownych bywa kamieni.

19) *Rubin i granaty.*

Granatowe i morwowe drzewa, czerwieniejące się roskosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

XIII. 20) *Padyszah,*

Tytuł sułtana tureckiego.

21) *Gabryel.*

Zostawiam imie Gabryela, jako powszechniéj znajome: ale właściwym strażnikiem niebios, podług mitologii wschodniéj; jest Rameh (konstellacya arcturus), jedna z dwóch wielkich gwiazd zwanych es semekein.

XIV. 22) *Salhiry Dziewice.*

Salhir, rzéka w Krymie, wypływa s podnóża Czatyrdahu.

XV. 23) *Czufut - Kale.*

Miasteczko na wyniosłéj skale; domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieszka wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samém mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmiernéj.

24) *Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.*

Koń krymski w trudnych i niebespiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności. Nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i probuje czy bespiecznie stąpić i ostać się może.

XVI. 25) *Ptak - Góra.*

Znajomy s Tysiąca nocy. Jest to sławny w mitologii perskiéj, powielekroć od poetów wschodnich opisywany ptak Simurg. „Wielki on, (powiada Firdussi w Szah nameh) jak góra, a mocny jak twierdza, słonia unosi w szponach swoich," i daléj: „ujrzawszy rycerzy (Simurg) zerwał się jak chmura ze skały, na któréj mieszka i ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców." Obacz Hammera: Geschichte der Redekünste Persiens. Wien 1818. p. 65."

26) *To chmura.*

Z wierzchołka gór wyniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spojrzymy na chmury płynące po nad morzem, zdaje się, że leżą na wodzie w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem s Czatyrdahu.

XVII. 27) *Ruiny zamku w Balakławie.*

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Późniéj Genueńczycy wznieśli na tém miejscu twierdzę Cembalo.

DODATEK.

UCIECZKA. *)

BALLADA.

On wojuje — rok upłynął,
On niewraca — może zginął.
Panno szkoda młodych lat,
Od Xiążęcia jedzie swat.

Xiąże ucztuje we dworze
A Panna płacze w komorze,
Jéj zrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice,
Jéj lica, pełnia xiężyca,
Dziś nikną jak xiężyc w nowiu,
Biada wdziękom, biada zdrowiu.

Matka troszczy się i biedzi,
Xiąże dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie,
Niepowiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie.
Ja umrę gdy on nieżyje,
Ciebie matko żal zabije.

Xiądz w konfesyonale siedzi,
Czas o corko do spowiedzi.

Przyszła kuma, widma stara,
Wypędź xiędza, wypędź klechę,
Bog i wiara, sen i mara,
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat, paproć i car ziele, *)
A ty masz kochanka dary,
Przyszłam zrobić możne czary.

Włosy Jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewéj ręki krwi usącz,
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dąć
Musi przyjść i ciebie wziąć.

Panna grzeszy — jeździec spieszy.
Klęto ducha — klątwy słucha,
Już odemknął zimny gmach,
Panno, Panno czy nie strach?

Ucichł, usnął dwor zamkowy,
Panna czuwa; — Na zegarze
Bije północ, — milczą straże,
Panna słyszy — dzwięk podkowy,
Brytan jakby głosu niemiał,
Zawył s cicha i oniemiał.

*) Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajow chrześciańskich, Poeci rozmaicie ją przerabiali. Bürger ułożył z niéj sławną swoję Lenorę. Nieznając piosnki gminnéj niemieckiéj, niemożna wiedzieć o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci i te służyły mi za wzór stylu.

*) Zioła używane do gaslów w Litwie.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich,
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka,
W tém koń zarzał, jękła sowa,
Zegar wybił. — Bywaj zdrowa,
Koń moj zarzał, koń moj czeka,
Albo wstawaj, na koń siądź
I na wieki moją bądź.

Miesiąc świeci — jezdziec leci
Po zaroślach i po krzach,
Panno, Panno czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem, — głucho w lesie,
Tu i owdzie wystraszona
W suchéj jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze zrenice
Migają się jako świece.

W cwał moj koniu, koniu w cwał,
Miesiąc na doł schodzi s chmur,
A nim zejdzie miesiąc s chmur,
Mamy sadzic dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór,
Za godzinę pieje kur.

— Gdzie mnie wieziesz? — gdzie? do domu.
Dom moj na górze Mendoga, *)
W dzień otwarta wszystkim droga
W nocy jeździm pokryjomu.
— Czy masz zamek? — — Tak jest, zamek,
I zamczysty choć bez klamek.

— Moj kochanku konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łęku,
— Moja luba siodła imaj
Prawą ręką — co masz w ręku?
Czy to worek do roboty! —
Nie, to jest ołtarzyk złoty. —

*) Góra Mendoga pod Nowogrodkiem obroconu na smętarz, stąd w tamtych okolicach Litwy pójść na mendogową górę znaczy umrzeć.

— Nieczas wstrzymać, pogoń bieży,
Słyszysz pogoń, tętnią błonia,
Już przed koniem przepaść leży,
Rzucaj xiążkę, puszczam konia.

Koń jak gdyby zbył ciężaru
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec,
Pusto w koło. Błędny ognik
Tuż przed nimi jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje, gdzie przeleci
Slad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

— Moj kochanku, co za droga?
Tu nieznać śladu człowieka. —
— Dobra droga, kiedy trwoga
Krzywo jedzie kto ucieka.
Śladów niemasz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości,
Bogatego wiozą cugi
Ubogiego niosą sługi,

W cwał moj koniu, koniu w cwał,
Błyska zorza s wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon.
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór,
Za godzinę drugi kur.

— Moj kochanku wstrzymaj wodze,
Koń się lęka, bokiem sadzi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.
— Moja luba, jakie sznurki
Jakie wiszą tam kieszonki? —
— Moj kochanku to paciorki,
To szkaplerze i koronki. —

— Sznur przeklęty! sznur z nienacka
Rumakowi miga w oczy,
Patrz jak zadrżał, bokiem skoczy.
Moja luba rzuć te cacka.

Koń jak gdyby pozbył trwogi
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

— Co to za smętarz? mój miły? —
— To mur co mych zamków strzeże. —
— A te krzyże, te mogiły? —
— To nie krzyże, to są wieże.
Mur przeskoczym, przejdziem progi,
Tu na wieki, koniec drogi.

Stój mój koniu, koniu stój,
Przebyłeś nim zapiał kur
Tyle rzek i skał i gór,
A tuś zadrzał koniu mój.
Wiem ja koniu czego drzysz,
Mnie i tobie boli krzyż.

— Czegoś stanął mój kochanku?
Zimna rosa mię spłokała,
Zimno wieie, wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drzę cała.

— Moja luba przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę,
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może.

Jaki masz tam ćwiek ze stali? —
— To krzyżyk co matka dała. —
— Ten krzyżyk ostry jak strzała
Twarz mi rani, skronie pali.
Precz mi s tym ćwiekiem ze stali.

Krzyż na ziemię padł i zniknął,
Jeździec Pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiéchem ryknął.
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim xiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdzcem i panną.

Na smętarzu cisza była,
Stoją krzyże, głazy leżą,
Jedna bez krzyża mogiła
J ziemia ruszona świeżo.

Xiądz nad grobem długo stał
J mszę za dwie dusze miał.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

SPIS RZECZY.

	Str.	Kol.
Przemowa	1	
Do czytelnika o krytikach i recensentach Warszawskich	XIV.	II.
Objaśnienie niektórych wyrazów	XXVIII.	

Ballady i Romanse.

Piérwiosnek	1	I.
Romantyczność	—	II.
Świteź	2	II.
Świtezianka	5	I.
Rybka	7	I.
Powrót Taty	8	II.
Kurhanek Maryli . . .	9	II.
Do przyjaciół, posyłając im Balladę: To Lubię . .	11	I.
To Lubię	12	I.
Rękawiczka (z Szyllera) .	14	I.
Pani Twardowska . . .	—	II.
Tukaj Ballada I. . . .	16	I.
Tukaj Ballada II. . . .	17	II.
Lilie	19	II.
Dudarz	23	II.
Czaty	25	II.
Renegat	26	II.
Trzech Budrysów . . .	27	II.

Wiersze Różne.

Hymn na dzień zawistowania N. P. Maryi . .	28	I.
Żeglarz	29	I.
Warcaby	30	I.
Basza (Improwizacya) . .	35	II.
Nowy Rok	36	I.
Do Joachima Lelewela . .	37	I.
Oda do Młodości . . .	41	II.
Wiérsz do Imionika L. M.	42	II.
Do M.	43	I.
Do Olesia (Improwizacya) .	—	II.
Pożegnanie Childe-Harolda	44	II.
Panicz i Dziewczyna . .	46	I.
Wiérsz w Imioniku K. R.	47	I.
Chór Strzelców	—	II.
Euthanasia	48	I.
Cztéry Wiwaty	—	II.
Godzina, Elegia	49	I.
Do S. B. w Imioniku . .	50	II.
Niepewność	—	—
Farys	51	II.
Na Pokoj grecki . . .	54	I.
Popas w Upice	55	II.
Sen Lorda Byrona . . .	58	II.
Szanfary, kasyda z Arabskiego	62	II.
Do Doktora S	66	II.
Ugolino, Wyjątek z boskiéj komedyi	68	I.
Ciemność z Byrona . .	70	—
Podróżny, z Getego . .	72	I.
Przypomnienie	75	I.
Morlach w Wenecyi . .	—	—
Do D. D.	76	I.

	Str.	Kol.
Rozmowa	76	I.
Do D. D.	—	II.
S. Petrarka	77	II.
Sen	78	II.

Powieści Historyczne Konrad Wallenroda.

Przemowa	80	I.
Konrad Wallenrod	84	I.
Objaśnienia	115	I.
Grażyna powieść litewska	118	I.
Epilog Wydawcy	135	I.
Przypisy historyczne	137	I.
Dziady, poema	142	I.
Upior	143	I.
Dziady część II	144	II.
Dziady część IV.	153	I.

Sonety.

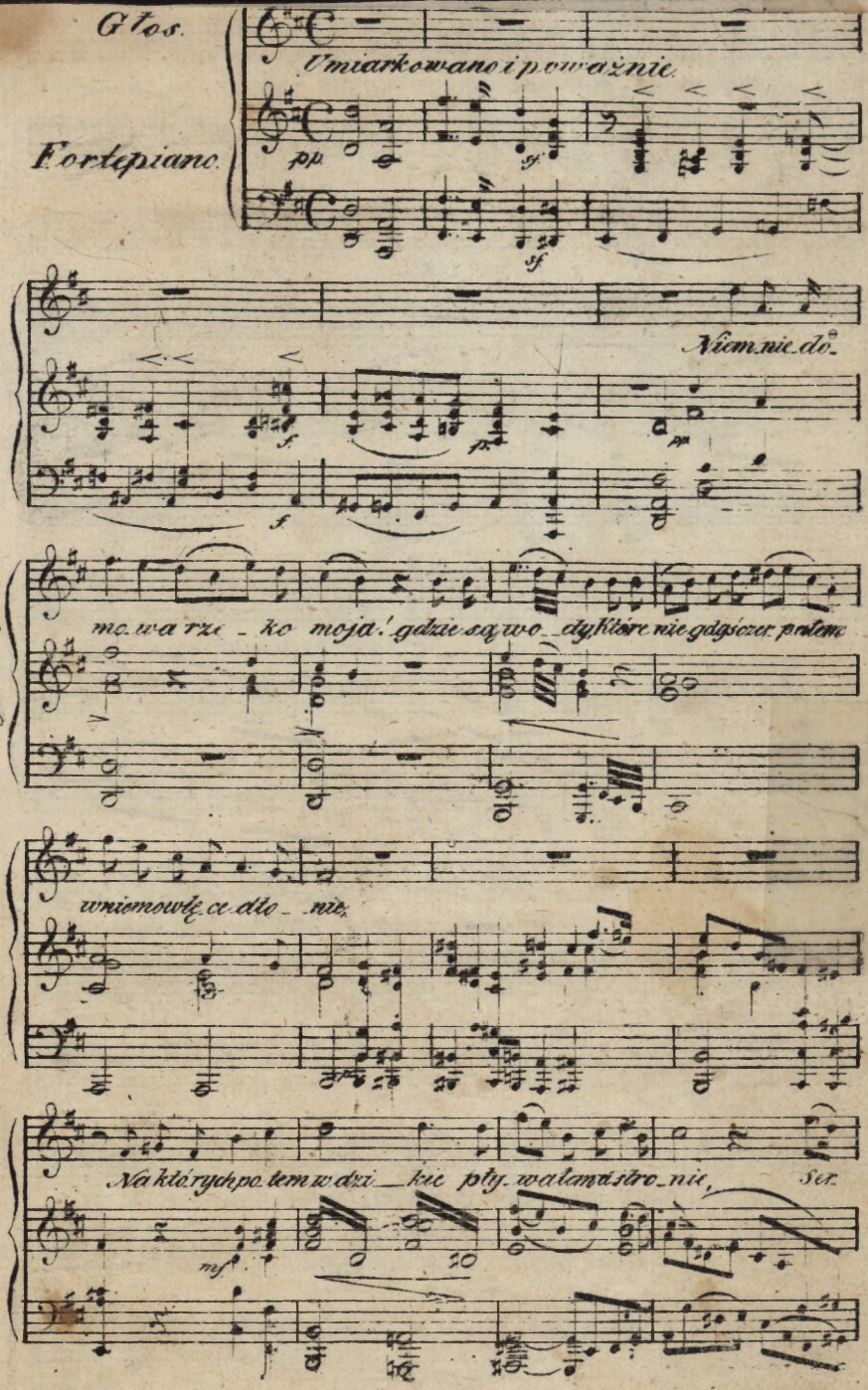
Do Laury I.	179	I.
do II.	179	II.
do III.	180	I.
Widzenie się w Gaju	—	—
Sonet V.	—	II.
Ranek i Wieczór	181	I.
S. Petrarka	—	—
Do Niemna	—	II.
Strzelec	182	I.
Błogosławieństwo	—	II.
Rezygnacya	183	I.
Do	—	—
Sonet XIII	—	II.
do XIV.	184	I.
Dzieńdobry	—	I.
Dobra noc	184	II.
Dobry wieczor	185	I.
Do D D. Wyzyta	—	II.
Do Wizytujących	186	I.
Pożegnanie Do D. D.	—	—
Danaidy.	—	II.
Exkuza	187	I.
Przypomnienie	—	II.
Przypiski do Sonetu Exkuza	188	I.

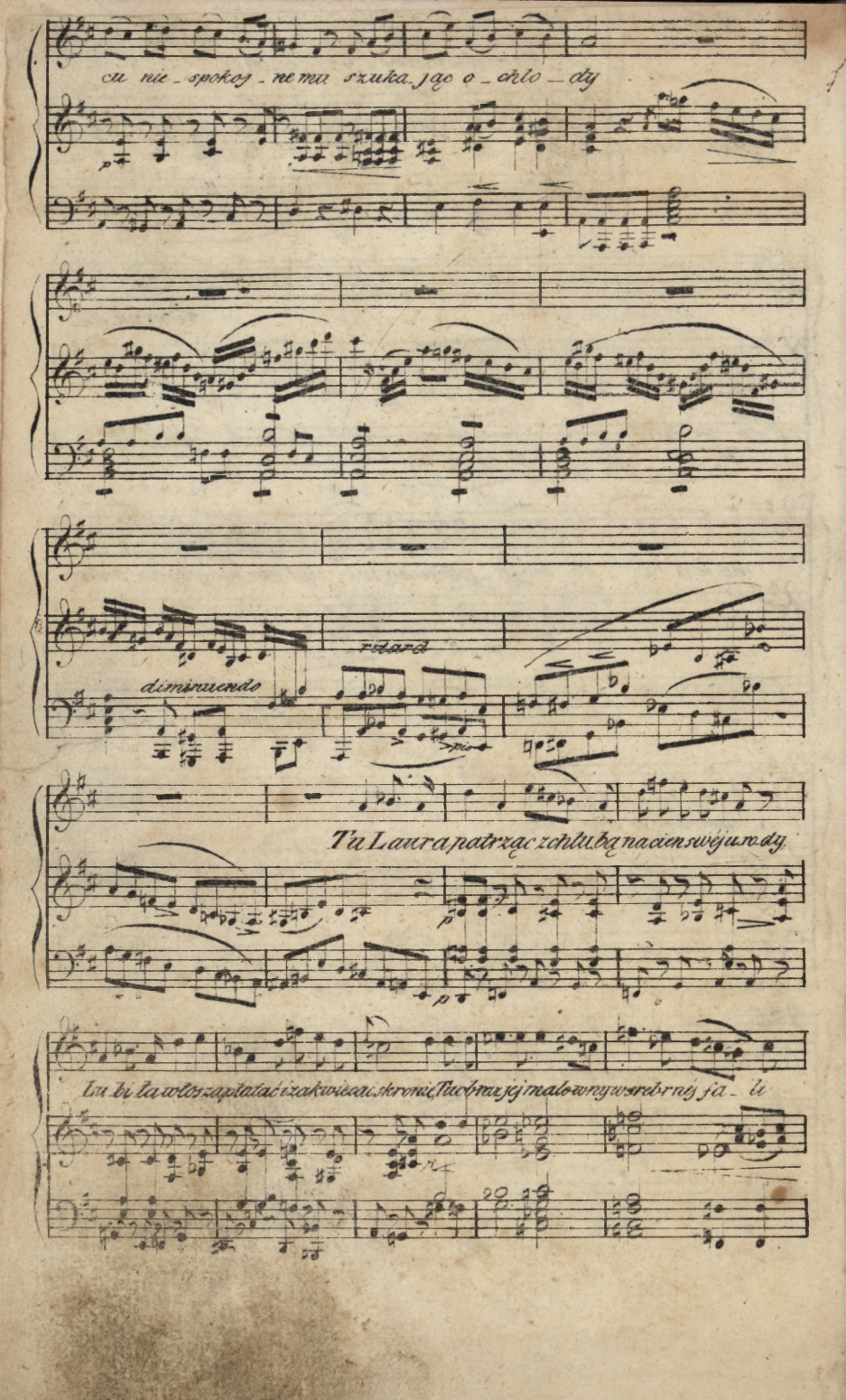
Sonety Krymskie.

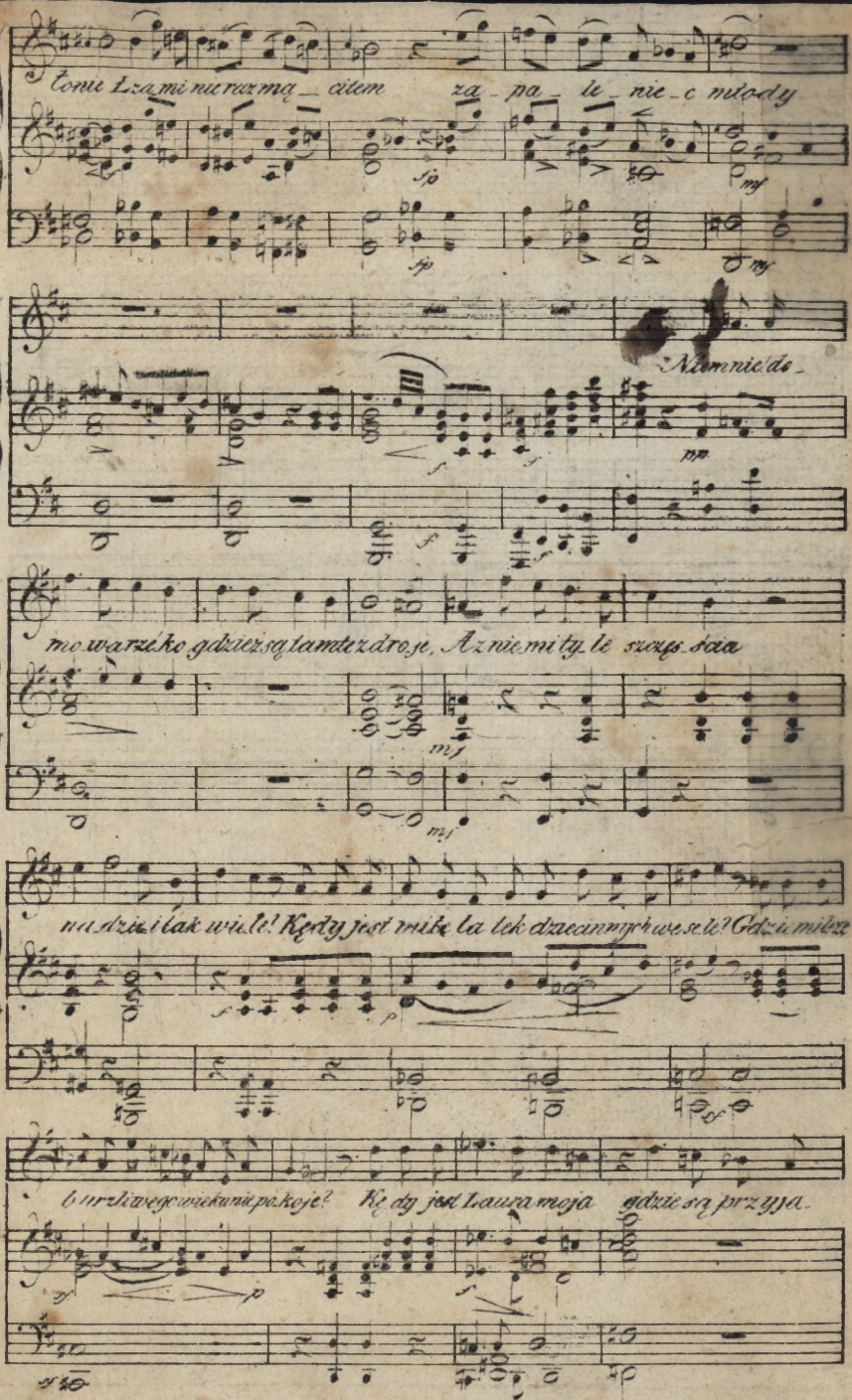
Stepi Akermanskie	189	I.
Cisza Morska	—	II.
Zegluga	190	I.
Burza	—	—
Widok gór ze Stepów kozłowa	—	II.
Bakczysaray	191	I.
do w nocy	—	II.
Grób Potockiey	192	I.
Mogiły Haremu	—	I.
Bajdary	—	II.
Ałuszta w dzień	193	I.
do. w nocy	—	II.
Czatyrdah	—	—
Pielgrzym	194	I.
Droga nad Przepaścią w Czufut-kale	—	II.
Góra kikineis.	195	I.
Ruiny zamku w Bałakławie	195	I.
Ajudah	—	II.
Objaśnienia do Sonetów krymskich	196	—

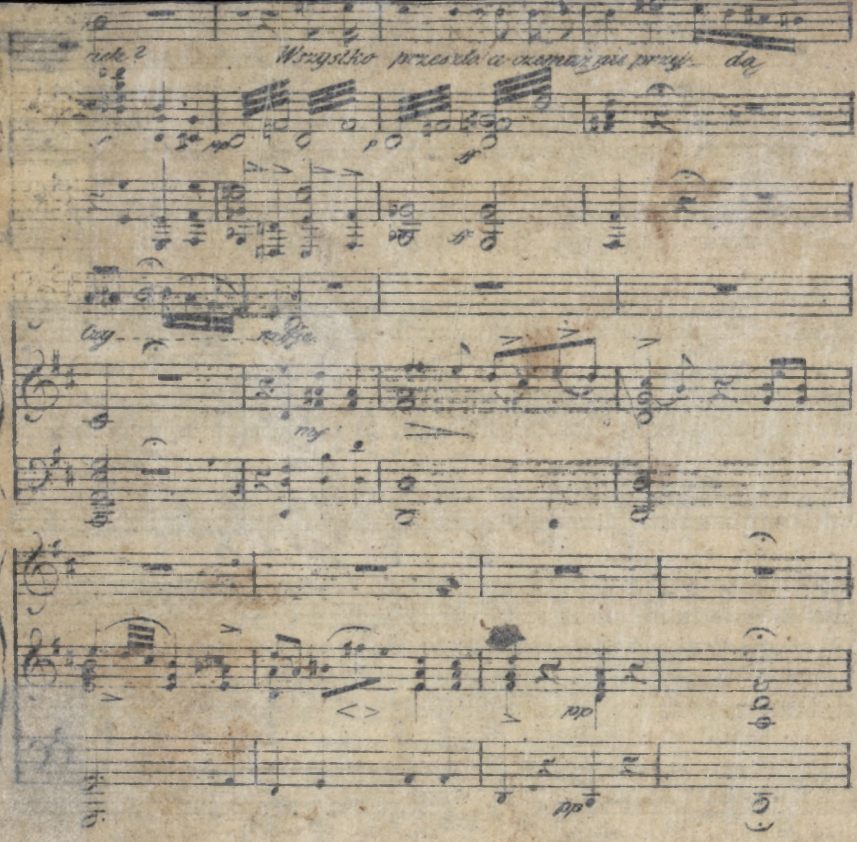
Dodatek.

Ucieczka	198	—


Głos.
Fortepiano.
Umiarkowano i poważnie.
pp
sf
sf
Niem nie dō
f
mo wa rzy ko moja! gdzie są wo dy które nie gdyś ozer pełne
wniemowlę ce dło nie.
Na których po tem wdzi kie pły. walami stro nie,
ser.
mf


cu nie_spokoj_nemu szuka jąc o_chło_dy
ridard
diminuendo
Tu Laura patrząc zchlubą na cień swéjuro dy
Tu bi ła wło szapłatać i zakwiecać skronie Tu obraz jéj malowany w srebrnéj ja_li


łonie Łzami nie raz mą_ citem za_ pa_ le_ nie_ c młody
Niemnicdo_
mo warzéko gdzież są tamte zdroje, Aż nie mi ty le szczęś_ścia
na dziś i tak wiele! Kędy jest miłe la lek dzieciństwa we świe? Gdzie miłość
bezbrzeżnego wiekuiste pokoje? Kędy jest Łauza moja gdzie są przyja_


ride 2
Wszystko przeszło a oczekiwanie przyszłości
Bóg
my
mp
pp

W wszystkich Księgarniach dostać można następujących dzieł:

Biblioteka Konwersacyjna czyli wykład wiadomości i rzeczy naypotrzebniejszych i najużyteczniejszych w pożyciu towarzyskiem, zawierająca:

Człowiek Towarzyski, 2 Tom. . . .	4 zł.
Romantyk Towarzyski, 2 Tom. . . .	4 zł.
Deklamator Towarzyski, 4 Tom. . . .	8 zł.
Wybór Sztuk magicznych, 2 Tom. . .	4 zł.
Muzeum z historyi naturalnéj i cudów stworzenia z 24 Rycinami	9 zł.
Wiérsze różne przez Leopolda Potockiego . . .	3 zł.

W druku znajdują się:

Poezye Edwarda Odyńca edycya in 8. i in 16.

W krótce wydany będzie prospekt

na

BIBLIOTEKE HISTORYCZNĄ POLSKĄ

zawierającą wszystkie dzieła historyi narodu polskiego, jakoto: historyą polską Naruszewicza, Spiewy historyczne, Pamiętniki i Panowanie Zygmunta III. przez J. U. Niemcewicza i. t. d. i. t. d.

Biblioteka WSP Kielce
0292268